

MARY BALOGH

GWIAZDKA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Każdy powinien sam sobie wybrać żonę. To wszystko, co mam do powiedzenia na ten temat - poinformował matkę pan Jack Frazer w czasie jazdy powozem w kierunku Portland House, leżącego trzydzieści mil na południe od Londynu.

Problem jednak polegał na tym, że to samo powtarzał od tygodnia. I oto teraz, potulny jak baranek, jechał na święta Bożego Narodzenia do swych dziadków. Wkrótce zajmie się nim najbardziej stanowcza kobieta, jaką kiedykolwiek miał nieszczęście spotkać - jego babka, księżna Portland.

- W takim razie może powinienes być już to zrobić, mój drogi - rzekła matka. - Masz trzydzieści jeden lat, jesteś moją jedyną podporą i pociechą. Poza tym wcale jeszcze nie wiemy, czy rzeczywiście babcia wybrała dla ciebie żonę. Chciała po prostu, abyśmy spędzili święta razem z nią, dziadkiem i resztą rodziny. Co w tym dziwnego czy nienormalnego? Przecież nie padło ani jedno słowo na temat małżeństwa.

Jack spojrzał na nią z ukosa. Czy to możliwe, by po tylu latach tak słabo znała swoją matkę? Nie, to niemożliwe - stwierdził nawet bez dłuższego zastanowienia. Po prostu jej samej zależało, by już się ożenił. Dlatego tak nalegała, aby przyjął zaproszenie - a właściwie wezwanie - choć wiedziała, że syn ma dużo ciekawsze plany na święta.

- Czy jesteś pewien, mój drogi - zapytała jak zwykle z niepokojem w głosie - że na tej drodze nie grasują rozbójnicy?

Jack westchnął, ujął jej dłoń i poklepał uspokajająco, próbując przekonać, że nie ma powodu do obaw. Pomyślał, że matka setki albo nawet tysiące razy przemierzała już tę drogę, jadąc do Portland House. Mimo to ciągle się bała, że na powóz napadną zamaskowani bandyci z flintami w garściach.

A mógł pojechać na Boże Narodzenie do Reggiego - pomyślał. Reggie zaprosił kilku wesołych kompanów na tydzień lub dwa do swojego domku myśliwskiego w Norfolk. I tyleż samo rezolutnych subretek do towarzystwa. A jeśli chodzi o dziewczęta, na guście Reggiego zawsze można było polegać... Albo mógł zostać w mieście, chodzić z przyjęcia na przyjęcie i cieszyć się względami lady Finley - Dodd, z którą nie dalej niż tydzień temu spędził interesującą - i bezsensną - noc. Miał zamiar podtrzymywać ten płomienny romans...

Jednak mimo tylu możliwości znalazł się oto z matką w powozie i jechał do dziadków, by spędzić świąteczne dni z nimi oraz wszystkimi wujami, ciotkami, kuzynami i całym stadem ich latorośli.

Zwariował czy co? Czyżby już zupełnie postradał zmysły?

- Jack - tak miesiąc temu zwróciła się do niego babka, kiedy przyjechała do miasta na ślub Connie (dziadka podagra zatrzymała w Portland House). - Jack, mój drogi, najwyższy czas, abyś i ty się ożenił. Stewartowie zawsze żenią się przed trzydziestką.

- Ja nie jestem Stewartem - zaproponował.

- Ale byłbyś, gdyby twoja matka nie wyszła za mąż - powiedziała.

Spojrzał na babkę z boku i poklepał ją po ręce.

- Gdyby mama nie wyszła za mąż - wyjaśnił jej z pewną satysfakcją - byłbym bękartem.

- Czas już, byś się ożenił - powtórzyła stanowczo. - I dziękuj niebu, że dziadek musiał zostać w domu, biedaczek. Nie wiem, czy nawet ja uratowałabym cię przed jego gniewem, gdyby słyszał, że używasz takich słów w mojej obecności.

- Ale ty jesteś moją opoką, babciu, i na pewno dzielnie byś mnie broniła - rzekł. - Niby taka krucha, a mimo to twarda jak skała.

- Impertynencki z ciebie młodzieniec - odparła. - Potrzebujesz żony, która nauczyłaby cię trzymać język za zębami. Ale powiedz mi, co myślisz o tym młodym eleganciku, którego wynalazła sobie Constance? Nie spieszno jej było z wyborem narzeczonego. Dziewczyna ma już dwadzieścia jeden lat. Za moich czasów uchodziłaby za starą pannę.

W ciągu jednej tylko rozmowy trzykrotnie padła pod jego adresem uwaga o małżeństwie - pomyślał Jack, gdy naraz powóz gwałtownie skręcił, a matka wydała swój zwykły okrzyk, który zamarł jej na ustach, kiedy się zorientowała, że to nie zbójcy zepchnęli powóz w zarośla, lecz po prostu woźnica wjechał na podjazd wiodący do domu. A po tych trzech uwagach, zaledwie tydzień później, dostał to zaproszenie. Czy raczej wezwanie.

Otóż dziadek - tak przynajmniej wynikało z listu - wpadł na pomysł, by na Boże Narodzenie zgromadzić w Portland House całą rodzinę, jak to niegdyś bywało w zwyczaju. Tak więc kochana Maud ma przyjechać i przywieźć ze sobą Jacka. Żadne rodzinne zgromadzenie nie może się bowiem odbyć bez drogiego Jacka. A poza tym będzie oczywiście jeszcze kilka osób spoza rodziny.

List od księżnej Portland był taki jak zwykle - długi, w kwiecistym i zawiłym stylu. Oczywiście to nie dziadek wpadł na pomysł tego rodzinnego zjazdu. Jack miał wątpliwości, czy dziadkowi w ogóle kiedykolwiek przyszedł do głowy jakiś pomysł. Jednak babka tyle już lat podtrzymywała mit, że jej mąż jest despotycznym demonem, iż być może sama w to uwierzyła. W liście aż trzy razy zaznaczyła, że Jack ma towarzyszyć matce, i chciała go do tego zachęcić obecnością jakichś specjalnych gości. Musiała chyba zdawać sobie sprawę -

całkiem słusznie zresztą - że perspektywa świąt w gronie rodziny nie jest zbyt atrakcyjna dla trzydziestoletniego kawalera. Ale wszystko stało się dla Jacka jasne jak słońce, kiedy się dowiedział, jakich to gości spoza rodziny zaprosiła babka. Czy raczej - jakiego gościa.

Babka znalazła mu pannę, tak jak pięć lat temu znalazła pannę Alexowi - z tym że Alex wszystko zepsuł poślubiając Annę, zanim zdążył zaręczyć się z wybraną przez babcię dziewczyną. I tak samo później wybrała żonę dla Perry'ego oraz mężów dla Prue i Hortense. Natomiast Freddie - ten niedołęga Freddie - sam sobie wybrał dziewczynę. Czy raczej ona go wybrała. Wystarczyło tylko spojrzeć na Ruby, by wiedzieć, że należy do tego rodzaju kobiet, które biorą inicjatywę w swoje ręce. Nie była jednak złą żoną dla tego poczcivca Freddiego, Jack musiał to przyznać.

- Jesteśmy prawie na miejscu, kochanie - zabrzmiał obok niego głos matki. - Mam nadzieję, że nie grozi nam już żadne z niebezpieczeństw, jakie czyhają po drodze na podróży.

- Jesteśmy bezpieczni. - Poglądził jej dłoń. - Ale i tak bym cię obronił.

Ale czy sam był bezpieczny? I kto mógłby go bronić?

Ciekaw był - musiał to uczciwie przyznać - jakąż to dziewczynę czy kobietę uznała księżna za odpowiednią dla niego. Bez wątpienia było to jakieś młode dziewczę, w wieku siedemnastu albo osiemnastu lat. Babka bowiem źle wyrażała się o niezamężnych kobietach, które ukończyły już dziewiętnasty rok życia, a nawet traktowała je trochę nieufnie, jakby podejrzewała u nich jakieś ukryte wady, mogące zniechęcić obiecujących młodzieńców do małżeństwa. Przez chwilę Jack z pewnym upodobaniem myślał o młodych dziewczynach. Ale tylko przez chwilę. Z każdym rokiem młode panny wydawały mu się coraz mniej pociągające. Niewątpliwie jednak ta, o którą teraz chodzi, jest ładna i pełna wdzięku. Babka na pewno nie wybrałaby dla niego jakiejś maskary, nawet gdyby ta miała najbardziej kuszący posąg. Ponieważ w głębi duszy babcia była trochę romantyczką. A właściwie nawet nie trochę - gdyż ciągle, w wieku siedemdziesięciu kilku lat i po pięćdziesięciu latach małżeństwa, nadal była wręcz nieprzyzwoicie zakochana w dziadku.

Powóz znowu ostro skręcił, wjechał na brukowany taras przed wielkimi dwuskrzydłowymi drzwiami wiodącymi do hallu Portland House i wreszcie zatrzymał się z szarpnięciem. Jack zaczął czekać, aż służący otworzą przed nim drzwi i przystawią stopnie, i dopiero wtedy zeskoczył na ziemię, podając dłoń matce i pomagając jej wysiąść. Za nim otwarły się drzwi do hallu. Za chwilę babka zejdzie po schodach, by ich powitać. Zawsze osobiście witała gości, zanim jeszcze zdążyli przekroczyć progi jej domostwa.

Cóż, dobrze - pomyślał z filozoficzną melancholią - niech zaczną się te korowody.

Przecież w końcu może powiedzieć „nie” tej dziewczynie. Stanowcze i nieodwołalne „nie”.

Babka nie zmusi go do małżeństwa, jeśli sam tego nie będzie chciał. Tak jak żaden wrzeszczący sierżant nie zmusi szeregowca, by słuchał jego rozkazów. Tak jak potężny komin nie zmusi maleńkiego chłopca, by wspiął się na niego. Tak jak kat nie zmusi skazańca, by położył głowę pod topór. Tak jak...

No cóż, wszystko jest jasne - pomyślał Jack coraz bardziej przygnębiony.

- Maud, kochanie. Drogi Jacku - usłyszał za plecami znajomy głos, zanim jeszcze matka dotknęła stopą bruku.

Kiedy Jack, zmywszy z siebie kurz po podróży i przebrawszy się, zszedł na dół, stwierdził, że w salonie Port - land House jest mniej osób, niż mógł sądzić po dochodzących stamtąd głosach. Członkowie jego rodziny zawsze jednak mieli zwyczaj mówić jeden przez drugiego. A ponieważ dawno się nie widzieli - od ślubu Connie minął już cały miesiąc - przekrzykiwali się podnosząc głos i nadaremnie próbując uciszyć pozostałych.

Wbrew sobie Jack poczuł przyływ sympatii dla nich wszystkich. To była jego rodzina. Nie zauważył nikogo obcego.

- Jack! - Pierwsza spostrzegła go Hortense, jego siostra, i pospieszyła ku niemu, wyciągając dłonie. Nie zdążył jednak ich ująć, gdy siostra położyła mu je na ramionach i serdecznie ucałowała w oba policzki. - Wygrałam zakład. Wiedziałam, że tak będzie. Zeb, ten głuptas, twierdził, że nie przyjedziesz. Ciągle jeszcze nie zna naszej rodziny, mimo że wzenił się w nią już niemal trzy lata temu. Jak się masz? Jesteś tak samo przystojny jak zawsze.

- Czuję się tak, jakbym miał fular o jakieś dwa numery za mały - rzekł. - Gdzie ona jest, Hortie?

- Ona? - Uniosła brwi ze zdziwienia, a potem roześmiała się. - Ach tak, babcia rzeczywiście wspomniała, że spodziewa się także gości spoza rodziny. Ktoś z jej dawnych, serdecznych przyjaciół. Stara historia. Teraz przyszła kolej na ciebie, nieprawdaż? Jesteś ostatnim z nas, który się jeszcze ostał.

Jack spoważniał, wziął ją za rękę i jedną z nich podniósł do ust.

- A więc mama mówiła prawdę? - zapytał.

- Tak - odrzekła spojrzawszy w dół na wysoki stan swej eleganckiej sukni. - Dziękuję niebiosom za obecną modę. Mam nadzieję, że niczego nie będzie widać jeszcze przez miesiąc albo dwa. Gdybym tylko nie miała co rano tych okropnych nudności. Zajrzałeś już do bliźniąt?

- Do bliźniąt? - Zmarszczył czoło. - Czy sądzisz, że po przyjeździe od razu pobiegłem do dzieciennego pokoju, Hortie? Notabene, tego roku muszą tam być całe tabuny dzieci.

Zaśmiała się znowu.

- Naszej rodzinie nie brakuje potomków, prawda? - zauważyła. - Niebawem i ty poczujesz wolę bożą, Jack.

- Nigdy! - powiedział gwałtownie, mając nadzieję, że się nie zaczerwienił. Na myśl, że miałby mieć dziecko, zawsze robiło mu się słabo.

- Tak, tak. - Uśmiechnęła się ponownie, widząc jego przerażenie. - Babcia jest despotką, Jack, ale robi to z dobrego serca. To ona wydała mnie za Zęba, jak dobrze pamiętasz, i ciągle, po trzech latach, jestem z tego bardzo zadowolona. Wiesz, bliźniaki stęskniły się już za wujem Jackiem.

Kiedy ostatnio widział się z nimi, bliźnięta, siostrzeniczka i siostrzeniec w wieku dwóch lat, mające energię sześciornaczek, powaliły go jakimś sposobem na podłogę, wlaży na niego i piszcząc skakały po nim, a przynajmniej jedno z nich zsiusiało mu się na spodnie. Jack skrzywił się na to wspomnienie.

- Niech mnie kule biją, jeśli to nie Jack! - Z fotela przy kominku dał się słyszeć głos, którego nie sposób było nie rozpoznać. - Przywitaj się z wujkiem, Bobbie.

Był to oczywiście Freddie, rozpromieniony i dość tęgi - od czasu małżeństwa sporo utył - kłujący w oczy jak zwykle niegustowną jaskrawą kamizelką. Pocziwy Fred musiał chyba objeżdżać cały glob, żeby wynajdywać materiały o tak niesamowitych kolorach. Można by oczekiwać, że Ruby, której rozsądek rekompensował brak urody, powściągnie takie przejawy złego gustu, ona jednak stanowczo nie chciała niczego mężowi narzucać.

Spojrzenie Jacka padło na chłopczyka o jasnych loczkach, który siedział na kolanach Freddiego. Dziecko wydało mu się zaskakująco ładne i wręcz podejrzanie normalne. Ale też Freddie nie był wcale głupi. Tylko trochę powolny.

- Nie jestem dla Roberta wujem, Freddie - powiedział Jack. - Ty i ja jesteśmy kuzynami. Mały jest więc moim dalszym kuzynem czy czymś takim. I jak miałby przywitać się ze mną, spętany tymi sukieneczkami? Nie lepiej byłoby go zostawić w pokoju dzieciennym z innymi maluchami?

Nie, Freddie nie uważał, że tak byłoby lepiej. Wszyscy wiedzieli, jak stary Fred przepada za synkiem. Robert tymczasem ani myślał przywitać się z dalszym kuzynem. Był zbyt zajęty łańcuszkiem od zegarka papy - i niemal porażony blaskiem bijącym od potwornej kamizelki.

- Witaj, Jack - odezwała się Ruby swym przenikliwym, raczej męskim głosem. - Frederick się obawia, że Robert czuje się obco w pokoju dzieciennym i pomyśli, iż go zostawiliśmy. Za dzień lub dwa mu to przejdzie.

- Freddiemu czy Robertowi? - zapytał Jack, wykrzywiając usta w uśmiechu. - Podoba mi się twoja nowa fryzura, Ruby.

- Dziękuję ci. Frederick hołduje własnym metodom wychowawczym - rzekła stanowczo, biorąc go pod ramię i odciągając od męża i syna. - Frederick ma wiele obaw, których nie możesz rozumieć, Jack. Jest bardzo wrażliwy. Jack znowu się skrzywił. Wyobraźnia podsunęła mu zabawną i dość niestosowną wizję Ruby i Freddiego w łóżku.

- Chodź i poproś Annę, żeby naląła ci herbaty - rzekła Ruby, prowadząc go w kierunku stolika z zastawą.

- Ach, Annę.

Wzrok Jacka złagodniał, kiedy jego spojrzenie spoczęło na wicehrabinie Merrick, żonie kuzyna Alexa, siedzącej przy stoliku z herbatą - tak jak cztery lata temu, gdy spotkał ją po raz pierwszy. Nadal była śliczna i smukła jak niegdyś, mimo że od tamtego czasu urodziła dwoje dzieci. Podkochiwał się w niej wtedy i próbował ją uwodzić, gdy ona i Alex oddalili się od siebie. Ale Annę nie chciała mieć z nim nic wspólnego. Była jedną z niewielu kobiet, czy to zamężnych, czy też wolnych, które oparły się jego czarowi. Może właśnie dlatego nadal miał do niej słabość.

- Jack. - Uśmiechnęła się do niego. - Napijesz się herbaty? Pamiętam, że mówiłeś kiedyś, iż herbata to nie jest to, co lubisz najbardziej, ale nie masz innego wyboru. Wiesz, że dziadek nie pozwala na nic mocniejszego po południu.

- Annę - rzekł z czułością - a ty wciąż w to wierzysz? Prawda jest taka, że dziadkowi nic nie sprawiłoby większej przyjemności niż kieliszek bordo.

Posłała mu swój uroczy, łagodny uśmiech. Że też ona kocha tego głupiego Alexa i kochała go nawet wtedy, gdy na jakiś czas oddalili się od siebie.

- Annę - rzekł, pochylając się nad nią lekko - ciągle żałuję, że to nie ja zamiast Alexa utknąłem z tobą w tamtej śnieżycy. I ciągle żałuję, że to nie ja musiałem się z tobą ożenić.

- Co za głupoty wygadujesz, Jack! - odparła. - Czy ty nigdy się nie zmienisz? I oczywiście jesteś coraz przystojniejszy.

Podąła mu filiżankę.

- To najbardziej zalotna uwaga, jakiej można by się spodziewać po Annę. - Alexander Stewart, wicehrabia Merrick i dziedzic księcia Portland, stanął obok żony, kładąc jej dłoń na ramieniu. - Z tego, co słyszę, w tym roku ty, Jack, zostaniesz wzięty w obroty.

Zaśmiał się ze zbyt wyraźnym rozbawieniem. Jack uśmiechnął się krzywo.

- Czy już wszyscy o tym wiedzą? - zapytał. - Ale gdzie ona jest? A co istotniejsze, kim jest?

- Poszła na górę ze swoją kompanią, jak sądzę - odrzekł Alex. - Zauważyłeś, że nie ma tu z nami babki? Przed chwilą przyjechali. Ale nazwisko tej wybranki to oczywiście wielka tajemnica. Chyba nie przypuszczasz, że babcia, ze swoim wyczuciem dramatyzmu, zdradziłaby komukolwiek ten sekret, zanim sama przedstawi dziewczynę? Póki co, wypij herbatę, Jack. Zrobi ci dobrze na żołądek.

- Biedny Jack - rzekła miękko Annę. - Jeśli to cię pocieszy, to właśnie babcia pomogła nam się zejść wtedy, gdy po ślubie tak głupio rozstaliśmy się na rok. - Podniosła dłoń i położyła ją na ramieniu męża. - Na pewno dokonała dobrego wyboru dla ciebie. A poza tym sam przecież zadecydujesz.

Alex odrzucił głowę w tył i śmiał się, podczas gdy Jack zmarszczył czoło. Droga Annę. Ciągle jeszcze dużo musiała się dowiedzieć o rodzinie, do której weszła.

- Jestem tu już od pięciu minut, a jeszcze nie przywitałem się z dziadkiem. Lepiej podejść i złożyć mu uszanowanie, zanim się na mnie rozsierdzi.

Dwaj mężczyźni spojrzeli na siebie i zachichotali, jakby znowu byli małymi chłopcami.

- Dziadek tylko wygląda na groźnego - rzekła cicho Annę. - Tak naprawdę jest łagodny jak baranek.

Panowie znowu parsknęli śmiechem.

Księżę Portland był potężnym, wysokim mężczyzną i swoim zwyczajem siedział z rozstawionymi nogami, opierając na nich duże dłonie. Z fularu wystawała mu nabrzmiała szyja. Oczy osadzone w rumianej twarzy patrzyły srogo na świat spod krzaczastych brwi, które były o ton ciemniejsze od jego siwych włosów. Chrząkanie, sapanie i pomruki, jakie wydawał, nieznajomi mogli wziąć za oznaki niezadowolenia, a nawet gniewu. Tymczasem niezliczone prawnuki, gdy tylko miały sposobność, wspinały się na niego, czochnęły mu włosy, rozpinęły i zapinały guziki kamizelki, używając sobie na nim do woli, co dowodnie świadczyło, iż wszyscy w rodzinie dobrze wiedzieli, że to jagnię w skórze wilka.

- Cóż, Jack - powiedział, gdy wnuk już się z nim przywitał - więc przyjechałeś. Babcia się trochę niepokoiła. Byłaby bardzo rozczarowana, gdybyś nie przyjął jej zaproszenia. - Świszczący oddech przeszedł w sapnięcie. - A w jej wieku nie wolno się martwić.

Należy dodać - pomyślał Jack - że dziadek był tak samo zakochany w babci, jak ona w nim. Przyszedł mu na myśl portret ich dwojga, wiszący w galerii, namalowany zaraz po ślubie pięćdziesiąt cztery lata temu. Stanowili niezwykle piękną parę. Dziadek wyglądał wtedy tak jak teraz Alex. I pewnie tak jak ja - pomyślał Jack. On i Alex byli do siebie bardzo podobni.

- Czy dobrze zrozumiałem, dziadku? - zapytał. - To, co powiedziałaś, jest

dwuznaczne. Czy nie powinienem jej martwić nie przyjeżdżając, czy też krzyżując plany, które ma względem mnie w te święta?

Dziadek spojrział na niego i chrząknął. W tym momencie podszedł Peregrine Raine, cioteczny wnuk księżnej, i uściskał serdecznie dłoń Jacka. Chociaż był już cztery lata po ślubie, dopiero niedawno wypełnił najważniejszy obowiązek znanego mężczyzny, jak by to określiła babcia. W pokoju dzieciennym nie zamieszkał jeszcze jego potomek, ale wyglądało na to, że lada dzień przyjdzie na świat. Lisa, żona Perry'ego, była już w zaawansowanej ciąży, co stanowiło krępujący widok. Uśmiechnęła się do Jacka, który starał się nie spuszczać wzroku z jej twarzy, gdy się witali.

W pokoju zgromadziła się już cała rodzina i Jack w ciągu kolejnych piętnastu minut uklonił się lub zamienił z każdym kilka słów. Byli tam: Zebediah, wicehrabia Clarkwell, jego szwagier; Stanley Stewart, bratanek dziadka, ze swą żoną Celią; wuj Charles i ciocia Sara Lynwoodowie, rodzice Freddiego; wujeczna babka Emily Raine, siostra babci; Martin, jej niezona syn; Claude, jej drugi syn, i jego żona Fanny, rodzice Prue, Connie i Perry'ego. Przybyli też Prue ze swym mężem, sir Anthonym Woolffordem, i Connie z niedawno poślubionym Samuelem Robertsonem.

Nowych członków rodziny takie zgromadzenie mogło przyprawić o zawrót głowy, gdyż prawdopodobnie nie znali tu nikogo poza babką - pomyślał Jack. Uczenie się imion i ustalanie pokrewieństwa zajmie im dobre kilka dni.

Naraz drzwi salonu się otworzyły i weszła babka, wiodąc kilkoro nieznanym. Była ich spora grupka, lecz wzrok Jacka wyłuskał z niej tę najważniejszą osobę. Jedyłą w tym gronie młodą damę.

Bardzo młoda dama. Przyszło mu na myśl, że zaledwie skończyła szesnaście wiosen. Jednak nie wyglądała nawet na tyle. Ale przecież babcia nie próbowałaby swatać mu aż tak młodego dziewczęcia.

Była przeurocza. Nieduża, ciemnowłosa i niezwykle zgrabna. Tak śliczna, że mogła przemówić do zmysłów każdego mężczyzny i pozbawić go tchu. Ale przecież to jeszcze dziecko - pomyślał wstrząśnięty Jack. Powinna raczej zostać w pokoju dzieciennym. No, może niezupełnie - przyznał - ale prawie.

To ma być ta kobieta - dziewczyna - którą babcia przeznaczyła mu na żonę? Z nią miałby spędzić resztę życia? Z tą właśnie kobietą miałby mieć dzieci?

Jack poczuł nagłą chęć, by znaleźć się tysiąc mil stąd. Pomyślał tęsknie o Reggie i jego doświadczonych dziewczętach. Pomyślał o dojrzałym, kobiecym ciele lady Finley - Dodd i jej sztuczkach. I znów fular stał się o trzy numery za ciasny.

Perry cicho gwizdnął mu do ucha.

- Ślicznotka, Jack - stwierdził. - Ty szczęściarzu, ależ znalazła ci piękność!

Jack nie odwrócił głowy, by sprawdzić, czy Lisa to słyszała. Słowa Perry'ego świadczyły, że dla niego babka nie wybrała piękności. I tak było naprawdę. Lisa miała dobre serce i wniosła mu duży posag, ale nie można było jej nazwać ładną. Perry jednak darzył ją uczuciem.

Jack starał się zająć czymś myśli. Babka właśnie przedstawiała księciu swą drogą przyjaciółkę, owdowiałą wicehrabinę Holyoke, jej syna i jego żonę, wicehrabiostwo Holyoke, oraz ich dzieci: pana Howarda Beckforda i pannę Julianę Beckford.

Uświadomiwszy to sobie, gwałtownie odwrócił głowę i spojrzał na Perry'ego.

- Dobry Boże - powiedział - to teraz ja wchodzę na scenę, Perry? Dlaczego aż do tej pory nie przyszło mi to do głowy? Kto by pomyślał, że babcia zamierza urządzić jedno z tych swoich amatorskich przedstawień!

Skrzywił się. Babka zawsze wystawiała jakąś sztukę z udziałem rodziny, kiedy zapraszała ich do Portland House. Ostatnio było to cztery lata temu - na pięćdziesiątą rocznicę ślubu jej i dziadka. Musieli przygotować „Ugnij się, by zwyciężyć”, mając zaledwie dwa tygodnie na próby. Zagrał w tej sztuce dużą rolę, a jego partnerką była Prue - jakby nie mogli mu znaleźć kogoś innego! Jego własna kuzynka! Nie Annę, na co liczył w skrytości ducha, lecz Prue. Annę partnerowała wtedy Alexowi.

Peregrine parsknął śmiechem. Tylko on jedyny - przypomniał sobie Jack - naprawdę lubił grać. No, może jeszcze Freddie... Dlatego był najlepszym aktorem. Wtedy po przedstawieniu trzy razy oklaskami zmuszono go do wyjścia na scenę.

Ale to nie był dobry moment, by myśleć o atrakcjach bożonarodzeniowego występu. Księżna na czele pochodu sunęła teraz w jego kierunku.

Panna Juliana Beckford wyglądała z bliska jeszcze ładniej. Jej porcelanowa cera była bez skazy. Ciemne rzęsy okalały także oczy, wielkie i piękne. Ale, Bożeż ty, przecież to jeszcze dziecko. Spodziewał się wręcz, że dziewczyna zwróci się do niego per „wujku”, i był niemal zdziwiony, kiedy dygnęła przed nim i zarumieniwszy się uroczo, wyjąkała coś w rodzaju „panie Frazer”.

Skłonił się, jak mógł najwytworniej, i pomyślał, czy aby nie popełnił nietaktu składając mniej uniżony ukłon przed mamą i papą dziewczęcia. Nie, będą oczarowani względami, które okazuje ich córce - podobnie jak jego babka.

Dobry Boże, czyżby służący zawiązał mu jakiś magiczny fular, który z minuty na minutę robi się coraz ciaśniejszy? Na dodatek ktoś wypompował całe powietrze z pokoju -

pomyślał. Byłby zdziwiony, gdyby któryś z członków rodziny nie gapił się teraz na niego.

Twarz brata dziewczyny wydała mu się jakby znajoma. W tej samej chwili Jack, ze wszystkich sił starając się powstrzymać grymas, przypomniał sobie, że widział go na ostatnim spotkaniu u Reggiego, jeszcze w lecie. To właśnie on sprzątnął mu sprzed nosa aktoreczkę, na którą miał chętkę.

- A więc jesteśmy już w komplecie - oznajmiła księżna zgromadzonym, którzy umilkli posłusznie. Miała dziwny dar; kiedy chciała przemówić, nie musiała robić ani jednego gestu, by natychmiast wokół niej zapadła cisza. - Albo prawie w komplecie. - Spojrzała na księcia, który wstał oczekując dalszych instrukcji, ale zaraz został posadzony z powrotem na fotelu przez Alexa i Stanleya, stojących po obu jego stronach. - Jutro przyjedzie ktoś, kogo nazwiska nie ujawnię, żeby wam zrobić niespodziankę.

Podniósł się szmer niezadowolenia wśród tych, którzy nie znosili niespodzianek i niepewności. Jack nie brał w tym udziału. Nie wiedzieć jak, znalazł się w pobliżu przeznaczonej dla niego panny. Splótł więc ręce z tyłu, przywołał uśmiech na usta i zaczął się do niej zalecać.

ROZDZIAŁ DRUGI

Isabella Gellee, hrabina de Vacheron, jechała z Londynu na południe luksusowym, resorowanym powozem, który wysłał po nią książe Portland. Miała własny powóz - wyjaśniła w liście do księżnej, ale jej wysokość odpisała, że książe nalega, by przyjechała jego. A księcia nie można było odwieść od raz powziętego postanowienia.

- Mamo, daleko jeszcze? - zapytała szczupła, ciemnowłosa dziewczynka siedząca naprzeciw niej.

- Niedługo będziemy na miejscu - odrzekła Isabella uśmiechając się ciepło do córeczki, która zwykle grzecznie i cierpliwie znosiła długą podróż. Ludzie często chwalili dziewczynkę za dobre zachowanie. Isabella jednak czasami wołałaby, aby Jacqueline była trochę psotna, bardziej ruchliwa - tak jak inne dzieci.

Usłyszawszy senne pomruki i sapanie, Isabella pochyliła się z uśmiechem. Marcel poruszył główką na jej podołku i oparł się rączkami o nogę matki, szukając wygodniejszej pozycji. Nie obudził się i przestał mruzczyć, gdy Isabella położyła delikatnie dłoń na jego jasnych włoskach.

Synek narzekał, płakał, marudził, wiercił się i ziewał przez całą drogę, wypełniając powóz jękami. Niezbyt lubił podróżować. Ale zgodnie ze swoją łagodną naturą zwinął się wreszcie w kłębek i zasnął. Isabella miała nadzieję, że nie obudzi się, zanim dojadą do Portland House. To na pewno już blisko.

Wciąż nie mogła się nadziwić, że udało jej się spełnić wszystkie swe marzenia i ambicje - a nawet osiągnąć więcej. Mówiono - i była to opinia wielu ludzi, wpływowych i znających się na rzeczy - że jest największą aktorką swoich czasów. Wydawało się to przesadą, ale tak właśnie była traktowana. Po powrocie z Francji wiosną tego roku grała w wypełnionych po brzegi salach przed zachwyconą publicznością, która każdego wieczora wstawiała z miejsc, klaskając ile sił i wzywając ją raz po raz do ponownego wyjścia na scenę.

Spełniło się jej marzenie, cel, do którego dążyła z wielkim poświęceniem od dziesięciu lat.

I niespodziewanie stwierdziła, że sukces zjednał jej szacunek wszystkich. Kiedy dziewięć lat temu uciekła do Francji, nieszczęśliwa, przerażona i niepewna, zaczęła się dopiero wspinać po drabinie sukcesu. Nawykła do tego, że ludzie odnosili się do niej bez większego respektu. Nawet gdy poznała Maurice'a i wyszła za niego za mąż, spotykała się z rezerwą ze strony jego rodziny i innych francuskich arystokratów, którzy starali się

postępować zgodnie z dawnymi konwenansami, choć czasy bardzo się zmieniły. Lecz właśnie we Francji doceniono ją jako aktorkę - częściowo dzięki jej talentowi i ciężkiej pracy, a częściowo dzięki wpływom Maurice'a. Grała dla samego cesarza Napoleona - została przez niego zauważona i pochwalona.

Właściwie nie oczekiwała, że jej sława dotrze do Anglii. A już na pewno nie spodziewała się, że zdobędzie tu sobie szacunek, chociaż wróciła do kraju jako osoba z pewną pozycją i przywiozła ze sobą małego hrabiego de Vacheron - Marcel bowiem odziedziczył ten tytuł po śmierci ojca dwa lata temu.

A jednak zyskała tu sobie i sławę, i szacunek.

Przypuszczała, że spędzi Boże Narodzenie z dziećmi w domu, tak jak w zeszłym roku we Francji. Dostała jednak dwa zaproszenia na święta. W swej wiejskiej rezydencji chciał ją gościć lord Helwick. Był to bogaty, wpływowy i przystojny mężczyzna, starszy od niej o jakieś dziesięć lat. To zaproszenie kusilo ją perspektywą uczuciowej stabilizacji. Na pewno zostałaby jego kochanką, sam lord zaś traktował ją z podobną atencją jak niegdyś Maurice.

Również książę i księżna Portland zaprosili ją do swej wiejskiej posiadłości, gdzie zamierzali spędzić święta z całą rodziną. Miała być ich honorowym gościem - księżna wyraźnie to zaznaczyła. Uczyniłaby wielki zaszczyt ich rodzinie i gościom, gdyby zechciała zaprezentować im swój wspaniały talent aktorski. Może wybrałaby jakąś niewielką, najwyżej godzinną scenkę? Nie chcieliby naturalnie, aby czuła się zobowiązana do spełnienia tej prośby. Jeśli będzie wolą odpocząć i spędzić święta w spokoju, wszyscy doskonale to zrozumieją.

Isabella uśmiechnęła się i czule otoczyła ramieniem śpiącego synka, gdy naraz powóz skręcił i zauważyła, że minawszy bramę, jechali teraz drogą należącą do posiadłości.

- Widzisz? - zwróciła się do Jacqueline. - Już prawie dojechaliśmy. Byłaś bardzo grzeczna.

Pomyślała, że księżna robi wrażenie osoby o silnym charakterze, lubiącej rządzić. A słyszała, że jego wysokość także jest despotą. Być może więc pożałuje, że wybrała właśnie to zaproszenie.

Nagle przeszedł ją dreszcz i pierwszy raz, odkąd wyjechała z Londynu, poczuła, że ze strachu ściska ją w żołądku. Dlaczego wybrała się w gości do tej rodziny, której najbardziej ze wszystkich powinna unikać? I jak już sto razy przed wyjazdem, znowu zaczęła się zastanawiać, czy go tam spotka. Pochodził właśnie z tej rodziny, był wnukiem księcia i księżnej. Bardzo prawdopodobne, że tam będzie. Księżna powiedziała, że przyjedzie cała rodzina.

Nawet gdyby go miało nie być, i tak nie powinna tam jechać. Ale jeśli będzie...

Pogładziła delikatnie ramię Marcela i pochyliła głowę, by pocałować go w puciołowaty policzek.

- Obudź się, śpioszku - szepnęła mu do ucha. - Dojeżdżamy.

Usiadł od razu, ziewnął, przetarł oczy i już był całkiem rześki, i podskakiwał na siedzeniu, patrząc z okna powozu na drzewa oraz dom wyłaniający się zza zakrętu.

- Czy będą tam inne dzieci, z którymi mógłbym się bawić, *maman*? - zapytał. - Będziemy mogli bawić się na dworze? Spójrz na ten dom, Jacquie.

- Odpowiedź na oba pytania prawdopodobnie brzmi „tak” - odparła Isabella, próbując przeczesać palcami potargane z jednej strony włoski i sięgając do torebki po grzebień. Marcelowi dobrze by zrobił kilkutygodniowy pobyt na wsi. W Londynie ze względu na rozmaite ograniczenia nie mógł dać ujścia swej energii. Był to też jeden z powodów, dla których rozważała nawiązanie romansu z lordem. Miał on bowiem posiadłość na wsi.

Nie powinnam była tu przyjeżdżać - pomyślała znowu, gdy powóz wtoczył się na brukowany podjazd przed pałacem i zwolnił przed wielkimi dwuskrzydłowymi drzwiami. Wielkie nieba, to tu mieszkają jego dziadkowie! A może i on sam.

Większość czasu spędzał w Londynie. Wiedziała o tym. Ale nie spotkała go jeszcze, odkąd wiosną wróciła do Anglii. Spodziewała się, że przyjdzie do teatru na jej przedstawienie, lecz nie zrobił tego. Naturalnie nigdy nie miał okazji podziwiać jej gry. Oczekiwała, że spotka go gdzieś w ciągu tych kilku miesięcy, ale tak się nie stało.

Może właśnie dlatego tu przyjechała. Może chciała się z nim spotkać. Ale myśl o tym przerażała ją.

Nie, tylko nie to. Nie chciała się z nim zobaczyć.

A więc dlaczego przyjechała? Dlaczego wróciła do Anglii, gdy we Francji miała ugruntowaną sławę, mogła cieszyć się powodzeniem i majątkiem?

Drzwi powozu otworzyły się i jeden z odzianych w liberię lokajów podstawił właśnie schodki. Isabella oparła się na jego rękę i zeszła po stopniach na ziemię. Małeńka, ale nosząca się po królewsku księżna Portland, którą poznała miesiąc temu w Londynie, schodziła ze schodów, wyciągając do niej dłonie.

Isabella uśmiechnęła się i pozwoliła lokajowi sprowadzić dzieci po stopniach. Marcel jednak nie potrzebował pomocy. Usłyszała, jak jego stopki wylądowały na ziemi.

- Moja droga, to dla nas zaszczyt - rzekła z kurtuazją księżna. - Mam nadzieję, że miałaś przyjemną podróż. Co za śliczny mały chłopczyk i jaka grzeczna dziewczynka! Proszę, wejdź do domu, tam jest ciepło.

Oto więc jestem - pomyślała Isabella, idąc po schodach obok swej gospodyni i wchodząc do olbrzymiego hallu. Nic już nie można było na to poradzić. Nie miała tu nawet swojego powozu. Pozostało jej tylko mieć nadzieję, że jego tu nie ma.

A może jednak chciałyby, aby był?

Tajemniczego gościa nie spodziewano się przed południem. Choć kilkoro ciekawskich zagadywało księżnę w czasie kolacji, a potem śniadania, próbując się dowiedzieć nazwiska tej osoby, a Martin był nawet tak sprytny, że przy kieliszku porto niby od niechcienia zapytał o to księcia - jednak sekret pozostał nie wyjawiony. Nie mógł to być nikt z rodziny, wszyscy bowiem jej członkowie byli już na miejscu, a nikomu też nie swatano kawalera czy panny - poza Jackiem, który poznał już swą Nemezis w postaci panny Juliany Beckford. Któż więc to mógł być?

- Och, nie cierpię niespodzianek - rzekła Prudence po śniadaniu, wyrażając opinię całej rodziny.

Ale jej wysokość tylko uśmiechnęła się tajemniczo i z zadowoleniem, więc wszyscy niechętnie wrócili do swoich zajęć.

Jack, wiedząc, że nie ominie go konfrontacja z siostrzenicą i siostrzeńcem, potulnie dał się zaprowadzić do dziecinnego pokoju, nie chcąc sprawiać przykrości siostrze, która jakże błędnie sądziła, że jest to dla niego wielka przyjemność.

Właściwie nawet je lubię - przyznał wchodząc z siostrą do tego nawiedzonego miejsca, jakim był pokój dzieciny. Przypomniały mu się dawne Boże Narodzenia i inne święta, które jako dziecko przeważnie spędzał w tym właśnie pokoju, choć w czasach, jakie najlepiej pamiętał, on i jego kuzyni byli znacznie starsi, tak samo jednak - albo i bardziej - niesforni. Z wyjątkiem trojga dzieci Staną i Celi, z którymi można już się było dogadać, wszystkie inne maluchy nie umiały jeszcze chodzić albo dopiero raczkowały.

Wielce szanowny Rupert i jego siostra bliźniaczka Rachel z piskiem przypełzli do mamy i wujka. I oboje mieli mnóstwo do opowiedzenia, mimo że nie bardzo potrafili porozumieć się po angielsku ani w żadnym innym języku. Za nimi przywędrowały na czworakach Alice, córeczka Prue, i Catherine, dziewczynka Alexa, by zbadać, czy nowy przybysz z krainy dorosłych okaże się skłonny do zabawy.

Jack właśnie klęczał na podłodze z całą czwórką dzieciaków, rżąc niczym ranny koń, podczas gdy Rachel i Alice usiłowały zepchnąć siedzących mu na plecach Catherine i Ruperta, kiedy do pokoju weszły Annę i panna Beckford. W żadnej sytuacji Jack nie mógłby wyglądać żałośniej.

Annę jednak zaśmiała się tylko i ostrzegła go, że stwarza precedens, którego wkrótce

pożałuje - nigdy nie uda mu się stąd uciec, jeśli będzie się oddawał zabawie z takim entuzjazmem. Potem zaprowadziła Julianę na drugą stronę pokoju, gdzie jej synek, wielce szanowny Kenneth Stewart, dosiadał konia na biegunach.

Wzięła chłopczyka na ręce. Kiedy postawiła go na podłodze, mały roześmiał się tylko i trochę raczkując, a trochę pełzając, przemierzył pokój, by dołączyć do czwórki rozbrykanych dzieciaków.

Trzy panie zasiadły obok i zaczęły przyglądać się zabawie.

Na szczęście dla Jacka w tym momencie wszedł książę z synkiem Alexa, a zaraz za nimi zjawił się Freddie, który właśnie wrócił ze swym malcem z porannego orzeźwiającego spaceru.

- Dzięki Bogu, że mężczyźni mają tyle energii - rzekła Annę śmiejąc się, gdy zabawa zaczęła się na dobre, a wszyscy czterej panowie nieodwołalnie zostali do niej wciągnięci. Nawet księcia „ułożono do snu”, przykrywając niezliczoną liczbą szali i poduszek. - Juliano, Hortense, co powiecie na przechadzkę po ogrodach? Pogoda jest dość przyjemna.

Jack poczuł się znacznie swobodniej, gdy wyszły.

- Dobrze chociaż to - powiedział do Alexa, kiedy schodzili potem po schodach - że babcia nie zorganizowała rano rodzinnego zebrania, by ogłosić przygotowania do bożonarodzeniowego przedstawienia i rozdzielić role. Przynajmniej tego nam oszczędzono, Alex.

- Cii - syknął wicehrabia stanowczo. - Nawet o tym nie wspominaj. A nawet nie myśl. Jeśli babcia spróbuje nakłonić nas do spędzenia następnego tygodnia na próbach tylko po to, by mieć zabawę, nikt nie powstrzyma mnie przed morderstwem. I to najbardziej bestialskim.

- Rzecz w tym - zauważył Jack - że jeżeli już coś postanowiła, to wiesz tak samo dobrze jak ona, że nie wywinie się z tego. Ale nie planuje wystawienia sztuki, prawda?

- Nie wymawiaj tych słów - powtórzył kuzyn groźnie. - Taka myśl w ogóle nie powinna zaświtać ci w głowie. Lecz przynajmniej jedna rzecz jej się udała. Panna Beckford to śliczna i urocza młoda dama. Cieszysz się?

Jack spojrzał na niego z ukosa.

- A ty się cieszyłeś? - zapytał. - To znaczy wtedy, gdy chodziło o ciebie?

- Właściwie tak - odrzekł Alex. - Wydawało mi się, że nikogo nie pragnę bardziej niż Lorraine. Gdyby nie ta śnieżycyca, z powodu której musiałem ożenić się z Anne, poślubiłbym ją i uważałbym się za szczęśliwego człowieka.

- Ale nie żałujesz, że sprawy potoczyły się inaczej? - zapytał Jack.

- Skądże znowu - odparł Alex. - Ale babcia ma dobrą rękę. Panna Beckford to

wspaniały prezent dla ciebie.

- Tak - westchnął Jack. - Mimo to czuję się tak, jakbym miał wykraść dziecko z kołyski, Alex. Cóż, chyba nie muszę ci mówić, o co mi chodzi, nieprawdaż?

- Przyzwyczaisz się. To tylko kwestia czasu - stwierdził kuzyn. - Czy Hortense odeszła od stołu podczas śniadania z tego powodu, który mam na myśli?

- Tak. Najwyraźniej ona i Zeb nie marnowali ostatnio czasu - powiedział Jack. - I wydaje mi się, że dwojaczki są w naszej rodzinie czymś tak normalnym, jak u innych narodziny jednego dziecka. Biedna Hortie!

- Mnie wydaje się szczęśliwa - zauważył Alex. - To Zeb będzie się martwił, kiedy przyjdzie czas pożenić dzieciaki.

- O tak, święta prawda - zgodził się Jack. - Zastanawiam się, po co w ogóle ludzie zadają sobie trud, by mieć dzieci?

Kuzyn obrzucił go baczny spojrzeniem i skrzywił się.

- Któregoś dnia, Jack, mój chłopcze - rzekł - zrozumiesz, że przyjemności, których zaznajesz od lat i których ja także zaznałem, zanim poślubiłem Annę, mogą być jeszcze większe.

- Naprawdę? - zapytał Jack z widocznym zainteresowaniem.

- Wolałbym nie wchodzić w szczegóły przy kimś tak niedoświadczonym - powiedział Alex kładąc Jackowi dłoń na ramieniu i poklepując go. - To tak, jakby zasiać ziarno, mając świadomość, że wykiełkuje.

Jack miał rozpaczliwą nadzieję, że się nie rumieni.

- Ale co to za tajemniczy gość ma przyjechać dziś po południu? - zapytał Alex. - Jaką niespodziankę zgotowała nam babcia tym razem?

Jacka to nie interesowało. Miał na głowie inne sprawy. Na przykład zaloty, których, jak czuł przez skórę, nie uda mu się uniknąć.

Jest śliczna, to prawda. I taka słodka. Czas już się ożenić - pomyślał z niechęcią.

Tak, mam - powiedziała panna Juliana Beckford. Matka przyszła po nią do pokoju, by mogły zejść razem na herbatę. Dziewczyna była już gotowa.

- Wyglądasz zachwycająco, dziecko. - Lady Holyoke musnęła palcami policzek córki i pochyliła się, by ją pocałować. - To niezwykle przystojny mężczyzna, tak jak zapewniała cię babcia, i wprost przeuroczy. Nie ma co żałować, kochanie, że nie jest utytułowany. Ma dużą, przynoszącą spore dochody posiadłość i olbrzymi majątek, a Frazerowie to stara i szanowana rodzina. Jeśli książę i księżna Portland wydali swą córkę za jego ojca, to papa nie powinien mieć nic przeciwko temu, byś ty poślubiła jego syna.

- Tak, mam. - Juliana się uśmiechnęła.

Jednak to właśnie ojciec miał zastrzeżenia co do tego, że pan Frazer nie ma tytułu - chociaż z kolei fakt, iż jest wnukiem księcia, przemawiał na jego korzyść. Dla niej nie miało to znaczenia. Chciała mieć miłego męża, kogoś, z kim dobrze by się czuła. Skończyła dziewiętnaście lat. Dojrzała już do małżeństwa.

To prawda, pan Frazer był niezwykle przystojny. Wysoki i smukły, miał posępną urodę, zdolną poruszyć serce każdej kobiety. Spędziwszy z nim sam na sam kilka minut poprzedniego dnia przy herbacie i obserwując go wieczorem w salonie, nie zauważyła żadnej wady ani w jego urodzie, ani sposobie bycia. Babcia i ojciec dokonali chyba dobrego i mądrego wyboru.

Mimo to niestety nie polubiła pana Frazera. Nie, to niesprawiedliwe z jej strony. Bardzo starał się być miły i zachowywał się bez zarzutu. Ale był... no cóż, przede wszystkim był stary! Nikt nie powiedział jej, w jakim jest wieku, i mogła się tego tylko domyślać. Sądziła, że ma co najmniej trzydzieści lat. To jeszcze nieźle; jeśli się nie myliła, był od niej starszy tylko jedenaście lat. A jednak ta różnica wieku wydawała się jej przepaścią.

- Wszystko dobrze się układa - stwierdziła lady Holyoke, kiedy szły po schodach do salonu. - Okazał ci zainteresowanie, ale nie zrobił tego zbyt ostentacyjnie. Ma nienaganne maniere. Ty też powinnaś się tak zachowywać, kochanie.

- Tak, mam. Postaram się.

Przepaść istniejąca między nimi najbardziej uwidaczniała się w jego oczach. Miał oczy starego człowieka - w każdym razie starego dla dziewiętnastolatki. Były w nich obycie, cynizm, doświadczenie, które oddalały go o całe światy od niej. Czowała się zupełnie naga, kiedy na nią patrzył. Nie dlatego, żeby robił coś niewłaściwego czy patrzył na nią zbyt zuchwale. Miała tylko wrażenie, że wiedział dokładnie, jak ona wygląda rozebrana. Czowała, iż od dawna znał kobiety i ich ciała. I że był już cokolwiek tym znudzony.

Miała świadomość, że jej niewinność jest w jego oczach wadą. Miała wprawdzie dziewiętnaście lat, ale na swoje nieszczęście była drobna i wyglądała tak młodo, że mama i papa zwlekali z wprowadzeniem jej do towarzystwa rok czy dwa lata. A ona sama nie domagała się tego, gdyż lubiła życie w zaciszu domowym.

Nie chciała wyjść za mąż za kogoś, kto już tak długo żył na świecie, że zdążył się nim znudzić. Jednak będzie musiała go poślubić. Wybrali go dla niej babcia i ojciec, a ją wybrała dlań jego babka, księżna Portland. Było oczywiste, że zarówno on, jak i jego liczna rodzina wiedzieli o tym.

Juliana żałowała, że nie ma w pobliżu przyjaciółki - kogoś, komu mogłaby się

zwierzyć z tych wszystkich uczuć, jakie towarzyszyły jej podczas podróży i pierwszego dnia po przyjeździe do Portland House, kiedy już poznała pana Frazera. Ale nie było tu nikogo takiego. Mama się do tego nie nadawała. Howard był nie tylko jej bratem, lecz także przyjacielem, ale w tym przypadku nie potrafiłaby otworzyć przed nim serca. A wszyscy inni należeli do przeciwnego obozu. Każdy w jakiś sposób był związany z panem Frazerem.

Juliana westchnęła i przywołała na usta uśmiech, przypomniawszy sobie, że zaraz wejdzie do salonu, wydana na spojrzenia wszystkich obecnych.

Może tajemniczy gość księżnej w jakiś sposób ułatwi jej sytuację. Raczej nie będzie to nikt z rodu. Wtedy nie byłaby to niespodzianka. Juliana czuła się trochę przytłoczona liczebnością rodziny pana Frazera. Nie wiedziała jednak, czy ów przybysz będzie mężczyzną czy kobietą i czy to ktoś starszy czy młodszy.

Nie powinnam czuć się przytłoczona - pomyślała. Przecież to tacy sympatyczni i życzliwi ludzie. Tak jak pan Frazer. Zrobiło jej się różniej, kiedy przypomniała sobie, jak niedawno dzieci baraszkowały z nim w pokoju dzieciennym.

Juliana weszła do salonu u boku matki, uśmiechając się. Pan Frazer natychmiast porzucił swe towarzystwo przy kominku i spieszenie podszedł do niej. To było miłe. Wiedziała, że przyjaciółki by jej zazdrościły.

ROZDZIAŁ TRZECI

Tajemniczy gość, zapowiadany przez księżną, przybył, gdy wszyscy pili herbatę w salonie. Była to dama z dwojgiem dzieci, jak doniósł Martin Raine, który nie wiadomo po co wyszedł właśnie z pokoju. Zauważył przyjazd gościa, ale z powodu dużej odległości nie mógł stwierdzić, kim jest ta kobieta.

- Z dwojgiem dzieci, powiadasz - rzekł Charles Lynwood marszcząc brwi z namysłem.
- Kto to może być? Nie mamy już w rodzinie żadnego kawalera, którego trzeba by ożenić, nieprawdaż? Poza tobą, Martin. Może mama sprowadziła ją tu dla ciebie.

Zaśmiał się serdecznie ze swojego żartu i zaraził tym Freddiego, ale jego zawsze łatwo było rozśmieszyć. Wszyscy inni, którzy to słyszeli - a była ich większość - aż zamarli z zażenowania, mając na względzie Jacka, pannę Beckford i jej rodzinę. W obecnej sytuacji był to głupi i wyjątkowo nietaktowny dowcip. Natychmiast więc wszyscy bez wyjątku zaczęli beładnie mówić, tak że w efekcie podjęto naraz oszałamiająco wiele tematów. I nawet najmniej błyskotliwe uwagi wywoływały głośne wybuchy śmiechu.

Jednak kiedy otworzyły się drzwi, natychmiast ucichł gwar rozmów, a uwaga wszystkich skupiła się na księżnej i towarzyszącej jej damie - bez wątpienia dokładnie tak, jak to sobie starsza pani zaplanowała.

- Widzicie, kochani? - zapytała z niepotrzebnym kłaśnięciem w dłonie, które miało zwrócić ich uwagę. - Widzicie, jakąż to wspaniałą niespodziankę dla was przygotowałam? Wiem, że zastanawialiście się, czy nie zechcę wystawić przy waszym udziale jakiejś sztuki na Boże Narodzenie, i wstrzymywaliście oddech w nadziei, że tym razem nie przyszło mi to do głowy, wy niewdzięcznicy! Cóż, rzeczywiście o czymś takim myślałam, ale postanowiłam, że tym razem dam wam odpocząć i poleniuchować. Stąd mój pomysł. W tym roku wróciła z Francji największa aktorka naszych czasów. Pomyślałam, jak by to było cudownie, gdyby udało mi się zaprosić ją i jej dzieci na Boże Narodzenie i namówić, by w pierwszy dzień świąt pokazała nam, na czym polega prawdziwe aktorstwo. Oczywiście wszyscy znacie hrabinę de Vacheron. Nie muszę jej więc przedstawiać.

Z szerokim uśmiechem zwróciła się w stronę swego gościa.

Hrabiny de Vacheron rzeczywiście nie trzeba było przedstawiać. Księżna mogła się poczuć naprawdę usatysfakcjonowana widząc, jaki efekt wywarły na zgromadzonych jej słowa i pojawienie się gościa. Spojrzenia wszystkich skierowały się na tę znaną z piękności angielską aktorkę, która wyjechała do Francji prawie dziesięć lat temu, kiedy nie była jeszcze

taka sławna, i tam wyszła za mąż za francuskiego arystokratę. Wiosną wróciła do Anglii, będąc u szczytu popularności. Co więcej, wróciła jako osoba utytułowana, obracająca się wśród wielkich tego świata. Osiągnęła tak wysoką pozycję towarzyską, jaką rzadko zdobywały aktorki.

Sprowadzenie hrabiny de Vacheron do Portland House na święta było niewątpliwie wielkim sukcesem księżnej. Obecni w salonie zaczęli więc klaskać uprzejmie, niemal tak jakby sławna aktorka coś dla nich zagrała. A potem dały się słyszeć pomruki zachwyty, a nawet okrzyki entuzjazmu.

Hrabina uśmiechnęła się i z wdziękiem skłoniła głowę, dziękując za uznanie. Ze swą zapierającą dech urodą - wysoką i kształtną sylwetką, złocistymi włosami i delikatnymi rysami - zwykle sprawiała na urzeczonej publiczności wrażenie bogini nie z tego świata.

- Chodź, moja droga - rzekła księżna z królewskim dostojeństwem. Otoczyła ramieniem wyższą od siebie kobietę i pewnym krokiem poprowadziła ją w głąb salonu. - Przedstawię ci naszą rodzinę i gości, a potem chciałabym, abyś czuła się jak w domu.

Postępowała zgodnie z tym samym ceremoniałem co poprzedniego dnia, prowadząc gościa przez środek pokoju do księcia, któremu Peregrine i Stanley pomogli wstać. Jack, konwersujący z Julianą i jej bratem, przeprosił ich i przeszedłszy nonszalancko przez salon, stanął samotnie przy fortepianie. W ten sposób zyskał pewność, że zostanie przedstawiony wielkiej hrabinie na końcu. Przez chwilę nawet wydawało się, iż babcia o nim zapomniała, lecz cioteczna babka Emily wskazała na niego, więc księżna z ujmującym uśmiechem zwróciła się w jego stronę.

- I mój trzeci wnuk, kochanie - powiedziała. - Jack Frazer, syn mojej córki, lady Maud.

Niedawno przybyła znakomitość odwróciła głowę, by na niego spojrzeć.

Była niezwyklej piękności. Wiedział, że hrabina musi mieć prawie trzydzieści lat. Jednak na swój sposób jej uroda była tak samo nieskazitelna jak Juliany. A nawet bardziej żywa i ujmująca ze względu na urok dojrzałości. Już nie młodość, lecz doświadczenia życiowe i cierpienie złagodziły jej rysy. Była o wiele piękniejsza niż dziesięć lat temu.

Jack uśmiechnął się kącikami ust, gdy jej wzrok napotkał jego spojrzenie i zatrzymał je na chwilę. Na kilka milczących chwil.

- Witaj, Jack - odezwała się wreszcie miękkiem, dźwięcznym głosem, zdradzającym siłę, którą potrafił przybrać na scenie.

- Witaj, Belle - powiedział równie spokojnie.

- Ach! - rzekła księżna z widocznym zadowoleniem. - Więć się znacie. Wobec tego

powierzam ci hrabinę, Jack. Baw ją, a ja tymczasem poproszę, by przyniesiono wam herbatę i ciasteczka.

Jack nagle pożałował - i to gorzko pożałował - że babcia zrezygnowała ze swego żelaznego programu i nie wynalazła sztuki, którą mogliby przygotować na gwiazdkę. Żałował, że nie dostał w niej głównej roli, takiej, która zajęłaby mu każdą wolną chwilę, teraz i w święta. Wszystko byłoby lepsze niż to. Tysiąc razy lepsze.

- Minęło wiele czasu, Belle - powiedział uśmiechając się półgębkiem.

- Tak - przyznała. Nie spuściła wzroku z twarzy Jacka, jak się tego spodziewał - ani na jego podbródek, ani na fular. Patrzyła na niego śmiało tymi swoimi zielonymi oczami, które tak doskonale potrafiły wyrażać uczucia. - Dziewięć lat. Nie byłeś na żadnym z moich przedstawień, odkąd wróciłam?

- Nie - odparł - miałem ciekawsze zajęcia.

Nawet nie mrugnęła i wyraz jej twarzy się nie zmienił.

- Niepotrzebnie pytałam - rzekła. - Wiedziałabym, gdybyś był na widowni. Wyczułabym twoją obecność.

Stali patrząc na siebie przez minutę lub dwie, dopóki Annę nie przyniosła filiżanki herbaty dla hrabiny i nie zaczęła konwersacji. Jack został jeszcze chwilę, po czym mruknął jakąś wymówkę i odszedł.

Tak, była o wiele piękniejsza niż kiedyś. Ale przecież z dziewczęcia stała się kobietą. I była teraz kimś - hrabiną de Vacheron i matką dziedzica tytułu, a nie początkującą aktoreczką.

Jego pierwsza kobieta.

Jego pierwsza miłość.

Jego jedyna miłość.

Nigdy nie zaznał już takiej namiętności.

Isabella zdawała sobie sprawę, że gdy aktor był już znany, a nawet sławny, zaczynał grać także poza sceną. Życie takiej osoby samo stawało się w pewnym sensie przedstawieniem. To było coś, czemu nie chciała ulec. Pragnęła być sobą, gdy przebywała w towarzystwie innych, tak samo jak wtedy, kiedy była sama albo z dziećmi. Ale to nie było łatwe.

Teraz jednak cieszyła się, że potrafi grać, udawać spokojną i pewną siebie, a nawet łaskawą, gdy tak naprawdę czuła się zupełnie inaczej.

Księżna najpierw zabrała ją i jej pociechy do dzieciennego pokoju, gdzie przedstawiła je starszym jego mieszkańcom. Wokół nich zebrały się całe hordy zaciekawionych maluchów.

Jacqueline przyjmowała to wszystko ze spokojem. Marcelowi natomiast zabłyśły oczy.

Potem księżna zaprowadziła hrabinę do jej pokoju i zabawiła ją rozmową, podczas gdy ta myła dłonie i twarz, przebierała się, a pokojówka czesała jej włosy. Przez cały ten czas Isabella uśmiechała się, uczestniczyła w rozmowie i zachowywała się tak, jakby serce wcale nie tłuło jej się w piersi i jakby wcale nie pragnęła uciec z tego pokoju, zbiec po schodach i ruszyć co koń wyskoczy w kierunku Londynu.

Kiedy weszły do salonu, wydało jej się, że go tam nie ma. Rozejrzawszy się uważnie, nie dostrzegła żadnej znajomej twarzy. Ale wyczuła jego obecność i po chwili - mimo że nie patrzyła w tamtym kierunku - zauważyła go stojącego przy fortepianie po drugiej stronie salonu.

Ci wszyscy ludzie, którzy spojrzeli na nią z uprzejmym zainteresowaniem i pochlebającym jej podziwem, gdy rozpoznali w niej znaną aktorkę albo kiedy z ust księżnej dowiedzieli się, kim jest - ci wszyscy ludzie byli jego krewnymi. A ona była niegdyś jego kochanką. Przez cały rok żyli razem. A potem opuściła go i wyjechała do Francji...

Nigdy bardziej niż teraz nie dziękowała niebiosom za swe zdolności aktorskie i za to, że była w stanie z godnością stawić czoło temu tłumowi nieznanym. Gdy tak stała i patrzyła na nich wszystkich, ludzi z krwi i kości, wiedziała, że nie powinna była tu przyjeżdżać. I pomyślała z pewnym żalem o lordzie Helwich i jego zaproszeniu.

Jack się zmienił. To było jej pierwsze wrażenie, kiedy wreszcie znalazła się przy nim, i musiała na niego spojrzeć i odezwać się. Te dziewięć lat, które minęło od czasu, gdy widziała go po raz ostatni, odcisnęło na nim swoje piętno. Nie był już chłopcem, choć i wtedy miał dwadzieścia jeden lat. Nie był już tak chłopcę szczupły ani nie miał tego otwartego, żarliwego spojrzenia, które sprawiało, że wydawał jej się taki piękny i pociągający.

A jednak teraz był przystojniejszy. Miał ciało mężczyzny, ciągle smukłe, lecz silniejsze. Jego rysy stały się bardziej męskie, a twarz była uderzająco piękna. Ciągle miał mocne, ciemne włosy. Natomiast oczy - te urzekające ciemne oczy - zmieniły się. Były w nich cynizm, szyderstwo, zarówno w stosunku do siebie, jak i do innych. A w grymasie ust było coś z pogardy, kiedy niewyraźnie uśmiechnął się do niej. Przecież to nie był wcale uśmiech - uświadomiła sobie.

Zdołała wymówić jego imię. Zdołała zamienić z nim kilka zdawkowych słów - choć nie wiedziała o czym - podobnie jak z Annę, wicehrabiną Merrick, która do nich podeszła. I cały czas czuła się tak, jakby jakaś gigantyczna pięść zadała jej cios w żołądek.

Bardzo pragnęła znowu go zobaczyć i jednocześnie bała się tego. Nie miała jednak pojęcia, jak to będzie, kiedy się spotkają.

Jack!

Kochała go z szaleńczym, głupim, bezgranicznym oddaniem, właściwym młodości. A potem znienawidziła go z taką samą gwałtownością. Nie. Nigdy nie była w stanie go nienawidzić. Nigdy tak do końca. To nie była nienawiść. Po prostu pogodziła się z rzeczywistością i nie mogła wybaczyć sobie naiwności, która nie pozwalała jej od początku zobaczyć wszystkiego we właściwym świetle.

Po chwili odszedł, zostawiając ją w towarzystwie wicehrabiny. Natomiast przyłączył się do nich wicehrabia - podobieństwo między nim a Jackiem było bardzo wyraźne - a potem jeszcze lady Sara Lynwood i pan Martin Raine. Uśmiechała się i rozmawiała, jakby nic na świecie jej nie obchodziło, a jedynie cieszyła się perspektywą radosnych świąt, które miała spędzić w Portland House.

Straciła Jacka z oczu. Pomyślałaby, że wyszedł z salonu, gdyby nie ten szósty zmysł, który dawał o sobie znać, kiedy on był w pobliżu. Zastanawiała się, co Jack teraz czuje. Złość, że właśnie tu musiała przyjechać? Smutek, gdy ją zobaczył? A może cichą radość, że znowu się spotkali? Całkowitą obojętność? Przecież minęło dziewięć lat od czasu, gdy była jego kochanką.

Poczuła na ramieniu dotknięcie delikatnej, małej dłoni i uśmiechnęła się do bardzo ładnej młodziutkiej dziewczyny, której imienia nie mogła sobie przypomnieć.

- Nigdy nie byłam w Londynie - powiedziała dziewczyna - i nigdy nie widziałam pani na scenie. Ale Howard, mój brat, mówi, że jest pani najlepszą aktorką, jaką kiedykolwiek przyszło mu oglądać. To musi być wspaniałe mieć taki talent jak pani.

Juliana jakaś tam. Isabella była z siebie niezadowolona. Szczyciła się tym, że potrafiła zapamiętać nazwiska nawet bardzo wielu przedstawianych jej osób.

- Dziękuję - odrzekła. - Aktorstwo to coś, co zawsze bardzo mnie pociągało. Będzie pani w najbliższym czasie w Londynie? Na przykład w sezonie?

- Och, chyba nie. - Dziewczyna oblała się rumieńcem. - Może dopiero po ślubie. Ojciec znalazł dla mnie dobrą partię. Dlatego tu jesteśmy. Pan Frazer... - Poczzerwieniła jeszcze bardziej i zagryzła wargę. - Na razie niczego jeszcze nie ustalono. Nie powinnam była o tym mówić. Proszę mi wybaczyć.

- Niczego nie słyszałam. - Isabella uśmiechnęła się ciepło, a dziewczyna odpowiedziała nieśmiałym uśmiechem. - Dużo tu zamieszania. Pani, podobnie jak ja, nie należy do rodu księcia Portland. Jesteśmy w wyraźnej mniejszości.

- Tak - odparła Juliana. - Ucieszyłam się, gdy się okazało, że tajemniczy gość księżnej jest kobietą, i to... młodą. Pomyślałam, że mogłybyśmy... zostać przyjaciółkami?

Znowu się zaczerwieniła.

Isabella ciągle miała na ustach uśmiech, kiedy podeszli do nich pan Howard Beckford - ach, tak, oczywiście, tak nazywa się ta dziewczyna - i pan Peregrine Raine.

Poczuła się, jakby gigantyczna pięść zadała jej drugi cios. Dobrze mi tak - pomyślała. Sama jestem sobie winna. To miały być rodzinne święta, w czasie których planowano uroczyste zaręczyny.

Zaręczyny Jacka z panną Juliana Beckford.

Z tą śliczną, nieśmiałą, uroczą dziewczyną, która chciała się ze mną zaprzyjaźnić.

Och, dobrze mi tak.

Obserwował ją podczas obiadu i potem w salonie, jak flirtowała z jego wszystkimi męskimi krewniakami, począwszy od dziadka. Dziadek posapywał i puszył się, Freddie krygując się chichotał, a Perry do tego stopnia zapomniał o dobrym wychowaniu, że oparł się łokciami o stół i przechylał ku niej, by lepiej słyszeć, całkowicie ignorując siedzące po obu jego stronach cioteczną babkę Emily i Hortie.

Ale panie także spijały z jej ust każde słowo - musiał przyznać Jack. Tak jakby naprawdę była jakąś wielką damą, znacznieszą od nich, pochodzących z rodu księstwa Portland. Tak jakby naprawdę była największą aktorką dziewiętnastego wieku.

A przecież była nikim. Córką wiejskiego nauczyciela. Przyjechała do Londynu, by zdobyć majątek, i żyła na całkiem dobrym poziomie, sypiając z takimi mężczyznami jak on. Zaczęła grać na scenie, szybko zyskując popularność w ciągu tego roku, kiedy byli razem. Po gwałtownej kłótni zniknęła nagle pewnego dnia i rok później pojawiła się we Francji jako narzeczona hrabiego de Vacheron, by uwieńczyć swą karierę. Grała dla samego cesarza Napoleona, który wraz z dworem oklaskiwał ją na stojąco. Nic nie mogłoby przyczynić jej większej sławy w ojczyznej Anglii niż uwielbienie śmiertelnego wroga Anglików.

I oto teraz siedzi przy stole jako honorowy gość jego dziadka, przykuwając uwagę całej rodziny, choć kiedyś była utrzymanką jednego z wnuków księcia. Płacono jej, by zaspokajała jego seksualne potrzeby.

Tylko że to nie było dokładnie tak. Och, Belle!

Czuł się niemal chory, widząc ją tu, w gronie jego krewnych. Jak śmiała się tu zjawić? Nie mogła przecież zapomnieć, że księżna Portland jest jego babką.

Może nic już dla niej nie znaczył. Może zapomniała o nim przez te dziewięć lat. Poznała przecież mnóstwo mężczyzn, między innymi swego męża. Ale przecież przed chwilą powiedziała mu, że gdyby w ciągu tych kilku ostatnich miesięcy był na jakimś jej przedstawieniu, wiedziałaby o tym.

Powinien jednak pamiętać, jaką była zręczną uwodzicielką.

Nie mógł tego dłużej znieść, kiedy po obiedzie panowie dołączyli do pań w salonie, a już zwłaszcza gdy siostra uśmiechnęła się do niego i przywołała do siebie. Siedziała na sofie obok jego byłej kochanki.

Udał, że nie zauważył jej gestu, i przeszedł na drugą stronę pokoju do fortepianu, przy którym siedziała panna Beckford, grając cicho dla swej babki i księżnej Portland. Z wyrazem słodkiej niewinności na twarzy, ubrana w białą suknię, stanowiła uroczy obrazek. Mógłbym się w niej zakochać, gdybym spróbował - pomyślał nagle. I zakocham się. Przecież ma być jego żoną, czyż nie? Pierwszy raz ucieszyło go to, że został zmuszony do starania się o jej rękę.

Jego była kochanka przebywała w jednym pokoju z jego przyszłą żoną. Przyszło mu na myśl, że babcia zemdlałaby, gdyby o tym wiedziała. Ale jakoś nie potrafił sobie wyobrazić, by księżna Portland mogła wpaść w histerię z jakiegokolwiek powodu.

Zaczekał, aż utwór się skończy.

- Pięknie - rzekł z uśmiechem. - Ma pani wielki talent, panno Beckford.

To nie była prawda. Potrafiła grać na fortepianie jak każda panienka z dobrego domu. Poprawnie i płynnie. Ale nie czuła muzyki.

- Dziękuję. - Zarumieniła się aż po czubek czoła, a kątem oka Jack zauważył, że ich babki wymieniły triumfujące spojrzenia.

- Musimy się kiedyś zebrać w salonie muzycznym i zagrać razem - rzekła księżna Portland, splatając dłonie na podołku. - Wciąż mam w pamięci nasze rodzinne wieczory muzyczne.

Na samo wspomnienie o tym Jacka zemdliło. Tak, było coś takiego. Kiedy nie przygotowywano jakiejś sztuki albo kiedy potem zostawała im jakaś wolna chwila, zmuszani byli do prezentacji swych talentów muzycznych - albo ich braku - przed babcią i dziadkiem. Prue grała na harfie, Perry i Martin - na skrzypcach, Claude - na flecie, a pozostali - na fortepianie. Większość z nich śpiewała - solo, w duecie, w kwartecie. Albo madrygały.

O Boże, madrygały! On, Alex i Perry z Prue, Hortie i Connie - wszyscy zawodzący fa - la - la i tra - la - la, i to w sześciu częściach. Elżbietańscy muzycy to musieli być doprawdy szczególnie ludzie! O dziwo, Freddie miał zawsze najlepszy głos, ale mógł śpiewać tylko solo. Kiedy próbował w duecie, nieodmiennie kończył wysokimi tonami unisono z sopranem albo niskimi - z barytonem. Jak kiedyś przyznał ku złośliwej uciesze kuzynów, dyrygent szkolnego chóru zawsze ustawiał przy nim - obok, przed nim albo za nim - kogoś, kto śpiewał tę samą partię.

- To byłoby cudowne - rzekła wdowa po hrabim Holyoke. - Juliana śpiewa jeszcze piękniej, niż gra. Miałabyś ochotę na taki muzyczny wieczór, nieprawdaż, kochanie?

- Tak, babciu - odparła dziewczyna spuszczać wzrok. Jack nie widział nigdy tak długich i gęstych rzęs.

- To wspaniale - powiedział. - Nie mogę się wprost doczekać, by posłuchać pani śpiewu, panno Beckford.

- Dziękuję - powtórzyła, unosząc głowę i patrząc mu w oczy.

Kiedy dorośnie, tymi oczami usidli każdego mężczyznę - pomyślał Jack. Z całą pewnością jednak nie chciał, by usidliła nimi kogokolwiek, ponieważ zanim dorośnie, będzie już jego żoną. Problem w tym, że do tego czasu on z kolei stanie się na wpół dziecinnym staruszkim. , - Za pozwoleniem pań - powiedział Jack wiedząc, że musiałby się teraz odwrócić i patrzeć, jak Belle przyjmuje hołdy - czy wolno mi zabrać pannę Beckford do galerii i pokazać jej obrazy?

To było zuchwałe posunięcie. Jeśli bowiem niezona mężczyzna zabierał do galerii Portland House niezamężną kobietę, która nie była jego siostrą ani kuzynką w linii prostej, oznaczało to, że chciał znaleźć się z nią na osobności, by skraść jej całusa, i że miał wobec niej uczciwe zamiary. Jeśliby jego zamiary nie były uczciwe, zaprowadziłby ją raczej do lasu pod jakieś drzewo o grubym pniu. Albo w inne ustronne miejsce. Cztery lata temu Jack pocałował Annę - zresztą ku jej wielkiemu oburzeniu - na środku kamiennego mostka przerzuconego przez bagniste jezioro. A kilka dni później za krzakiem różanym pocałował Rosę - z tym samym skutkiem. Rosę! Słodka mała Rosę. Co się z nią stało? Musi zapytać o to Ruby, jej siostrę.

Babcia z godnością skinęła głową.

- Doskonały pomysł - rzekła przyzwalając na pocałunek. Oczywiście, w uczciwych zamiarach.

- Jak to miło z pana strony, panie Frazer - dodała wdowa. Nie wiedziała naturalnie, co znaczy przechadzka po galerii. A może wiedziała? No bo przecież kto w środku ciemnej nocy pokazywałby dziewczynie portrety? Może w ten sposób dziękowała mu, że tak od razu zadeklarował swe intencje.

Ale cóż w niego wstąpiło, że pali za sobą mosty? Chce zagrać Belle na nosie?

Lecz kim jest dla niego Belle? Cokolwiek by się mówiło, sprowadzono ją tu dla ich rozrywki. Niby gość, ale jest tu w charakterze służącej.

Do diabła, jak śmiała tu przyjechać i psuć mu humor!

Kiedy panna Beckford wstała z taboretu, skłonił się przed nią i podał jej ramię. Była

niska, nie wyższa od jego babki. Czubkiem głowy nawet nie sięgała mu do brody. I taka filigranowa.

Wzięła go pod ramię, a on uśmiechnął się do niej. Mieli efektowne wyjście - stwierdził później w duchu. Zwykle wymykał się niezauważenie, wiedząc, że wszyscy się domyślają, gdzie i po co wyszedł. Potem, często już nazajutrz, musiał znosić aluzje i zaczepki ze strony innych mężczyzn. Ale tym razem nie wyślizgnął się chyłkiem. Z pewnym rozdrażnieniem uświadomił sobie - kiedy już nie można było niczego cofnąć - że zrobił to specjalnie, by Belle zauważyła jego wyjście.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Jest przestraszona - pomyślał patrząc na nią, kiedy szli po schodach. Bez słowa udała się z nim i jej ręka nie drżała pod jego ramieniem, ale czuł, że dziewczyna się boi.

Wydała mu się bardzo młodziutka. W ciągu dnia, a zwłaszcza od czasu popołudniowej herbaty, zastanawiał się, czy odpowiada mu taka młoda kobieta: czy wystarczy mu ten rodzaj przyjaźni, który mogła mu dać, czy zadowoli go jej niedoświadczenie w sztuce miłosnej, jakie wniesie do ich małżeńskiego łóża, czy widzi ją jako matkę swoich dzieci.

I doszedł do wniosku, że odpowiedź brzmi „tak”. Ponieważ musi się wkrótce ożenić - był już po trzydziestce - i ponieważ małżeństwo było raczej przymierzem niż związkiem uczuciowym, będzie dla niego dobrą żoną. Jej młodość okaże się zaletą w nadchodzących latach.

Teraz jednak musiał zastanowić się nad całkiem nową kwestią: czy on jej odpowiada. Jeśli jemu wydała się taka młoda, to czy on nie jest dla niej za stary? To była deprymująca i upokarzająca myśl. Przyzwyczał się już, że kobiety - co prawda, przeważnie starsze od niej - okazują mu względy, i szokiem była dla niego myśl, że któraś z nich może go nie chcieć.

A jeśli panna Juliana Beckford go nie chce?

Kiedy weszli do galerii, oswobodził ramię, by postawić świecznik na półce, skąd światło padałoby na całą długość sali, choć w niewystarczającym stopniu, by można było dobrze obejrzeć portrety. Świece rzucały długie cienie na ściany i łukowe sklepienie.

Juliana zadrżała.

- Jest pani zimno? - zapytał patrząc na nią i wiedząc, że wzdrygnęła się nie tylko dlatego, że był grudzień, a w galerii brakowało kominka.

Potrząsnęła głową.

Podszedł do dziewczyny i uniósł jej podbródek, tak że nie mogła patrzeć w dół.

- Czy pani się mnie boi? - zapytał. - Nie zrobię pani krzywdy.

- Nie, sir - odparła.

Patrząc w jej rozszerzone źrenice, wiedział, że jest zalękniona. I nagle sam się przestraszył. Miał do czynienia z bardzo młodą dziewczyną, do której się zalecał, zamiast flirtować z nią i próbować ją uwieść - to była dla niego nowość. Czy potrafi być delikatny? Cierpliwy? I czy w ogóle tego chce? Ale było już za późno na takie rozważania. Było za późno już wtedy, gdy zaproponował jej przyjście tutaj. Nie miał więc odwrotu.

Na myśl o tym wpadł w panikę, dopóki nie przypomniał sobie o Belle siedzącej teraz

w salonie. Nie, był zadowolony, że tak się to ułożyło. Najwyższy czas po temu. A dziewczyna była taka słodka, niewinna i wyjątkowo śliczna.

- Proszę mówić mi „Jack” - powiedział wychodząc naprzeciw temu, co nieuniknione. - Wolałbym, żeby zwracała się pani do mnie po imieniu.

- Dziękuję panu, sir - rzekła i zagryzła wargę.

Uśmiechnął się.

- Jesteśmy dla siebie przeznaczeni, Miano - powiedział. - Chyba ci o tym wiadomo.

- Tak, sir - odparła niemal szeptem.

- Czy ta myśl nie wydaje ci się przykra? - zapytał.

- Nie, sir.

Nie mógł się zorientować, czy mówi prawdę. Tak jak nie mógł wiedzieć, czy jest naprawdę przestraszona, czy tylko z oczywistych powodów zdenerwowana.

- Przyprowadziłem cię tutaj, by cię pocałować - powiedział. - Nasze babki są tego świadome, jak sądzę. To przyjęty etap zalotów.

- Tak, wiem - wyszeptała znowu.

- Więc mogę? - Ujął jej twarz w dłonie i czekał na odpowiedź.

Miała jedwabiste włosy. Jej cera była delikatna jak płatek kwiatu.

- Uhm.

Pocałował ją tak, jak od dawna nie całował żadnej kobiety. Tak jak na początku całował Belle. A może nie. Kiedy ją pierwszy raz całował, także się z nią kochał.

Pocałował ją delikatnie, czule, z zamkniętymi ustami. To było tylko dotknięcie warg. Nie przyciągnął jej do siebie. Pocałunek był dla niego nawet podniecający. Przyszło mu na myśl, co by się stało, gdyby posunął się dalej. Przypuszczał, że w pewnym momencie przestraszyłaby się, zastygła albo wpadła w panikę. Dowiem się wszystkiego po ślubie - pomyślał.

Teraz jednak nie wpadła w panikę. Choć się nie poruszyła, nie oparła o jego pierś ani go nie objęła, trwała tak dotykając miękkimi ustami jego ust, a nawet je lekko przyciskając.

Ciągle trzymał jej twarz w dłoniach, mimo że uniósł już głowę.

- Najśłodsza Juliano - rzekł. - Odpowiesz mi na pytanie? Czy w jakikolwiek sposób ktoś zmusza cię do tego małżeństwa? Czy może jesteś niechętna moim staraniom?

Jak mógł oczekiwać prawdziwej odpowiedzi?

- Nikt mnie do tego nie zmusza - odparła. Zauważył, że patrzy mu prosto w oczy. - Jestem już w odpowiednim wieku do małżeństwa, więc papa i babcia uznali pana za właściwego męża dla mnie.

- Zawsze jesteś posłuszna rodzicom? - Uśmiechnął się do niej.

- Staram się, sir - odpowiedziała.

Będzie słodką i uległą żoną. A do tego uroczą. Przyzwyczaję się do tej myśli - stwierdził. Szczęściarz ze mnie. Inni mężczyźni będą mi zazdrościli.

Ale wcale nie był przekonany, czy rzeczywiście uda mu się przyzwyczać.

- Pozostał jeszcze tydzień do świąt - powiedział. - Powiem ci, jakie są plany mojej babki, choć nie raczyła uzgodnić ich ze mną. Chce, abyśmy omówili rzecz między sobą, potem musiałbym rozmówić się z twoim ojcem i gdy już wszystko zostanie ustalone, w Boże Narodzenie ogłosi się nasze zaręczyny. Będzie uroczysty obiad, po nim przedstawienie teatralne, a wieczorem bal. Ale to dopiero za tydzień.

- Tak - rzekła.

- Poczekam tydzień, zanim ci się oświadczę - powiedział. - Do Wigilii. Do tego czasu nie chciałbym ci wiązać rąk. Jeśli mnie nie polubisz, zgorszę nasze rodziny nie składając oświadczeń. Czy to uczciwe postawienie sprawy?

Wiedział, że przez tydzień nic się nie zmieni. Doszedł do punktu, z którego nie mógł się już wycofać. Przyjechał do Portland House, poznał ją i bawił rozmową, i wreszcie zabrał ją tu, do galerii. Nie miał odwrotu. Ale nie chciał, by ona wpadła w pułapkę. Choć może już w niej była.

Możliwe, że tak samo jak on nie mogła się wycofać. Lecz nie chciał jej do niczego zobowiązywać, nie dając szansy, by go lepiej poznała.

- Nie mogę powiedzieć, że pana nie lubię - rzekła. Odjął ręce od jej twarzy, jednocześnie przesuwał palcem po policzku i podbródku Juliany.

- Młode damy, które mnie lubią, mówią do mnie „Jack” - powiedział. - Dajmy sobie tydzień. Nie mogę pozwolić, by wszystko toczyło się po myśli babci. Niech przez parę dni ma się czym martwić.

Po raz pierwszy uśmiechnęła się swobodnie i wyglądała na prawdziwie rozbawioną.

- Pańska babcia też na to cierpi? - zapytała.

- Może się od siebie zaraziły? - Skrzywił usta w uśmiechu.

- Tak, chyba masz rację... Jack - odparła. Wysiłek, z jakim głośno wypowiedziała jego imię, był tak widoczny, że Jack nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

- No, to zrobiliśmy wielki krok naprzód - powiedział. - Obejrzałaś już portrety?

Skinęła głową, ciągle rozbawiona.

- Nikt cię nie będzie o nie pytał - rzekł - więc nie musisz niczego o nich wiedzieć. Nikt nie przypuszcza, żeś w ogóle na nie spojrzała. Byliby gorzko rozczarowani, gdybym na to

pozwoił.

Podał dziewczynie ramię, wziął świecznik i sprowadził ją po schodach do salonu. Dobry początek - pomyślał. Polubił ją i wierzył, że jeśli będzie cierpliwy i rozważny, ona także go polubi.

Czy mógłby ją pokochać? To nie była najważniejsza kwestia. Ale tak - powiedział sobie - mógłbym ją pokochać.

Raz już kiedyś kochał. Namiętnie, zaborczo, beznadziejnie. Kochał kobietę, która nie powinna była go kochać, kobietę, która go wykorzystała i wreszcie porzuciła. I on też nie powinien był kochać tej kobiety. Nie mogła zostać jego żoną, matką jego dzieci. Ale kochał ją z młodzieńczym brakiem rozsądku i umiarkowania.

Zakrył twarz dłońmi pomyślawszy, że ta pierwsza miłość siedzi teraz w salonie, że będzie w Portland House w czasie świąt jako honorowy gość jego dziadków.

Zamierzał pokochać Julianę, tak jak mężczyzna może kochać kobietę - mądrze i czule, i... O Boże, nic nie wiem o miłości! - pomyślał.

Juliana zdjęła dłoń z ręki Jacka, gdy tylko wrócili do salonu, i usiadła obok matki. Tylko dzięki opanowaniu, którego jej od lat uczono, nie skuliła się i nie ukryła twarzy w dłoniach. Matka uśmiechnęła się do niej i Juliana poznała po tym uśmiechu, że wie, iż jej córka ma już za sobą pierwszy w życiu pocałunek. I kiedy dziewczyna uczyniła wysiłek, by rozejrzeć się po pokoju, miała wrażenie, że wszyscy o tym wiedzą, tylko z uprzejmości nie dają niczego po sobie poznać.

Był nadspodziewanie miły i delikatny. Na początku przeraziła się, gdyż dobrze wiedziała, po co idą do galerii, jednak jej obawy pierzchły. I pocałunek nie był tak straszny, jak się spodziewała. Choć czuła, że pocałował ją jakoś powściągliwie i że mógł to zrobić zupełnie inaczej. Wciąż więc będzie się bała drugiego pocałunku i potem następnego. Aż do nocy poślubnej, kulminacji wszystkiego. Nie wiedziała jednak, jak to będzie. Matka powie jej o tym dzień przed ślubem.

Dał jej jeszcze tydzień, by mogła się zastanowić i poznać go, zanim ostatecznie się z nim zwiąże. To miły gest z jego strony. Pewnie nie wie, że ona nie może się już wycofać. Zgodziła się tu przyjechać. Powiedziała mamie, papie i babci, że chce wyjść za mąż za pana Jacka Frazera.

Nie, nie mogła już zmienić zdania. Ale przynajmniej teraz łatwiej było jej się z tym pogodzić. Cynizm, który dostrzegła w jego oczach, nie czynił go nieczułym ani zimnym. Pomyślała, że chyba go polubi.

Och, Boże, żeby tylko nie była takim dzieckiem w jego obecności! Właściwie nie

czuła się dzieckiem, ale tak się zachowywała. Czyżby dlatego, że traktował ją jak małą dziewczynkę? Był nawet zbyt miły i zbyt delikatny. Widział w niej dziecko? Pożałowała, że jest taka drobna. I wiedziała, że jej pocałunek musiał być okropny. Nie miała pojęcia, co powinna była zrobić, więc tylko stała i czekała.

W tym tygodniu będzie musiała bardziej się postarać. Gdyby tylko nie znajdowała się wciąż w otoczeniu jego rodziny.

Rozejrzała się nagle, szukając wzrokiem hrabiny de Vacheron. To była osoba, która mogłaby pomóc jej zwalczyć nieśmiałość. Hrabina wydawała się tak doskonale opanowana, pewna siebie. Wzbudzała w Julianie wielki podziw.

Ale hrabiny nie było w salonie.

- Dobry początek, moja droga - rzekła matka nachylając się ku niej, by nikt nie usłyszał, co mówi. - Nie zatrzymał cię tam zbyt długo, a kiedy wróciliście, od razu podeszłaś do mnie. Doskonale. Wiedziałam, że będę z ciebie dumna.

- Tak, mam - odrzekła Juliana. - Staram się.

Niech mnie kule biją - powiedział pan Frederick Lynwood, kiedy Jack opuścił pokój, prowadząc Julianę pod rękę. - Ale z nich piękna para, co? Nie ma to jak rozum. Jack ma rozum i dlatego jej się podoba.

- I bez tego byłoby to zrozumiałe, Freddie - odrzekła Prudence Woolford. - Kiedy byłam młodsza, uważałam za złośliwość losu fakt, że ja i Jack jesteśmy spokrewnieni. Nie powinno się mieć tak przystojnego kuzyna. - Westchnęła. - Lecz gdy poznałam Anthony'ego, przeszło mi to.

- Ona też mu się podoba - rzekł pan Peregrine Raine krzywiąc się. - Zresztą któremu wolnemu mężczyźnie nie podobałaby się taka dziewczyna? Prawdziwa ślicznotka. Zastanawiam się, co też mają zamiar robić w galerii. Jak myślicie? Oglądać portrety?

- A co innego mieliby tam robić? - zaśmiał się wicehrabia Clarkwell. - My też oglądaliśmy portrety, kiedy chodziliśmy tam w podobnych okolicznościach, czyż nie, Hortense?

- Zeb! - zaprotestowała jego żona rumieniąc się. - Oczywiście, że podziwialiśmy obrazy. Są tam obrazy, prawda? - Zrobiła wielkie oczy, udając zdziwienie.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- Jack nawet nie próbował wymknąć się z nią niezauważenie - rzekł wicehrabia Merrick. - Ma poważne zamiary i nie przeszkadza mu, że wszyscy o tym wiemy.

- Alexandrze - zganiała go żona. - Nie dość, że biedny Jack musi starać się o rękę panny na oczach całej rodziny, to na dodatek każdy stroi sobie z niego żarty. Powinniście się

wstydzić.

Wicehrabia wyszczerzył zęby uśmiechając się do niej, podczas gdy Peregrine zachichotał i zaraził tym Freddie - go, który zaśmiał się serdecznie.

Annę spojrzała przepraszająco na Isabelłę.

- Pewnie myślisz, że jesteśmy okropnie niedelikatni, Isabello - rzekła. - Biedny Jack... ten, który właśnie opuścił salon... ma poślubić dziewczynę, którą wybrała mu babka Alexandra, to jest księżna, więc wszyscy tu zgromadzeni przyglądają się jego zalotom i kpią z nich bezlitośnie, gdy tylko mają okazję. Moim zdaniem to bardzo nieładnie z ich strony. Jack nie jest tak nieczuły, jak można by sądzić. A Juliana to taka słodka i śliczna dziewczyna.

- Niech mnie kule biją, masz rację co do niej - zgodził się Freddie. - Rozum. Ty masz rozum, Annę.

- Spieszę dodać - rzekł śmiejąc się wicehrabia Merrick - że przyglądamy się temu życzliwie i życzliwie komentujemy to, co się dzieje, hrabino. Jesteśmy rodziną, jak pani wie, i cokolwiek by powiedzieć, raczej darzymy się sympatią.

Tak, to dla mnie doskonała nauczka - pomyślała Isabella. Jakby nie wystarczyła jej wiadomość, że Jack ma się zaręczyć i ożenić, to jeszcze przez tydzień będzie musiała przyglądać się jego zalotom do Juliany Beckford i być świadkiem ich zaręczyn, które bez wątpienia nastąpią w Boże Narodzenie.

Wydało jej się niemożliwe, by mogła to znieść. Ale nie ma rzeczy niemożliwych. To przekonanie towarzyszyło jej przez większą część życia i wiele razy okazało się prawdziwe. I teraz też jej się uda. Przecież w końcu Jack to ktoś z dalekiej przeszłości. Od tamtego czasu wiele się zmieniło: wyszła za mąż, ma rodzinę, zrobiła wielką karierę. Jack już nic dla niej nie znaczył.

Absolutnie nic.

- To dobrze, jeśli w rodzinie można śmiać się z siebie i dokuczać sobie nawzajem - odparła z uśmiechem i zauważyła, że wszystkie spojrzenia zwróciły się na nią, jakby powiedziała jakąś wielką mądrość. Zaczęła się już przyzwyczajać do takich reakcji. Przestały ją dziwić, choć nadal bawiły.

- Niech mnie kule biją, to prawda - wymamrotał Freddie. - Ciekaw jestem, czy Bobbie zasnął dziś spokojnie w tym obcym pokoju dzieciennym. Jak myślisz, Annę? Może powinienem zapytać o to Ruby. Siedzi obok pana Holyoke i jego matki.

- Pokój dziecienny już nie wydaje mu się obcy, Freddie - odparła łagodnie Annę. - Spędził w nim dotąd pięć nocy, nieprawdaż? Czyż nie przyjechaliście o dzień wcześniej niż reszta?

- Jak zwykle - zaśmiał się wicehrabia Merrick, gdy Freddie wstał i podszedł do żony. - Tak się boi zapomnieć o jakimś spotkaniu czy zaproszeniu, hrabino, że zawsze przyjeżdża dzień wcześniej nawet na najbardziej eleganckie przyjęcia i nie chce oddalać się z obawy, iż przeoczy właściwą godzinę.

Isabella przyłączyła się do ogólnego śmiechu, nie pozbawionego jednak sympatii dla Freddiego, który najwyraźniej nie był zbyt lotny.

Czuła się bardzo przygnębiona. Zaskakująco przygnębiona jak na osobę, która wmawiała sobie, że Jack absolutnie nic dla niej nie znaczy. Był teraz gdzieś w galerii, z piękną i uroczą młodą damą, która chciała zostać jej przyjaciółką. W tej chwili na pewno ją całuje. I zamierza się z nią ożenić.

Isabella zaczęła się zastanawiać, jak Jack całuje Julianę. Mocno i namiętnie? Tak jak kiedyś całował ją, Belle. A przecież aż do chwili przyjazdu tutaj dzisiejszego popołudnia, do chwili, kiedy na niego spojrzała, zapomniała już, jak to było - albo zepchnęła te wspomnienia w zakamarki pamięci, by nie sprawiały jej ciągłego bólu. Nie pamiętała już; jak się z nią kochał i co wtedy czuła - aż do dzisiaj.

Jakie to miało teraz znaczenie? Żadnego. Oczywiście, że nie.

Jack Frazer był kimś, kto nie odgrywał najmniejszej roli w jej obecnym życiu.

- A skoro mowa o pokoju dzieciennym - rzekła wstając i uśmiechając się ciepło do zgromadzonego wokół niej towarzystwa - to mam dwoje małych dzieci, które też mogą się tu czuć obco. Jeśli mi państwo wybaczą, pójdę zobaczyć, czy wszystko u nich w porządku.

Marcel na pewno już śpi. Ten chłopiec potrafił zasnąć wszędzie. Odziedziczył po ojcu spokojne usposobienie. Ale Jacqueline jest prawdopodobnie podenerwowana i nie może zasnąć. To taka wrażliwa, niepewna, zalękniona dziewczynka. Isabella starała się kochać oboje tak samo. A jednak większym uczuciem darzyła córeczkę. Z chęcią - o tak, bez chwili wahania - oddałaby życie, byle tylko oszczędzić dzieciom nawet chwilowego bólu. Lecz Jacqueline bardziej potrzebowała jej miłości, bliskości i opieki.

Tak, jej opieki. Marcel wróci do Francji, kiedy dorośnie, by objąć posiadłość ojca. Tam będzie jego miejsce, zostanie przyjęty do rodziny, która krzywo patrzyła na jego matkę. Ale Jacqueline? Isabella nie mogła przewidzieć, co stanie się z córką.

- Oczywiście. Lepiej sprawdzić i nie niepokoić się. - Wicehrabia Niemek natychmiast się poderwał i podał jej ramię. - Pani pozwoli, że będę jej towarzyszył.

Na szczęście - niemal przez całą drogę wstrzymywała oddech - nie natknęli się na schodach na Jacka i jego przyszłą narzeczoną. Isabella nie wróciła już do salonu tego wieczora. Przeprosiła wszystkich za pośrednictwem lorda Merricka, który zostawił ją w

pokoju dziecinnym, sprawdziwszy przedtem, czy i jego dzieci śpią spokojnie. Jacqueline nie mogła zasnąć - potrzebowała matki i jej kojącej obecności. Isabella wymówiła się zmęczeniem po podróży, więc wiceksiążę - który poprosił, by zwracała się do niego po imieniu - uśmiechnął się ze zrozumieniem.

Choć, oczywiście, niczego nie rozumiał.

Jack.

Opuškami palców przesunęła po jego plecach, a on poczuł się cudownie odprężony. Zniżyła głos i powiedziała mu z rozmarzeniem do ucha:

- Uda mi się. Będą mnie uważali za najlepszą aktorkę na świecie.

O, tak, na pewno jej się uda. Ma talent - musiał to przyznać. Elegancki świątek zaczął to dostrzegać i tłumnie przychodził na jej przedstawienia.

- I uniezależnisz się ode mnie? - zapytał unosząc głowę z jedwabnej, pachnącej poduszki jej złocistych włosów. Uchyliwszy usta, całował ją długo i leniwie. - Nie będę ci już potrzebny?

- Mhm - odrzekła.

Leżał wyczerpany, wtulony w jej ciepłe, znajome ciało. Lecz teraz odsunął się, położył na plecach przy jej boku i patrzył w sufit. Po raz pierwszy, pierwszy raz otwarcie przyznała, że ich związek nie był bezinteresowny. Oddawała mu swe ciało, on zaś ją utrzymywał, by mogła poświęcić się karierze. Ale tylko do czasu, aż osiągnie sukces. Gdy wreszcie stała się niezależna, już go nie potrzebowała. I nie chciała.

Od początku wiedział, że tak będzie. Tylko że kochał ją całym sercem i wydawało mu się, że ciało Belle odpowiada miłością na jego miłość, a w jej oczach widzi czułość i przywiązanie.

Naiwny dwudziestojednoletni młodzik - pomyślał o sobie z ironią. Chory z nieodwzajemnionej miłości do utrzymanki. Do swej pierwszej kobiety. Kiedy znalazł się z nią w łóżku, nie wiedział nawet, co ma robić i jak się zachować. Zanim zdążył się zorientować, było już po wszystkim.

Oczy zaszczyły mu mgłą. Poczuł na policzkach gorące łzy. A potem, zanim mógł zapanować nad sobą, z piersi wyrwał mu się głośny szloch, który zdradził, jak beznadziejnie był w niej wtedy zakochany.

Jack gwałtownie usiadł na łóżku, rozżalony i upokorzony. Opuścił nogi na ziemię, jedną ręką odrzucając na bok kołdrę. Kiedy już oprzytomniał, zerwał się nagle i oddychał głęboko, rozglądając się, jakby szukał drogi ucieczki.

Boże! Boże święty! Wykrzyknął głośno jeszcze kilka bluźnierstw i wczepił palce we

włosy.

Po Belle miał ze sto kobiet. Może nawet kilka setek. Dlaczego poczuł dotyk właśnie jej palców, zapach jej włosów i ciała? Dlaczego nie lady Finley - Dodd, swej ostatniej kochanki?

Ale dziękuję niebiosom chociaż za jedno - pomyślał, kiedy szedł do garderoby i dzwonił na lokaja, by ten przyniósł mu wodę do golenia. Na szczęście w rzeczywistości wszystko było inaczej niż w tym śnie. Nigdy nie pozwolił sobie na łyzy czy szloch. Udało mu się ukryć, że poczuł się zraniony. Pamiętał, co wtedy powiedział, gdy niedbale zasłonił ręką oczy.

- Bądź tak dobra i uprzedź mnie, kiedy zechcesz odejść, dobrze, Belle? - Specjalnie ziewnęła, jakby zmęczony uprawianiem miłości. - Znajdę sobie inną kokotę. - Pierwszy raz użył wobec niej tego słowa. Słowa, które potem często przychodziło mu na myśl, gdy cierpiał.

Został boleśnie zraniony. I z całą młodzieńczą gwałtownością pragnął także zadać ból. Wątpił, czy mu się to udało. W rezultacie bowiem zrobiło mu się wstyd.

Kiedy się golił i ubierał, starał się myśleć o Julianie. Słodkie dziecko. Chodząca niewinność. Ostatniego wieczora w galerii wzbudziła w nim czułość i uczucia opiekuńcze. W ciągu tygodnia ta czułość przerodzi się w miłość - postanowił sobie wczoraj. Teraz utwierdził się w tym zamiarze. Jeśli będzie łagodny, jej nieśmiałość zamieni się w gorętsze uczucie.

Wychodząc z pokoju, zaśmiał się nieszczerze. Ach, ta poczciwa babcia! Kilka dni temu, jeszcze w Londynie, był wolnym człowiekiem i nawet zastanawiał się, czyby nie zignorować jej zaproszenia. Nie zdawał sobie wówczas sprawy, jak daleko zaszły plany jego ożenku, choć przecież mógł się tego domyślać. Z całą pewnością nie sprowadzono by tu Juliany, gdyby sprawa małżeństwa nie została już postanowiona. Od jego przyjazdu do Portland House nie minęły jeszcze dwa dni, a już wpadł w zastawioną nań pułapkę. Tylko że teraz, rzecz jasna, nie zależało mu, by się z niej uwolnić. Zdecydował o tym wczoraj.

Zatrzymał się nagle, kiedy doszedł do schodów, którymi zamierzał zejść na dół. Dama - kobieta - idąca schodami w górę, także przystanąła. Po chwili oboje zaczęli iść naprzeciw siebie. Ubrana była tak, jakby wracała ze spaceru. Wiedział, że jest już prawie południe. Wstał dziś później, bo zatrzymały go w łóżku rozkoszne wizje! Zaciśnął zęby.

- Dzień dobry - powiedziała cicho, kiedy mieli się minąć.

Nie podniosła głowy, by na niego spojrzeć. Zastąpił jej drogę, tak że musiała podnieść wzrok. W zielonych oczach malowało się zaskoczenie.

- Czego sobie życzysz? - zapytała po chwili milczenia.

- Chcę porozmawiać z tobą na osobności - odparł. - I to zaraz. Wyjdźmy na dwór.

Spojrzała na niego pytającym wzrokiem, a on znowu zaciął usta.

- Dobrze - rzekła wreszcie niskim i spokojnym głosem.

Odwróciła się i zaczęła iść po schodach, nie oglądając się.

Główny lokaj księcia, stojący w hallu, czekał już z płaszczem na ręku, kiedy Jack zszedł ze schodów. Ukłoniwszy się, podał mu okrycie, a Jack zarzucił je sobie na ramiona. Był tak wściekły, że mógłby kogoś zamordować.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Przeszli w milczeniu przez taras, a potem, minąwszy krzew różany, podążyli w kierunku drzew, strumienia i sadzawek. Nie podał jej ramienia, a ona nie uczyniła żadnego gestu, by wziąć go pod rękę.

- Więc? - odezwał się wreszcie głosem nabrzmiałym wściekłością. - Proszę, niech się pani wytłumaczy.

Jej głos był spokojny, co rozzłościło go jeszcze bardziej.

- Słucham?

- Nie udawaj, że nie rozumiesz, Belle - powiedział. - Co tu robisz? Jak śmiałaś przyjechać?

- Zostałam zaproszona przez księcia i księżną Portland - odrzekła. - Na ich prośbę mam zaprezentować gościom w Boże Narodzenie coś z mojego repertuaru. A poza tym mogę w święta korzystać wraz z dziećmi z ich gościnności.

- Ile ci zapłacili? - zapytał wojowniczo. - Nie wątpię, że ci się to opłaci.

Pomyślał, że nie będzie chciała odpowiedzieć, i ledwo się powstrzymał, by nie chwycić jej za ramiona i nie potrząsnąć nią. Jednak mógł ich ktoś zobaczyć z okien domu.

- Księżę i księżna są zbyt dobrze wychowani, by zaproponować mi wynagrodzenie - odpowiedziała wreszcie. - W przeciwieństwie do wnuka, który jest na tyle niegrzeczny, by zadać mi takie pytanie.

O, teraz już lepiej. W jej głosie dało się wyczuć gniew.

- Doskonale - rzekł. - Cieszę się, Belle, że pamiętasz o tym pokrewieństwie. I ty mówisz o dobrym wychowaniu! Jak mogłaś przyjąć to zaproszenie? Czyż przez rok nie byłaś kokotą wnuka swych gospodarzy?

Wzdrygnął się, wypowiedziawszy to słowo. Jak sam przyznał nie dalej niż przed godziną, używał go tylko wtedy, gdy czuł się zraniony.

Uśmiechnęła się lekko i z godnością uniosła brodę. Zwrócona do niego profilem, z dumnie podniesioną głową i nikłym uśmiechem na ustach, wyglądała niezwykle pięknie - uświadomił sobie nagle.

- Tak, rzeczywiście - odpowiedziała. - Jak mogłabym o tym zapomnieć, skoro przed laty tyle razy tak mnie nazwał. Przyzwyczaiłam się już do tego słowa. Widzę, że nadal go używasz.

- A jak mam cię nazywać? - zapytał szorstko.

- Czy ja wiem? - Zmarszczyła brwi i zastanawiała się przez chwilę. - Wdową. Matką. Aktorką. Kobieta. No i tym słowem, którego użyłeś. Niewątpliwie byłam twoją kokotą, czyż nie? Płaciłeś mi dość dobrze i dość często to wykorzystywałeś.

Wyglądała dziwnie dostojnie z podniesioną głową, gorzkim uśmiechem i błyszczącymi oczyma.

To głupie, lecz ból mógł być tak samo dotkliwy we wspomnieniach, jak i w rzeczywistości. Choć przez dziewięć lat udawało mu się o niej nie myśleć, rany się nie zabiły.

Poczuł, że mija mu gniew.

- Nie powinnaś była tu przyjeżdżać, Belle - powiedział.

- Wiem. - Zawsze potrafiła patrzeć mu w oczy. Teraz też nie unikała jego wzroku. - Rzeczywiście, nie powinnam. Ale zrobiłam to. I zostanę. Ze względu na moje dzieci, które powinny spędzić święta w takim właśnie domu i w takim otoczeniu.

- Twoje dzieci - powtórzył.

Nie był w stanie wytrzymać jej spojrzenia, kiedy uświadomił sobie, że od czasu, gdy była jego kochanką, zaznała już i małżeństwa, i macierzyństwa.

- One nic tu nie zawiniły, Jack - powiedziała. - Nie wiedzą nic o ciemnej stronie życia, którą tak szybko poznają dorośli. Chcę je przed tym uchronić i jeśli byłoby trzeba, oddałabym za to życie. Proszę, nie nazywaj mnie tym słowem w ich obecności.

Przystanęli i stali teraz twarzą w twarz, nie będąc widziani z okien domu.

- Jesteś hrabiną de Vacheron - powiedział niskim głosem, w którym brzmiała gorycz - i największą aktorką w Anglii. Nie musisz już zarabiać na życie, nieprawdaż?

- Rzeczywiście - odparła.

- Czy on był dla ciebie dobry?

Wcale nie chciał tego wiedzieć. Nie miał pojęcia, dlaczego o to zapytał.

- Tak. - Skinęła głową.

- W jakim wieku są twoje dzieci?

To także go nie interesowało. Nie chciał dopuszczać do siebie myśli, że poczęła dziecko z innym mężczyzną i że nosiła je w sobie, podobnie jak teraz Lisa nosi dziecko Perry'ego. Nie Belle. Nie chciał tak o niej myśleć.

- Córeczka ma siedem lat - odpowiedziała. - Urodziła się dziewięć miesięcy po naszym ślubie.

A więc hrabia de Vacheron czekał na swą noc poślubną. Ale potem już nie tracił czasu. Nie chcę tego słuchać - pomyślał Jack i zaczął iść z powrotem w kierunku domu.

- Marcel ma pięć lat - rzekła dotrzymując mu kroku.

- Jest bardzo podobny do Maurice'a i odziedziczył po nim pogodne usposobienie.

Maurice - wymawiała to po francusku. Ten człowiek był jej mężem. Ojcem jej dwojga dzieci. Znałem ją dziewięć lat temu - pomyślał Jack. Dziś jest już inną osobą. On sam musi być dla niej odległym wspomnieniem. Tak mglistym, że nie wahała się przyjąć zaproszenia księżnej, by spędzić święta z jego rodziną. I z nim.

Nic już dla niej nie znaczył.

Zupełnie nic.

Tak jak ona nic nie znaczyła dla niego.

- Trzymaj się z dala ode mnie przez następny tydzień, Belle - rzekł. - I od panny Juliany Beckford. To moja narzeczona. Zaręczyny zostaną ogłoszone w pierwszy dzień świąt. Kocham ją... bardzo ją kocham. Proszę, byś trzymała się od nas z daleka. Czy jasno się wyraziłem?

- To nie ja cię dziś szukałam, jeśli dobrze pamiętasz - odparła ze spokojem. - Dlaczego miałabym to robić? Byś jeszcze raz rzucił mi w twarz to uroczne określenie, którym z takim upodobaniem szafujesz? Żeby ożyły wspomnienia o tamtych czasach, które już zapomniałam i o których wolałabym nie pamiętać? Mam dzieci i mnóstwo własnych spraw. Dlatego chętnie bym cię już nie oglądała.

- A więc uzgodniliśmy reguły gry - rzekł sztywno. - Cieszę się.

- Tak - potwierdziła. - Ja też się cieszę.

Nie patrzyli na siebie, lecz wracali w milczeniu do domu. Jack kolejny raz zacisnął zęby, przypomniawszy sobie sen, po którym kilka godzin temu zerwał się z łóżka i potem nie mógł już zasnąć. Przeraziła go myśl, że ten koszmar może mu się ponownie przyśnić. Zaszło mu w gardle i poczuł łaskotanie w krtani, ale nie miało to nic wspólnego z przeziębieniem.

Nie pamiętał już, kiedy ostatnio płakał. Nie dopuści, by zdarzyło mu się to teraz. Bo z jakiego powodu miałby rozpaczać? Co się takiego stało?

Ona po prostu nie chce pamiętać tamtego roku, roku pełnego szczęścia, miłości i głupich marzeń.

Och, Belle!

Próbował powstrzymać łzy. Szedł obok obcej kobiety, która kiedyś była dla niego całym światem.

Witaj - rzekł jasnowłosy chłopczyk, uśmiechając się słodko. - Jestem Marcel Gellee. A ty?

Juliana splotła dłonie i odpowiedziała uśmiechem. Ach, to musi być synek hrabiny!

Ma uroczy francuski akcent.

- Jestem Juliana Beckford, do usług, panie Gellee - odrzekła wyciągając do niego prawą rękę. - Bardzo mi miło cię poznać.

Przyszła do dziecinnego pokoju, ponieważ Annę i Hortense - zaczynała już pamiętać ich imiona - spędzały tu większość poranków. I dlatego że lubiła dzieci. W ich towarzystwie na nic nie musiała się silić.

- To moja siostra Jacquie - powiedział Marcel, wskazując szczupłą ciemnowłosą dziewczynkę, która czytała coś małej Catherine, córeczce Annę. - A to mój kolega Kenneth. Chciałby się pobujać na koniu na biegunach, ale nie mogę go na niego wsadzić, a nianie są zajęte.

Kenneth ssał kciuk i obserwował ją. Jest bardzo podobny do ojca - pomyślała Juliana. I do pana Frazera. Zaczęła się zastanawiać, czy jej dzieci też będą do niego podobne, i od razu odsunęła od siebie tę myśl. Wzięła malucha na ręce i podeszła do konia na biegunach. Marcel dreptał przy niej, nie przestając mówić. Kiedy jednak ujrzał mamę wchodzącą do pokoju, pobiegł na jej spotkanie.

Julianie zawsze się wydawało, że sławna osoba musi różnić się od zwykłych ludzi i wyrastać ponad innych. Hrabina de Vacheron wyglądała jednak cudownie zwyczajnie, kiedy uśmiechnęła się do synka i schyliła się, by go pocałować, po czym wzięła malca za rączkę i podeszła z nim do drewnianego konia.

- Marcel pewnie zagadał cię na śmierć? - zapytała. - Często mu się to zdarza. Myślałam, że w Anglii będzie mniej gadatliwy, ale w niewiarygodnie krótkim czasie nauczył się angielskiego.

Hrabina miała rumieńce na policzkach, a jej włosy były trochę potargane od wiatru.

- Och, była pani na spacerze - zauważyła Juliana. - Szkoda, że nie wiedziałam. Poszłabym z panią. Jestem raczej rannym ptaszkiem. Całe życie mieszkałam na wsi.

- Ja też żałuję, że o tym nie wiedziałam. - Hrabina się uśmiechnęła.

Marcel bujał Kennetha na koniu, aż mały pisał z uciechy.

- Tak chciałabym z kimś porozmawiać - wyrwało się Julianie, ale natychmiast ugryzła się w język. Hrabiny mogą nie interesować jej problemy. Przecież to taka wielka dama. Ale nadal się uśmiecha. Robi wrażenie życzliwej i miłej. - Pani wie, dlaczego tu jestem - dodała Juliana. - Wszyscy już wiedzą. Stało się to sprawą... bardziej publiczną, niż się spodziewałam. I też czuję się bardziej samotna, niż można by przypuszczać, zważywszy, że mam przy sobie bliskich, a krewni pana Frazera są tacy sympatyczni.

Isabella milczała przez chwilę.

- Ale czasami czujesz potrzebę, by porozmawiać o tym z obcą, lecz życzliwie nastawioną osobą - stwierdziła ze zrozumieniem hrabina. - Czy to małżeństwo ci nie odpowiada?

- Ależ nie - pospieszyła z wyjaśnieniem Juliana. - Odpowiada mi pod każdym względem.

Ponownie na moment zapadło milczenie.

- Ale? - spokojnym głosem zapytała Isabella.

- Och, nie ma żadnych „ale” - rzekła z westchnieniem Juliana. - Właściwie nie wiem, o co mi chodzi. Chyba czuję się zakłopotana, że wszyscy wiedzą o naszych przyszłych zaręczynach i zdają sobie sprawę, po co wczoraj wieczorem pan Frazer zabrał mnie do galerii. Nawet mama i babcia nie widziały w tym nic niestosownego, ale uważały, że tak być powinno. Jakby w grę w ogóle nie wchodziły uczucia. Wczoraj pocałował mnie po raz pierwszy. - Poczula, że oblewa się purpurowym rumieńcem. - Pani pewnie uważa, że to głupie z mojej strony przejmować się takimi rzeczami.

- Wcale nie - zapewniła ją Isabella.

- Ale to dla mnie bardzo ważne wydarzenie - ciągnęła dalej Juliana. - Cały ten tydzień jest ogromnie ważny. Chciałabym, aby to był najwspanialszy okres w moim życiu. Abym mogła go potem wspominać z przyjemnością. Chciałabym się zakochać w panu Frazerze i czuć się najszczęśliwszą kobietą na świecie.

- A nie możesz? - zdziwiła się Isabella.

- Czy to jest w ogóle możliwe? - zapytała Juliana. - Pani jako osoba zamężna musi dobrze znać życie. Sprawia pani wrażenie spokojnej, pewnej siebie; bardzo to podziwiam. Czy istnieje coś takiego jak miłość, zakochanie, uczucie, że świat przybiera piękniejsze barwy, kiedy spotyka się tego jedyne go mężczyznę, który jeszcze odwzajemnia uczucie? Czy istnieje coś takiego, czy to tylko moje marzenia? A może jestem beznadziejnie naiwna?

Zauważyła, że hrabina na chwilę zamknęła oczy. Był w nich smutek, kiedy po chwili spojrzała na Julianę.

- O, tak, takie uczucie istnieje - odparła. - Naprawdę. Ale jest jeszcze inny rodzaj miłości - spokojniejszej, pełnej ciepła, dającej poczucie bezpieczeństwa. Może zrozumiesz to później, tak jak ja. Jest wiele odmian miłości - każda na swój sposób cenna. Ta, o której mówisz, jest marzeniem każdej kobiety i chyba także każdego mężczyzny. Szczęśliwy ten, kto jej zazna., nawet jeśli miałaby krótko trwać. Bardzo niewielu może cieszyć się nią przez całe życie.

- Och, proszę mi wybaczyć - rzekła Juliana. - Zrobiło się pani smutno. Takim właśnie

uczuciem darzyła pani męża? Przykro mi, że obudziłam bolesne wspomnienia.

Hrabina uśmiechnęła się do niej.

- Być może zakochasz się w... w panu Frazerze. To bardzo przystojny mężczyzna.

- To prawda - zgodziła się Juliana. - I dobry. Nie spodziewałam się tego, sądząc po jego oczach. Jest w nich takie znużenie. Ale był dla mnie miły. Powiedział, że oświadczy mi się dopiero w Wigilię, bym miała jeszcze czas do namysłu. Ja... go lubię.

Przerwało im wejście służącego, który zapytał, czy pani hrabina de Vacheron zechce zaszczyścić jej wysokość wizytą w saloniku.

- Mam nadzieję, że pani nie zanudziłam - rzekła niepewnie Juliana. Nagle wydało jej się niewybaczalnym nietaktem obarczanie wielkiej aktorki swymi dziecinnymi wątpliwościami dotyczącymi pierwszego pocałunku.

- Ależ wcale nie - odparła Isabella z ciepłym uśmiechem. - Każdy potrzebuje przyjaciół.

Powiedz, proszę, jeśli czegoś ci potrzeba do występu - powiedziała księżna Portland. - Mam na myśli rekwizyty czy kostiumy. Widziałam, jak grasz, moja droga, i wiem, że nawet ubrana w wór konopny i występując na pustej scenie potrafisz rzucić publiczność na kolana i wzruszyć ją do łez. Jestem jednak pewna, że wolałabyś wystąpić w czymś bardziej okazałym niż worek i nie stać pośrodku pustej sceny.

- Dziękuję waszej wysokości za słowa uznania - odrzekła Isabella. - Mam nadzieję, że okażę się ich godna w Boże Narodzenie.

Usłyszawszy ponure sapnięcie, spojrzała na potężnego mężczyznę siedzącego przy kominku w saloniku księżnej. Był to książę Portland. Patrząc na niego, nietrudno było uwierzyć, że to despota - co zresztą potwierdzała jego małżonka.

- Niestety nie widziałem pani na scenie, hrabino - powiedział. - Podagra nie pozwala mi opuszczać domu. Lecz jeśli jej wysokość twierdzi, że pani gra potrafi wzruszyć publikę i doprowadzić ją do łez, to pewnie tak jest. Jej wysokość nie szafuje pochwałami.

Isabella poczuła się przygnębiona i dziwnie poruszona. Miała wrażenie, że - wbrew pozorom - ma przed sobą rzadko spotykany fenomen: parę starszych ludzi, którzy darzą się głębokim uczuciem. Dziadkowie Jacka. Pospiesznie porzuciła tę myśl.

Zwróciła natomiast myśli ku sprawom, które lubiła i które ją zajmowały - ku swej pracy. Po tej okropnej rozmowie z Jackiem chciała zajrzeć tylko na chwilę do dzieci, by ucałować je na dzień dobry, a potem schronić się w swym pokoju i lizać rany. Ale tak było chyba nawet lepiej. Przynajmniej nie musiała myśleć o przeszłości. A nad obecną sytuacją nie było sensu się zastanawiać. Juliana Beckford to słodka istota. Jack będzie szczęściarzem, jeśli

pojmie ją za żonę. Życzyła im wszystkiego najlepszego. Jak najszczerzej. Miała przecież swoją pracę, która zawsze znaczyła dla niej więcej niż wszystko. Z wyjątkiem Jacka. Ta niepożądana myśl została jednak natychmiast wyparta. I z wyjątkiem dzieci.

- Chciałabym przygotować kilka fragmentów z Szekspira - powiedziała. - Niezbyt dużo i niedługie. Spodziewam się, że goście zechcą rozpocząć tańce wkrótce po obiedzie. Może trzy monologi? Wasza wysokość sugerowała, by występ trwał to około godziny. Jest parę wspaniałych ról kobiecych u Szekspira.

- Zawsze najbardziej przeżywam „Romeo i Julię” rzekła księżna. - Julia wygłasza tam prawdziwie wzruszające kwestie.

- Wasza wysokość raczy mi wybaczyć - powiedziała Isabella - ale tej sztuki nie wykorzystam. Julia ma czternaście lat i zachowuje się jak czternastolatka. Zawsze czuję się nieswojo, kiedy oglądam w tej roli dojrzałą aktorkę, co zdarza się nader często. A sama mam prawie trzydzieści lat.

Księżę sapnął.

- Wygląda pani na dziesięć lat młodszą, hrabino - rzekł z galanterią.

Isabella posłała mu wdzięczny uśmiech. Polubiła go, mimo że sprawiał wrażenie srogiego i nieprzystępnego.

- Wolalabym raczej monolog Porcji ze sceny pałacowej w „Kupcu weneckim” - powiedziała. - A także przedśmiertny monolog Desdemony z „Otella”. I może scenę z „Poskromienia złoŹnicy”. To dość odmienne i skonstrastowane role.

- Wspaniale! - Księżna klasnęła w dłonie. - Naprawdę cudownie. Już nie mogę się tego doczekać. A ty, kochanie? - Zwróciła się do męża. - Ale czy poradzisz sobie sama? Nie potrzebujesz partnera?

- Nie - odparła Isabella. - Co najwyżej będzie mi potrzebny ktoś do roli Shylocka czy Otella, albo Petruchia. Ale przecież nie zaprosimy tu całej trupy teatralnej. Dam sobie radę, wasza wysokość. Może ktoś zechce tylko czytać kwestie istotne dla rozumienia danej sceny.

Księżna, która usiadła przy boku męża, wstała ponownie, podniecona jak mała dziewczynka. A z piersi księcia dobyło się głębokie dudnienie. Isabella uzmysłowiła sobie nagle, że to chichot.

- Wywoła pani wilka z lasu, hrabino - powiedział i znowu dało się słyszeć dudnienie.

- Bo, moja droga - pospieszyła z wyjaśnieniem księżna - ty nic nie wiesz, prawda? W naszej rodzinie od dawna organizujemy przedstawienia teatralne. Mamy chętnych i doświadczonych aktorów. Na pewno przekonamy kogoś, by ci partnerował. Będzie to dla niego wielki zaszczyt i przyjemność.

Dudnienie w piersi księcia zamieniło się w atak kaszlu i obie przez chwilę z niepokojem przyglądały się starszemu panu, dopóki atak nie minął.

- Masz całkowitą rację - zwróciła się do niego księżna, jakby chciała zakonkludować jakąś wymianę zdań między nimi. - Ostatnim przedstawieniem, jakie tu przygotowaliśmy, moja droga, było „Ugnij się, by zwyciężyć”. Wystawiliśmy je z okazji pięćdziesiątej rocznicy naszego ślubu - i mieliśmy prawie bunt w rodzinie. Obiecałam im więc, że to już ostatni raz. Ale przedstawienie okazało się tak udane, iż pożałowałam tej obietnicy. Teraz będzie można jakoś nawiązać do dawnych tradycji. Pani zagra główną rolę, hrabino. Pozostali aktorzy wystąpią jakby w charakterze rekwizytów.

Isabella uśmiechnęła się.

- Nie chciałabym stać się zarzewiem kolejnego buntu - rzekła.

- Nonsens! - odparła księżna stanowczo. - Gdy tylko wspomnę im o tym pomysle, wszyscy moi bratankowie i siostrzeńcy, a także wnukowie, będą się bić o to, by ci partnerować. Zostaw to mnie, moja droga.

Księżę pogładził jej rękę, kiedy usiadła, a potem zamknął ją w swej wielkiej dłoni.

- Dobrze więc - zgodziła się Isabella. - To rzeczywiście będzie dla mnie duże ułatwienie. Wystarczy nam tylko kilka prób. Nikt nie będzie musiał grać ze mną na scenie ani uczyć się tekstu na pamięć. Byłoby to kłopotliwe i męczące nawet dla ochotnika. Zwłaszcza że mamy okres przedświąteczny.

- Moja droga - powiedziała księżna - nie znasz naszych krewnych i ich gotowości do wzięcia udziału w przedstawieniu. Och, będzie znacznie ciekawiej, niż się spodziewałam. Nieprawdaż, kochanie?

W odpowiedzi księżę chrząknął.

Isabella miała o czym myśleć, kiedy już opuściła salonik księżnej. Chociaż przedtem tęskniła za odpoczynkiem w święta, teraz wdzięczna była niebiosom, że może wrócić do pracy. Zawsze tak było. Granie traktowała bardzo poważnie, zdawała sobie jednak sprawę, że czasami stanowi dla niej ucieczkę przed nudą albo rozpaczą. Dzięki pracy udawało jej się zachować zdrowe zmysły i ona też nadawała sens jej życiu.

Miała teraz wiele do zrobienia. Musi obejrzeć salę balową, oswoić się z jej wielkością i atmosferą oraz sprawdzić akustykę. Powinna zaprojektować proste kostiumy i zastanowić się nad rekwizytami. Wiedziała już, co zagra, ale chciała jeszcze popracować nad rolami. Musi rozważyć, jakie postacie i kwestie są niezbędne w scenach, które wybrała. Obiecała księżnej, że na popołudnie przygotuje listę potrzebnych rzeczy. Należy też ustalić liczbę i plan prób każdej sceny.

Tak, w ciągu tego tygodnia - już niecałego - czeka ją sporo zajęć. Nie będzie musiała myśleć. Nie ma na to czasu.

Aktorzy, którzy będą jej partnerować, zostaną wybrani z rodu księcia i księżnej. Kto to będzie - zastanowiła się. Kto z nich może być najlepszym aktorem?

Jack też wchodzi w rachubę.

Nawet jeśli to on gra najlepiej z nich i jeśli zostanie o to poproszony, i tak na pewno odmówi. „Trzymaj się ode mnie z daleka, Belle” - tak przecież powiedział dzisiejszego ranka.

Wobec tego nie ma się nad czym zastanawiać.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Mam przecucie - rzekł Claude Raine. - Złe przecucie.

- O, nie - sprzeciwiła się Hortense. - To niemożliwe. Przecież mamy przed sobą przygotowania do świąt. Trzeba przynieść choiny i udekorować nią salę balową, salon i jadalnię.

- I hali - dodała Celia.

- Chodzi o coś jeszcze - upierał się Claude. - Naprawdę mam przecucie.

- Mam nadzieję, że to nie to, czego się wszyscy obawiamy, Claude - powiedział Alex.

- Bo przysięgłem, że bez morderstwa się nie obejdzie.

- Przecież tym razem Isabella została zaproszona po to, by coś zagrać - rzekła Annę uspokajającym tonem. - My mamy odpoczywać.

- Babcia wspomniała wczoraj wieczorem o wieczorze muzycznym - przypomniał sobie Jack i skrzywił się. - Może właśnie o to chodzi.

Claude jednak stał pośrodku bawialni, patrząc ponuro i potrząsając głową. Miał przecucie i na pewno nie zostało ono wywołane czymś tak mało ważnym jak wieczór muzyczny.

Wezwano ich - to znaczy całą rodzinę - po drugim śniadaniu do bawialni i wszyscy posłusznie już się tu zebrali, zaniepokojeni i przewidujący kłopoty.

Odwrócili się i zamilkli, kiedy stanęła w drzwiach księżna - drobna, uśmiechnięta kobieta, którą każdy z obecnych tu mężczyzn mógłby podnieść jedną ręką i zgnieść. Ona jednak już od lat bezkarnie ich tyranizowała, zamęczała i dyktowała, co mają robić. Właśnie coś takiego Martin Raine szepnął do ucha Maud Frazer.

Księżna kłaśnięciem w dłonie poprosiła o uwagę - był to jej zwykły gest, zupełnie jednak niepotrzebny.

- Mam dla was wspaniałą propozycję, moi kochani - oznajmiła.

Ze strony niewdzięcznych krewniaków dał się słyszeć zbiorowy jęk.

- Nie ma mowy, babciu - śmiało odezwał się Jack. - Z góry odmawiam udziału w tym, co sobie zaplanowałaś, zwłaszcza że sprowadziłaś mnie tu w innym celu. Poza tym kiedyś zarzuciłaś mi, że jestem leniwy i niezdyscyplinowany. Miałaś zupełną rację.

Księżna zaczęła, aż Jack skończy swą buntowniczą tyradę.

- Oczywiście, drogi chłopcze - stwierdziła. - Miałaś czternaście lat, kiedy wraz z kuzynami zostałeś zabrany do stajni, by w ramach zabawy pomóc stajennemu przygotować

konie do powozu ślubnego Celi, i zasnęłaś wtedy na sianie.

- I został za to odpowiednio ukarany, babciu - wtrącił Alex. - Zepchnęliśmy go na kupę gnoju. Nie pamiętasz?

Freddie zachichotał.

- Niech mnie kule biją, Alex, to prawda - powiedział. - Dziadek nieźle złoł nam za to skórę.

- Jest jeszcze sprawiedliwość na tym świecie - skomentował Jack.

Księżna ponownie klasnęła w ręce, prosząc o ciszę.

- Niektórzy z was - rzekła - niestety nie wszyscy, dostąpią zaszczytu i przyjemności partnerowania hrabinie de Vacheron.

Rozpromieniona spojrzała na nich wyczekująco. Kilku krewnych odpowiedziało zainteresowaniem. Większość jednak jęknęła. Jackowi zrobiło się zimno.

- Tylko nie ja, babciu! - zawołał zerwawszy się na równe nogi. - Mam inne zajęcia. Wiesz dobrze, o czym myślę.

- Usiądź, Jack - łagodnie przemówiła do niego babka. - Jesteś jednym z najlepszych aktorów w rodzinie. I jednym z najprzystojniejszych. A poza tym nie ma lepszego sposobu, by zrobić wrażenie na damie, niż zagrać przed nią rolę romantycznego kochanka.

- Wszyscy pamiętają, Jack - odezwał się Stanley - jak panie trzepotały rękami i zerkały spoza wachlarzy, byle tylko zwrócić na siebie twoją uwagę na balu po naszym ostatnim przedstawieniu. Co prawda, w stosunku do ciebie zawsze się tak zachowują - zauważył zgryźliwie.

- Babciu! - powiedział Jack ciągle stojąc. - Nie zagram z hrabiną de Vacheron. To moja ostateczna odpowiedź.

I tak ma być. W tej jedynej sprawie nie może pozwolić babce, by postawiła na swoim.

- Chcesz, by nasz honorowy gość poczuł się zawiedziony, Jack? - zapytała.

- Szczerze mówiąc, babciu - odrzekł - nie dbam o to, co ona czuje. Przecież to tylko...

Uniósłszy brwi księżna spojrzała na niego wyniośle, czekając, by dokończył zdanie. Wszyscy inni natomiast popatrzyli na niego ze zdziwieniem.

- ...aktorka - dopowiedział niepewnie.

- Ale wielka aktorka, mój drogi - odparła księżna. - I jednocześnie francuska hrabina. Nie pozwolę, by w moim domu czyniono jej afronty tylko dlatego, że występuje na scenie. Dziadek też tego nie będzie tolerował. To on zaprosił do nas hrabinę i życzy sobie, by okazywano jej najwyższe względy.

Dziadek ją zaprosił! Dobrze sobie!

- Więc będziesz okazywał jej najwyższe względy, tak, mój drogi? - łagodnie zapytała go babka.

Jack usiadł.

- Dobrze, babciu - odparł znowu niczym grzeczny chłopczyk.

Zauważył, że jego matka bawi się rąbkiem koronkowej chusteczki.

Księżna uśmiechnęła się do niego.

- Główne partie każdej ze scen zagra oczywiście hrabina - rzekła. - Ale nie poradzi sobie sama. Zapewniłam ją, że moi krewniacy o niczym bardziej nie marzą, jak tylko o tym, by zagrać u jej boku role wspomagające. Wszystkie sceny, które wybrała, pochodzą z Szekspira.

Kolejny jęk, jaki dał się słyszeć, był już tak przytłumiony, że przypominał raczej zbiorowe westchnienie. Freddie westchnął głośniejsz niż pozostali.

- Chętnie wziąłbym w tym udział, babciu - powiedział. - Ale nie jestem zbyt bystry. Nigdy nie mogę zapamiętać swojej kwestii, a nawet kiedy już się jej nauczę, zapominam wszystko na scenie. Ostatnio więc miałem się tylko śmiać.

- I bardzo dobrze ci to wyszło - zapewniła go babka. - Teraz jednak mógłbyś zagrać Gracjana w „Kupcu weneckim”. Nie musiałbyś robić nic innego, jak tylko umierać z zachwytu na widok Shylocka wyprowadzanego w pole przez Porcję podczas sądu. Porcją będzie oczywiście hrabina.

- Niech mnie kule biją - odrzekł Freddie nie straciwszy tak do końca mowy. - Niech to...

Ustalono, że Martin będzie Antoniem, kupcem weneckim, Stanley - Bassaniem, mężem Porcji i przyjacielem Antonia, a Peregrine, najlepszy aktor w rodzinie - Shylockiem.

- Odpowiada mi to - rzekł Perry szczerząc zęby w uśmiechu i zacierając ręce. - Zawsze podobała mi się rola Shylocka. Jest tak cudownie przebiegły i zły.

- Więc dostałeś ją, mój drogi - rzekła łaskawie jego cioteczna babka.

- Alex będzie Petruchem w dwóch krótkich scenach z „Poskromienia złośnicy” - oznajmiła księżna.

- Wielkie nieba! - zawołał Alex. - Czy nie mówiłem, że kogoś zamorduję?!

- Nie, drogi chłopcze - odrzekł babka. - Nie zamordujesz jej, mimo że od początku zachowuje się wprost okropnie. Poślubisz ją i poskromisz.

- Hmm - mruknął w odpowiedzi wnuk.

- Będzie chyba jeszcze kilka mniejszych ról - powiedziała księżna. - Rozważam możliwość powierzenia ich Prudence, Constance i Hortense, a także Anthony'emu,

Zebediahowi i Samuelowi.

Zeb wymamrotał coś pod nosem.

- Wolałabym nie, babciu - rzekła Hortense. - Mam ku temu powód. A nawet dwa.

Spojrzała na męża i zarumieniła się.

- Może Annę... - zaczął Alex z nadzieją. Lecz księżna uniosła dłoń.

- Annę będzie mi potrzebna do roli Emilii w „Otellu” - powiedziała.

- Ależ, babciu - odezwała się Annę - żadna ze mnie aktorka.

- Sama jesteś sobie winna, Annę - zauważył Claude.

- Ostatnim razem tak dobrze nauczyłaś się roli, powtarzałaś ją tyle razy i zagrałaś tak przekonywająco, że na zawsze masz zapewnione pierwsze miejsce na liście cioci Jemimy. Więc teraz nie narzekaj.

Jack z przerażeniem czekał na dalszy ciąg. Wisiało to nad nim niczym miecz Damoklesa.

- A ty, Jack, mój drogi - rzekła wreszcie babka, zwracając na niego surowe spojrzenie - będziesz Otellem w scenie śmierci Desdemony. Któż lepiej zagra rolę zrozpaczonego, namiętnego kochanka niż nasz najprzystojniejszy aktor i jeden z bardziej utalentowanych?

O, niech to diabli! Niech to wszyscy diabli!

- Och - westchnęła Prudence i zachichotała. - Hrabina de Vacheron ma szczęście, Jack, nawet jeśli naprawdę miałbyś ją zabić w tej scenie. To ja ostatnio byłam twoją ukochaną, pamiętasz?

- Kiedy panna Beckford zobaczy cię jako Otella, Jack, zemdleje z przerażenia i żalości - rzekł Peregrine. - Pocałunki w galerii to nic w porównaniu z tym.

- Pocałunki w galerii? - zapytał Alex marszcząc czoło. - Kto się całował w galerii? Chyba nie ty, Jack? Myślałem, że poszedłeś pokazać pannie Beckford portrety.

- Ktoś całował się w galerii? - zapytała Hortense z okrzykiem zgorzienia. - Mój brat Jack? To już za wiele dla mojej kobiecej wrażliwości - jeszcze w moim stanie!

Udała, że mdleje, i padła w ramiona Peregrine'a.

Jack wstał i ostentacyjnie skierował się do drzwi. Położywszy dłoń na klamce, odwrócił głowę, by spojrzeć na rozradowaną gromadkę krewnych.

- Do diabła z wami wszystkimi.

W złowróżbnej ciszy, jaka zapadła po jego słowach, Jack wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Hortense wybuchnęła śmiechem.

- Obraziliśmy go czymś? - zapytała i ponownie rzuciła się w ramiona Perry'ego.

- Hortense - rzekła cicho Annę - on nie żartował. Naprawdę był zły.

Hortense usiadła prosto i natychmiast spoważniała.

- Babciu - powiedział Alex. - Myślę, że Jack naprawdę przejął się sprawą swego małżeństwa.

- No, i najwyższy czas na to - odparła z zadowoleniem. - Od lat podchodził do życia zbyt niefrasobliwie. Claude, mój drogi, ty jak zwykle będziesz naszym reżyserem. Oczywiście hrabina nie potrzebuje reżysera - taka sugestia jest dla niej nawet obraźliwa. Ale pozostałym ktoś taki się przyda. Zajmiesz się tym?

Wbrew pozorom to nie było wcale pytanie.

- Tak, ciociu, oczywiście - posłusznie odparł Claude.

Ruby postanowiła przespacerować się do probostwa we wsi, by odwiedzić rodziców. Wzięła ze sobą Roberta. A gdziekolwiek szli ukochani Ruby i Bobbie, tam też musiał iść Freddie. Ponieważ jednak nikt nie miał nic szczególnego do roboty tego popołudnia, a kolejne dni zapowiadały się bardziej pracowicie, niż wcześniej się spodziewano - choć, jak zauważył Martin w rozmowie z Maud, można się było domyślić, że księżna zechce czymś zająć im wolny czas - spora grupka także uznała, że miło będzie złożyć wizytę Fitzgeraldom. Zwłaszcza że można było wziąć ze sobą dzieci i pochwalić się nimi.

Jack pozostał w pałacu. Było mu trochę wstyd i czuł się głupio z powodu swego zachowania rano w bawialni. Jeszcze ktoś pomyśli, że choć jest największym kpiarzem w rodzinie, sam źle znosi, kiedy żartują z niego. Albo że nie ma poczucia humoru na swój temat.

Bez żadnych skrupułów wróciłby do Londynu - pomyślał - a potem pojechał na wieś do Reggiego i jego subretek, gdyby nie Juliana Beckford, która była przekonana, że ich małżeństwo zostało już definitywnie postanowione. Nie mógł przecież tak jej zostawić i upokorzyć w obliczu obu rodzin. Poza tym, jeśliby teraz opuścił Portland House, nigdy już nie mógłby spojrzeć w oczy nikomu z nich.

Odnalazł Julianę w jednym z salonów. Była w towarzystwie matki oraz innych starszych dam. Jack przeprosił więc panie i zapytał, czy mógłby na chwilę odwołać Julianę, na co mu łaskawie przyzwoliły. Zrobiły to z tym szczególnym, protekcyjnym uśmiechem, z jakim starsze damy obserwują zaloty, które zyskały ich aprobatę.

Jack zaprosił swą damę do ciepłarni. Kiedy tylko usiedli wśród paprotek, ujął dłoń dziewczyny i spojrzał na jej delikatne palce, krótkie różowe paznokcie i gładką skórę. Jej dłoń niemal zginęła w jego ręce. Dłoń dziecka. Juliana wyglądała prześlicznie w skromnej jasnoniebieskiej wełnianej sukni, która podkreślała jeszcze smukłość jej sylwetki. Zapragnął wziąć ją w ramiona i tak trzymając, już przez całe życie chronić przed wszelkim złem. Bardzo

chciał pokochać tę dziewczynę.

- Będziesz grał z hrabiną - powiedziała. - Musisz być tym niezwykle podniecony. Howard mówi, że to wspaniała aktorka i że cały Londyn tłumnie chodzi na jej przedstawienia.

Podniecony? Cóż za dziwne słowo. Uświadomił sobie, że już od lat nie czuł się niczym podniecony. Spojrzał na nią z uśmiechem.

- Tak rzeczywiście mówią.

- Nie byłeś na jej przedstawieniu? - zapytała, szeroko otwierając oczy ze zdumienia.

- Byłem, ale dawno temu - odrzekł. - Już wtedy była dobra.

Wtedy trochę miał jej za złe ten talent. Och, nie tylko trochę. Nie lubił tego radosnego ożywienia, z jakim czasami rzucała mu się na szyję, odniósłszy jakiś sukces. Oczekiwała, że będzie z nią dzielił jej nadzieje i marzenia, i to też go drażniło.

Nie cierpiał pełnych uznania spojrzeń, którymi obrzucali ją mężczyźni. I tego, że ona pozwalała, by tak na nią patrzyli.

- Twoja mama, ciocia i babcia twierdzą, że doskonale sobie poradzisz jako partner sceniczny hrabiny - rzekła Juliana z uśmiechem. - Ja też tak myślę.

- Naprawdę? - zapytał ujęty jej bezpretensjonalnym urokiem.

- Wyglądasz jak romantyczny bohater - wyjaśniła.

- Tak sądzisz?

Czyżby uważała Otella za romantycznego kochanka? Uniósł jej rękę do ust i pocałował najpierw wierzch dłoni, a potem każdy palec z osobna. Widząc to, dziewczyna gwałtownie się zarumieniła.

- Uhm - potwierdziła.

- Nigdy nie byłeś w Londynie? - zapytał. - Albo w teatrze?

Oczywiście, że nie była. Dopiero co opuściła szkolną ławę. Może nawet przed tygodniem.

Potrząsnęła przecząco głową i przełknęła ślinę, kiedy odwrócił jej dłoń i pocałował ją.

- Więc wyszłabyś za mąż - powiedział - nie będąc wcześniej wprowadzona do towarzystwa i nie zaznawszy przyjemności, jakie z tego wynikają: bywania na balach, uwielbienia mężczyzn i ich zalotów. Nie żałujesz tego?

- Nie - odparła. - Nigdy mi nie zależało na tym, aby balować w sezonie.

- Jesteś taka śliczna - rzekł. - Czy to w porządku, że nie mam rywali? Że dostanę cię bez walki? - Kiedyś miał wielu rywali i przegrał. Lecz wtedy ubiegał się o względy aktorki, a nie o rękę panny z dobrego domu. - Wobec tego, czego pragniesz? Czego oczekujesz od życia?

Patrzyła, jak położył jej dłoń na swojej ręce i rozprostował palce. Kontrast między ich dłońmi był tak duży, że wyglądało to zabawnie. Przy jej delikatnej i jasnej skórze jego ręka miała śniady odcień.

- Chciałabym mieć spokojny, szczęśliwy dom - odparła. - I dobrego, kochanego męża, o którego mogłabym dbać. I kilkoro dzieci.

O Boże! Nagle się przeraził. To takie skromne marzenia. Czy ktoś taki jak on potrafi je spełnić? Szczęśliwy dom? Dobry mąż? Pozwolić, by o niego dbała? Wyobraził ją sobie, jak wsuwa mu na nogi kapcie, podsuwa krzesło czy podkłada pod plecy poduszkę. Będzie uroczą, doskonałą żoną dla kogoś... dla niego.

Patrzyła na niego trochę niepewnie, więc splótł jej palce ze swoimi i ucisnął ciepło małą dłoń.

- A ty? - zapytała. - Czego ty chciałbyś od życia? Czegoś, co by go ożywiło i wyrwało z letargu. Czegoś, co przywróciłoby go do życia. Czegoś, co nadałoby sens jego egzystencji. Ale gdzie tego szukać? W kobietach? W hulankach? Hazardzie? Na balach i przyjęciach? Tego wszystkiego już zakosztował, lecz jego życie wciąż było puste, a nawet z każdym rokiem uboższe. Może nadszedł czas, by spróbować czegoś innego.

Pochylił głowę i nakrył jej usta swoimi ustami - zrobił to powoli i lekko. Nie uchylił jednak ust i nie pocałował jej mocniej, choć przez chwilę się zawahał. Nie chciał jej zrazić ani przestraszyć.

- Juliano... - Odchylił nieco głowę i popatrzył jej w oczy. - Chciałbym uczynić cię szczęśliwą.

Nagle w oczach dziewczyny pojawił się strach, który rozpaczliwie starała się ukryć. To, co powiedział, zabrzmiało zbyt żarliwie. Odsunął się od niej i uśmiechnął.

- Chyba powinnam już wrócić do mamy - powiedziała.

- Masz rację. - Wstał uśmiechając się ciągle i ujął jej dłonie. - Nie powinienem zatrzymywać cię dłużej. Nie chciałbym, aby twoja reputacja doznała uszczerbku.

Kiedy tak stała przed nim, krucha i śliczna niczym figurka z porcelany, pomyślał, że nie wie, jak miałby ją kochać. Tak by nie zrobić jej krzywdy, nie urazić i nie przestraszyć. Będzie musiał się tego nauczyć w noc poślubną, a potem doskonalić przez resztę życia. Może właśnie tego brakowało w jego życiu - troski o kogoś zamiast ciągłego poszukiwania przyjemności... albo tego, czego niegdyś zaznał i co utracił.

Jego związek z Belle też nie zaczął się burzliwie. Często widywał ją w Hyde Parku na spacerze - skromnie, ale schludnie ubraną, przepiękną młodą dziewczynę. Zaczął przychodzić tam codziennie w nadziei, że ujrzy ją choć z daleka. Aż wreszcie zobaczył ją, jak siedziała na

ławce nad stawem i karmiła łabędzie. Usiadł obok niej i trwał w milczeniu jakieś pięć minut. Był bardzo młody i nieśmiały. A potem zaczął z nią rozmowę. Przez dwa następne tygodnie spotykali się niemal codziennie. Powiedziała mu, że musi zarabiać na życie. Wyglądała na bardzo przyzwoitą dziewczynę. W ciągu tych dwóch tygodni ani razu jej nie dotknął, a tylko chłonał oczami i w nocy śnił o niej z całą żarliwością młodego człowieka. Zakochał się w niej po uszy, zanim jeszcze pewnego wieczora zobaczył ją na scenie, grającą jakąś mniejszą rolę. Została wówczas zauważona - co jednak objawiło się gwiazdami i grubiańskimi uwagami ze strony publiczności.

Wtedy najpierw osłupiał, a potem poczuł złość. Oszukała go. Wszyscy wiedzieli, że aktorki to kurtyzany. Zrobiła z niego głupca. Następnego popołudnia, zanim poszedł do parku, wynajął pokój w jakiejś nędznej gospodzie. Zabrał ją tam - zgodnie z jego przewidywaniami nie opierała się - i tam też został mężczyzną. Była to żenująca inicjacja, która nie wywołała słowa skargi ani niezadowolenia ze strony Belle.

Kiedy wstał, ubrał się i stał odwrócony do okna, podczas gdy ona odziewała się i narzucała kołdrę na łóżko, zaproponował, by zamieszkała z nim. Zgodziła się. Wciąż był w niej zakochany i chciał otoczyć ją czułością, troską i bezgraniczną miłością. Chciał ją uratować, wybawić od konieczności sprzedawania swego ciała wszystkim, którzy byli gotowi zapłacić. Biedny głupiec. A jednak w ciągu tamtego roku - albo prawie roku - zaznał szczęścia, jakiego już potem nie doświadczył, mimo że szukał go bezustannie. Szczęścia, niepokoju i wreszcie zdrady. Tym razem będzie inaczej. Tym razem jego wybranka nie jest aktorką.

Kiedy Jack i Juliana w drodze powrotnej do salonu weszli do hallu, mieli wrażenie, że nastąpiła tu inwazja. Dwuskrzydłowe drzwi stały otworem, w hallu było mnóstwo ludzi, a wszyscy mówili i krzyczeli jeden przez drugiego. Rodzina wróciła z wizyty w probostwie.

Ruby przemawiała do Freddiego, każąc mu postawić Roberta na ziemi, gdyż malec mógł już sam wejść po schodach, a tymczasem trzymał kurczowo ojca za włosy, podczas gdy Freddie prostodusznie usiłował mu wyjaśnić, że to boli. Connie głośno się tłumaczyła, że ona i Sam wcale nie dlatego szli z tyłu, by się całować, a Sam z miną niewiniątka oświadczył, że nie muszą się już całować po kryjomu. Lisa skarżyła się, że spacer był dla niej bardzo męczący, zwłaszcza w jej błogosławionym stanie. Ale gdy tylko Perry zaproponował, że zanieś ją po schodach do pokoju, gorąco zaprotestowała i przywołała go do porządku. Alex śmiał się, stawiając Catherine na podłodze, gdyż Alice, córeczka Prue, od razu zażądała, by teraz ją wziął na barana. Prue skarciła ją i próbowała wytłumaczyć, że wujek Alex ma już na jednym ramieniu Kennetha i że to mu w zupełności wystarczy. Zeb krzyczał na bliźnięta, by

przystały się popychać, i zagroził, iż da im po klapsie, a gdy udał, że się zamierza, maluchy wybuchnęły śmiechem.

Była to typowa scena w dostojnym Portland House. Jack spojrział przepraszającym wzrokiem na Julianę.

- Niezupełnie o takim spokojnym domu marzysz, nieprawdaż? - zapytał.

W tym momencie zaatakowany został przez jakiegoś rozradowanego nieznajomego, który klepnął go po ramieniu i uściśnął mu rękę.

- Jack! - zawołał. - Jak się masz, stary druhu? Przystojny jak zwykle, przy tobie każdy ma ochotę schować się do mysiej dziury! Czemu nie wybrałeś się do nas w odwiedziny razem ze wszystkimi? Mimo całego zamieszania - dom prawie pękał w szwach - mama zauważyła twoją nieobecność. Ale ona zawsze miała słabość do przystojnych mężczyzn.

- Fitz! - Jack odwzajemnił uścisk dłoni i odpowiedział uśmiechem na uśmiech. Bertrand Fitzgerald, syn pastora, bawił się z nimi w dzieciństwie, kiedy wraz z siostrami Ruby, Addie i Rosę przychodził w odwiedziny do Portland House. Zawsze dzielnie sekundował chłopcom we wszelkich figlach. - Ile to już czasu... cztery lata?

- Ostatnio widzieliśmy się na weselu Ruby i jej podekscytowanego wybranka - odrzekł Bertrand. - Przedstawisz mnie, Jack?

Z nie ukrywanym zainteresowaniem spojrzął na Julianę.

Jack przypomniał sobie o dobrych manierach i dokonał prezentacji. Juliana dygnęła, a Bertrand skłonił się z kurtuazją.

- Jednego możemy być pewni - zwrócił się z uśmiechem do Juliany. - Jeśli w towarzystwie jest jakaś piękna dama, Jacka zawsze znajdziemy tuż przy niej.

Juliana oblała się rumieńcem i spuściła wzrok.

- Zobacz, kto tu jest, Jack! - zawołała Hortense, wyłaniając się z rozkrzyczonej gromady i prowadząc za sobą młodą dziewczynę. - Nie zastaliśmy tylko Addie, która wyjechała na święta do rodziny męża.

- Rosę! - Jack wyciągnął ręce, by ująć dłoń najmłodszej córki pastora. - Ależ pięknie wyglądasz! Powiedz tylko, kim jest ten szczęśliwiec, który poprowadził cię do ołtarza, a wyzwę go na pojedynek o świcie. - Przypomniał sobie, jak podczas swej ostatniej wizyty w Portland House flirtował zuchwale z siedemnastoletnią Rosę. Wciąż była śliczna, ale już nie tą dziewczecą, nieśmiałą urodą.

- Jack - odrzekła - nie ma nikogo takiego. Bertrand tymczasem wyjaśnił Julianie, kim jest Rosę, i zapytał dziewczynę, jak minęła jej podróż.

- Co słyszę?! - wykrzyknął Jack. - Czy mężczyźni na tym świecie zwariowali? Więc

wciąż mieszkasz z rodzicami na plebani?

- Jestem guwernantką - odparła. - Pracuję w tym samym domu, w którym Bertie jest rządcą. Państwo wyjechali na święta, więc oboje z Bertiem mamy dwa tygodnie wolne.

Rosę. Spokojna, nieśmiała Rosę jako guwernantka. Gdy Freddie poślubił Ruby, postanowił też znaleźć mężów dla swych szwagierek. Udało mu się wydać za mąż przeciętnie ładną Addie. A co z prześliczną Rosę?

Ktoś powiedział coś o herbacie i wszyscy pospieszyli schodami na górę do salonu.

- Chodźmy - powiedział Jack biorąc Rosę pod rękę. - Napij się herbaty, choć jestem pewien, że twoja mama nie dalej niż godzinę temu napiła każdego niejedną filiżanką. Powiedz mi, jak taka ładna osóbką jak ty potrafi utrzymać w ryzach rozbrykane dzieciaki?

Kiedy tak szedł z Rosę za innymi, przypomniał sobie o Julianie. Spojrzawszy przez ramię, z ulgą zauważył, że dziewczynie towarzyszy Fitz, a z jej drugiej strony idzie Hortie, gawędząc pogodnie. To niełatwe - pomyślał - poświęcać całą uwagę jednej damie, kiedy się ma naturalną skłonność, by flirtować z każdą ładną kobietą.

Niełatwo będzie mi zmienić styl życia, a jeszcze trudniej zmienić siebie - pomyślał wzdychając.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Bertrand i Rosę dali się namówić i zostali na obiedzie, chociaż - jak powiedzieli wzbraniając się przed zaproszeniem - matka oczekiwała, że wkrótce wrócą na plebanię. Ostatecznie jednak sprawę przesądziło oświadczenie księżnej, że księżę będzie bardzo niezadowolony, jeśli odmówią. A wszelkie zdenerwowanie źle wpływa na podagrę jego wysokości.

Jack potem odprowadził ich do domu, a w drodze powrotnej upajał się samotną przechadzką na świeżym powietrzu. Wcześniej jeszcze na chwilę wstąpił na plebanię, by złożyć wyrazy uszanowania pastorowi i jego małżonce, a przy okazji skosztował placaka bakaliowego pani Fitzgerald, która wyjaśniła, że zawsze piecze go tydzień przed świętami - by się upewnić, czy przez rok nie wyszła z wprawy.

Następnego dnia miały się zacząć próby przed bożonarodzeniowym przedstawieniem. Jack wiedział, że wszelkie jego protesty i poranny, trochę dziecinny wybuch złości nie zdały się na nic i że jednak będzie musiał wystąpić w roli Otella. Ciekawe, czy Belle miała z tym coś wspólnego - zastanowił się i stwierdził, iż to niemożliwe. Rano dobitnie mu przecież powiedziała, że wolałaby nie widywać się z nim w ciągu tego tygodnia, tak jak on nie chciał widywać się z nią. Teraz kiedy była osobą szanowaną - a nawet więcej niż szanowaną - na pewno nie życzyła sobie, by przypominał jej o czasach, kiedy potrzebowała jego opieki i w zamian za to oddawała mu swe ciało.

Nie chciał myśleć o Belle. Nie chciał też wracać do salonu, gdzie z pewnością hrabina skupia na sobie uwagę wszystkich - tak jak to było wczoraj i dziś przy herbacie - mimo obecności nowych gości z plebani. Żeby więc tego uniknąć, postanowił odprowadzić do domu Fitzę i Rosę.

Kiedy po powrocie przechodził obok pokoju muzycznego i usłyszał dochodzące stamtąd dźwięki, z ulgą nieco zwolnił kroku. To pewnie Juliana gra na fortepianie. Może dopisze mu szczęście i dziewczyna będzie sama w pokoju, a wtedy mógłby pozalecać się do niej trochę. Jeśli zaś nie jest sama, wydaje się mało prawdopodobne, aby wśród słuchaczy znajdowała się Belle. Zamiast w salonie, tu mógłby spędzić resztę wieczoru.

To jednak nie były dźwięki fortepianu - uzmysłowił sobie, kiedy nacisnął klamkę i uchylił drzwi. Skrzypce! A więc to musi być Perry albo Martin. Tym lepiej. Odpocznie sobie w swojskim męskim gronie.

Ale znów się pomylił. Cicho zamknął za sobą drzwi i wolnym krokiem podszedł przez

środek pokoju do fortepianu, gdzie stała paląca się świeczka. Obok fortepianu ujrzał szczupłą, ciemnowłosą dziewczynkę, która trzymała pod brodą o wiele za duże dla niej skrzypce i grała przesuwając po strunach niezwykle długim smyczkiem. Miała zamknięte oczy, a ruchy jej ciała świadczyły, że była bez reszty pochłonięta grą. Beethoven. Jak na kogoś tak młodego grała zadziwiająco dobrze i z wyczuciem. Założywszy ręce z tyłu, Jack stał cicho, dopóki dziewczynka nie skończyła. Ciągle jednak miała zamknięte oczy, jakby wsłuchiwała się w echo swej muzyki.

- To było piękne - rzekł miękko.

Ciemne oczy, aż za duże w tej pociągłej buzi, natychmiast się otworzyły, a skrzypce zsunęły się z podbródka, gdy przestraszona dziewczynka zrobiła kilka kroków w tył.

- Nie, nie - powiedział nie ruszając się. - Nie zrobię ci krzywdy. Kim jesteś?

Słysząc było jej przyspieszony oddech.

- Nazywam się Jacqueline - odparła. - Jacqueline Gellee. Nie robię nic złego. Po prostu nie mogłam zasnąć. Zawsze zasypiam z trudem.

Córka Belle. Ma francuskie imię - podobnie jak jej brat, Marcel. Przez chwilę zrobiło mu się ciężko na sercu.

- To przykre uczucie, nieprawdaż? - powiedział. - Kiedy nie można zasnąć. Insomnia - tak to się nazywa. Ja też często na nią cierpię. Masz talent. Uczysz się gry na skrzypcach?

- Nie. - Potrząsnęła głową.

- Kto nauczył cię tego utworu? - zapytał. Wzruszyła szczupłymi ramionami.

- Kiedyś go usłyszałam - odparła. - Chyba papa to grał.

Mówiła z nieznacznym francuskim akcentem. Uniósł brwi ze zdziwienia.

- A słyszałaś jeszcze coś innego? - spytał. - Umiesz zagrać jeszcze coś czy tylko to?

- Słyszałam więcej utworów - odrzekła.

- Wobec tego zagraj mi jakiś - poprosił podchodząc do fortepianu i opierając się o niego łokciem.

Stała bez ruchu przez dłuższą chwilę ze wzrokiem wbitym w dywan, zanim znowu podniosła skrzypce i oparła je o podbródek. Nie patrząc na Jacka, zaczęła grać. Po kilku minutach znowu zamknęła oczy i Jack wiedział, że całkowicie zapomniała o jego obecności. Grała Mozarta. Trochę za szybko, trochę zbyt mocno, ale na pewno z większym uczuciem, niż kiedykolwiek zdarzyło mu się słyszeć.

- Dziecko - rzekł cicho, kiedy skończyła i otworzywszy oczy, przypomniała sobie o nim - powinnaś brać lekcje.

Oboje nie usłyszeli, że otworzyły się drzwi i ktoś wszedł do pokoju.

- Jacqueline! - dał się słyszeć głos, w którym pobrzmiwały zaskoczenie i złość. - Co ty tu robisz?

Isabella spędziła popołudnie na spacerze z dziećmi. Powiedziano jej, że nie opodal na zarastającym jeziorze znajduje się mostek wsparty na trzech łukach. Zbudował go obecny książę Portland dla żony niedługo po ślubie. Z mostka roztacza się podobno malowniczy widok na dom.

Gnębiło ją okropne poczucie winy, że tu przyjechała. Może rzeczywiście jednym z powodów, dla których przyjęła zaproszenie księżnej, był ten, iż mogła spędzić z dziećmi święta na wsi, i to w miłym gronie. Ale w głębi serca wiedziała, dlaczego tak naprawdę tu przyjechała, choć dotąd wzbraniała się przed tą myślą.

Przyznała wreszcie, że być może z powodu Jacka wróciła do Anglii. Pragnęła go zobaczyć. Lecz wbrew jej nadziejom nie przyszedł z wizytą ani nie był w teatrze na żadnym z jej przedstawień.

Powinna stąd wyjechać. Duma nakazywała jej trzymać się od niego z daleka. Bo choć dzięki sukcesom scenicznym była obecnie szanowana i podziwiana, wiedziała, że dla niego jest tylko byłą utrzymanką.

Na początku w swej straszliwej naiwności wierzyła, że przydarzył im się wspaniały romans. Nawet gdy zabrał ją tamtego popołudnia do gospody i tak bardzo upokorzył, a potem rozczarował, gdyż doznała tylko bólu i szoku - nawet wtedy myślała, że to miłość. Sądziła, że zaproponował jej swe mieszkanie i opiekę, ponieważ domyślał się, w jakiej żyje biedzie i że często nie dojada. Nie traktowała tego jako transakcji handlowej. Mimo że Jack opłacał jej mieszkanie i służącą, a także dawał pieniądze na jedzenie, ubranie i inne zbytkowne drobiazgi, nie myślała o sobie jako o utrzymance.

Sądziła, że Jack kocha ją tak, jak ona kocha jego. Myślała, że w przyszłości... Ależ była naiwnie głupia. Wprost niewiarygodnie.

To był tylko jeden rok życia - dlaczego więc nie mogła o nim zapomnieć? Mimo że pod koniec Jack był dla niej szorstki, a nawet okrutny, mimo że zdawała sobie sprawę z charakteru ich związku, mimo że minęło wiele lat, w których zaznała od Maurice'a tyle dobroci i czułości, mimo że odniosła sukces, o jakim nawet nie śniła - mimo tego wszystkiego nie mogła wymazać z pamięci tamtej namiętności.

Nie powinna była tu przyjeżdżać. A już w żadnym wypadku nie należało przywozić tu dzieci.

One tymczasem świetnie się bawiły. Marcel, spokojny i zadowolony zawsze i wszędzie, podskakiwał teraz idąc obok niej i opowiadał o swym koledze, czternastoletnim

Davym - synu Stanleya i Celi Stewartów, jak domyśliła się Isabella - który powiedział mu, że jutro albo pojutrze wszyscy pójną zbierać choinę do dekoracji domu.

- I ja będę niósł ostrokrzew, maman - mówił piskliwym z podniecenia głosem. - A Davy pokaże mi, jak to zrobić, żeby się nie pokaleczyć.

Pięcioletni Marcel uważał za swego przyjaciela każdego, kto - niezależnie czy miał rok, czy osiemdziesiąt jeden lat - w jakiś sposób zwrócił na niego uwagę.

- A mój przyjaciel Kenneth rano dał mi się napić mleka ze swojej butelki - dodał. - Później mu coś poczytam. Bo umiem czytać, maman. Widzę obrazki i pamiętam historyjki, które kiedyś słyszałem. I znam różne słowa.

Maurice, kiedy był mały, musiał być taki sam jak Marcel, i z wyglądu, i z charakteru - pomyślała Isabella. Miała nadzieję, że w wieku czterdziestu lat Marcel też będzie podobny do ojca. Ale pragnęła, by żył dłużej od niego. Biedny Maurice. Brakowało jej go.

- A ty, *cherie!* - Uśmiechnęła się do córeczki, czując znajomy niepokój w sercu. Jacqueline szła w milczeniu obok niej, trzymając ją za rękę. - Podoba ci się tu?

- Tak, mamusiu - odrzekła. - Dziś rano pomagałam niani ubrać te małe dziewczynki. I rozczesywałam włosy Catherine Stewart. Ona to bardzo lubi. Powiedziała mi, że mama zawsze ją czesze wieczorem, ale niania rano nie ma na to czasu. Mama Catherine była dla mnie bardzo miła i podziękowała mi, kiedy przyszła do pokoju dzieciennego przywitać się z Catherine i Kennethem. Powiedziała, żebym mówiła do niej „ciociu Annę”.

Co za dziwne, poważne dziecko. Isabella nigdy nie wiedziała, czy Jacqueline jest szczęśliwa, czy nie. Ciągle też córeczka była dla niej źródłem jakiegoś nieokreślonego niepokoju. Późnym wieczorem, godzinę po tym, jak ułożyła dzieci do snu i pocałowała je na dobranoc, przeprosiła towarzystwo w salonie i tak jak dzień wcześniej poszła zajrzeć do dzieciennego pokoju. Była tam na pewno jakaś niańka, ale Isabella wolała sprawdzić, czy dzieci mają się dobrze.

Marcel spał z otwartą buzią i z jedną rączką opartą o policzek. Łóżeczko Jacqueline było puste, ale dziewczynka nie mogła przecież opuścić pokoju, gdyż co najmniej trzy niańki siedziały tu przy herbacie, gawędząc w najlepsze. Nie widziały, by ktoś wychodził. Kiedy jednak dowiedziały się, że mała zniknęła, przestraszone skoczyły na równe nogi.

Isabella wiedziała, że Jacqueline nie opuściłaby domu. Mimo to, gdy szukała córeczki we wszystkich możliwych miejscach, umierała z niepokojem. Była noc, na dworze panowała ciemność. A jeśli dziecko się nie znajdzie? Co wtedy? Ogarnęła ją panika. Chyba będzie musiała zejść do salonu i błagać o pomoc.

I wtedy doszła do pokoju muzycznego. Wiedziała, że to pokój muzyczny, gdyż

księżna wcześniej osobiście oprowadziła ją po domu. Nie ma sensu tu zaglądać - pomyślała, ale sięgnęła ręką do klamki. I zanim jeszcze otworzyła drzwi i zobaczyła światło, już wiedziała. Oczywiście! Powinna się była tego domyślić.

Gdy ujrzała świeczkę i drobną figurkę córki stojącej po drugiej stronie fortepianu i trzymającej w dłoniach ukochane skrzypce i smyczek, poczuła taką ulgę, że aż ugięły się pod nią kolana. Zaraz jednak ulga ustąpiła miejsca innym uczuciom, zwłaszcza gdy Isabella zobaczyła mężczyznę opartego łokciem o fortepian.

Jack.

O Boże. Dobry Boże. Ogarnął ją niepokój, nieracjonalny, głupi strach. Musiała chyba oszaleć, że w ogóle tu przyjechała i przywiozła ze sobą dzieci.

I wtedy ulga i niepokój zamieniły się w gniew. Niemal wściekłość.

- Jacqueline! - syknęła. - Co ty tu robisz?

Dziewczynka podskoczyła ze strachu i uczyniła daremny wysiłek, by schować za plecami skrzypce i smyczek. Jack niespiesznie się wyprostował. Isabella szybkim krokiem przemierzyła pokój, patrząc na córkę gniewnym wzrokiem.

- Szalałam ze strachu - rzekła. - Nie było cię w łóżku, a niańki nie widziały, żebyś wychodziła z pokoju. Na dodatek to dla ciebie obcy dom.

- Nie mogłam zasnąć, mamó - odparła dziewczynka podchodząc do fortepianu, by ukryć to, co trzymała za plecami.

- Więc powinnaś leżeć w łóżku i czekać, aż przyjdzie sen - powiedziała surowo Isabella, a jej gniew spotęgowała jeszcze obecność mężczyzny stojącego w milczeniu kilka kroków od niej. - Nie pozwolę na to, Jacqueline. Nie możesz nocą błąkać się w koszuli nocnej po obcym domu i rozmawiać z nieznanymi.

Jack się nie poruszył.

- Co ty sobie wyobrażasz stojąc tu z tym! - wykrzyknęła, oskarżycielskim gestem wskazując skrzypce. - Wiesz, że nie wolno ci grać na skrzypcach, Jacqueline. Nigdy. Jesteś krnąbrnym, nieposłusznym dzieckiem.

Na policzkach dziewczynki pojawiły się dwie łzy.

- To ja poprosiłam, by coś zagrała - odezwał się cicho Jack. - Przecież nic się nie stało. Na insomnię nie zawsze pomaga leżenie w łóżku i czekanie na sen.

Isabella nagle przypomniała sobie, że Jack cierpiał często na insomnię. Czasami przychodził do niej w środku nocy, zmęczony i zirytowany, błagając, by utuliła go do snu. Rankiem następnego dnia opowiadał ze swym zwykłym leniwym uśmiechem, jak to jej kołysanki w cudowny sposób pomagają mu zasnąć.

Nie spojrziała na niego i nie uczyniła żadnego znaku świadczącego, że usłyszała to, co powiedział.

- Wracaj do pokoju i kładź się do łóżka - poleciała córce. - Zaraz tam do ciebie przyjdę. I ciesz się, że nie dostałaś porządnego klapsa.

Nigdy nie uderzyła żadnego z dzieci - nie mogła nawet powstrzymać łez, kiedy Marcel musiał ukarać któreś z nich. Zdziwiło ją więc, że przed chwilą tak dała się ponieść gniewowi.

- Dobrze, mamó - powiedziała Jacqueline cienkim, płaczącym głosem.

Isabella miała ochotę przytulić córeczkę i zapłakać razem z nią.

- I odłóż to - rzekła chłodno. - W przyszłości nie chcę cię już z tym widzieć, Jacqueline. Słyszysz?

- Tak, mamó.

Dziewczynka musiała stanąć na palcach i wysoko unieść rączki, by z nabożeństwem położyć skrzypce na fortepianie. Potem odwróciła się i z opuszczoną głową wyszła z pokoju.

Isabelli krajało się serce. Ale gniew jeszcze jej nie przeszedł.

- Jak śmiałeś! - Spojrzała wreszcie na Jacka błyszczącymi oczami. - Jak śmiałeś!

Złożył ręce z tyłu. Patrzył na nią poważnym wzrokiem.

- Nie bardzo rozumiem - powiedział.

- Jak śmiałeś przebywać sam na sam z moją córką - wyjaśniła. - Jak śmiałeś z nią rozmawiać!

- Belle - rzekł cicho. - Ona ma siedem lat. Tak mi powiedziałaś dziś rano. Siedmioletnie dziecko. Za kogo ty mnie uważasz?

Spojrzała na niego. Umiała poznać, kiedy był zagniewany - zaciskał wtedy szczęki.

- Myślisz, że uwodzę małe dziewczynki? - zapytał. Zacerpnęła głęboko powietrza.

- To jest dom moich dziadków - powiedział. - Ona jest tu gościem. Ja jestem ich wnukiem. A poza tym to przecież dziecko.

Te słowa w niewytłumaczalny sposób spotęgowały jej gniew. Czowała, że aż mdli ją z nienawiści.

- Nie życzę sobie, abyś zbliżał się do moich dzieci - rzekła. - A zwłaszcza do Jacqueline. Nie życzę sobie, byś z nimi rozmawiał czy patrzył na nie. I nie życzę sobie, abyś przebywał z nimi w jednym pokoju. Nie chcę, żeby znały ciebie i twoje nazwisko. Rozumiesz?

A przecież sama je przywiozłam, wiedząc, że on może tu być - pomyślała. Mając nadzieję, że on tu będzie. I bojąc się tego.

Jack ciągle był denerwująco spokojny.

- Gdybym już nie stał, to czy w tym momencie nie powinienem wstać i zacząć klaskać, Belle? - zapytał. - I krzyczeć „brawo, bis!” A może jeszcze nie skończyłaś swojej kwestii?

Próbowała oddychać powoli, by się uspokoić.

- Trzymaj się od nich z daleka - powtórzyła. - To moje dzieci. Oddałabym za nie życie.

- Brawo! - mruknął.

Zrobiła w jego stronę kilka kroków.

- Jack - rzekła błagalnie. - Proszę cię. Proszę, nie używaj tego słowa w ich obecności. Nie nazywaj mnie tak przy nich. Niech nadal myślą o mnie jak...

- Mój Boże, Belle. - Podszedł do niej i ujął ją za ramiona. Boleśnie mocno. - Masz o mnie doprawdy dziwne mniemanie.

Wywarło to na niej o wiele większe wrażenie, niż mogłaby się spodziewać, więc po prostu zamarła i patrzyła mu w oczy. Na udach czuła jego twarde, umięśnione uda, na piersiach - jego pierś. Czuła na twarzy oddech Jacka i zapach wody kolońskiej, jakiej zawsze używał. Nagle wydało jej się, że nie są sobie obcy - jakby te wszystkie lata, które minęły od ich ostatniego uścisku, zniknęły bez śladu.

- Jack, proszę cię... - powiedziała.

Już nie wiedziała, o co go chciała prosić. Spojrzała w znajome ciemne oczy w znajomej pociągłej, pięknej twarzy, otoczonej znajomymi mocnymi, ciemnymi włosami.

Jack. Och, Jack!

Nic nie powiedziawszy odchyliła głowę, by mógł ją pocałować. Oczekiwała tego pocałunku. On jednak po chwili cofnął się o krok i uwolnił jej ramiona z uścisku. Obszedł fortepian i palcem uderzył w klawisz.

- Belle - powiedział - dlaczego dziewczynka nie uczy się gry na skrzypcach? Jest niezwykle utalentowana.

- Wcale nie - odparła szybko. - Marcel zbyt wcześnie rozbudził w niej zainteresowanie muzyką. Bawiło go, że mała potrafiła wydobyć ton z jego instrumentu, zanim jeszcze umiała chodzić. Kazał dla niej zrobić specjalne skrzypce - takie mniejsze, by mogła je utrzymać. Grała na nich, zamiast bawić się jak inne dzieci. To wprost niedorzeczność. Po śmierci Maurice'a zabroniłam jej tego.

Kiedy tak słuchała swych wyjaśnień, poczuła, że brzmią nieprzekonująco. Nie powiedziała o swych obawach. Nie musiała mu przecież niczego tłumaczyć. W końcu to ona jest matką.

Zamknął wieko fortepianu i przez chwilę patrzył na nią w milczeniu.

- Nigdy nie słyszałem, by dziecko grało z taką pasją - powiedział. - Niemal jakby nie mogła powstrzymać się od gry. Jesteś z pewnością na tyle zamożna, by zaangażować dla niej najlepszego nauczyciela. Bo jej jest potrzebny ktoś naprawdę dobry.

- Co ty wiesz? - Poczula nowy przyływ gniewu. - Co ty w ogóle wiesz o dzieciach i ich potrzebach? Jacqueline potrzeba tylko trochę szczęścia i beztroski. Powinna się bawić i korzystać z dzieciństwa. Powinna w nocy spać. Nie można jej pozwolić na takie fanaberie.

- Fanaberie? - Zmarszczył brwi. - Sądziłem, że kto jak kto, ale ty, Belle, potrafisz docenić prawdziwy talent i rozumiesz konieczność jego rozwijania. Ośmielę się twierdzić, że jej talent jest równy twojemu, choć w innej dziedzinie, i że mógłby w przyszłości przynieść jej sławę równą twojej.

Wolałaby, aby nie zostało to wypowiedziane. Czy nie zdawał sobie sprawy, że ona jest ostatnią osobą, która chciałaby mieć utalentowane dziecko?

- Jesteś o nią zazdrosna, Belle? - zapytał cicho.

- Nic nie rozumiesz - rzekła z mocą. - Ty i twoje łatwe, wygodne życie! Nie musisz nawet kiwnąć palcem, by wszystko mieć. Zawsze dostawałeś, co tylko chciałeś i kiedy chciałeś.

Mogła zostać nauczycielką czy guwernantką. Albo mogła poślubić jednego z tych młodzieńców z jej warstwy, którzy okazywali jej zainteresowanie, zanim jeszcze wyjechała do Londynu. Ale nie - zawsze chciała grać, chciała udowodnić sobie i światu, że może być najlepszą z najlepszych. Wiedziała dobrze, co znaczy pasja i talent. I wiedziała, dokąd to prowadzi. Prowadzi do świata, gdzie nie ma miejsca dla kobiet... dam... Do świata, gdzie kobiety traktuje się jak ładacznice. I do takich związków, w jakim ona żyła z Jackiem. Prowadzi też do pewnego rodzaju ostracyzmu, jakiego zaznała ze strony rodziny Maurice'a, kiedy ten złamał konwenanse i wprowadził ją w wyższe sfery. I wiedzie do samotności. Wiecznej samotności. Nie pamiętała czasów, kiedy nie była samotna, może tylko z wyjątkiem pierwszych miesięcy z Jackiem, gdy sądziła, że znalazła swoją przystań.

Jacqueline ma szansę zostać damą mimo pochodzenia matki. Może mieć normalne, szczęśliwe życie. Jeśli tylko będzie się ją trzymał z dala od tych przeklętych skrzypiec.

- Jacqueline uczy się grać na fortepianie - rzekła. - Ta umiejętność bardziej przystoi damie.

- Dobrze gra? - zapytał.

- Owszem - odrzekła. - Ale ma dopiero siedem lat.

Prawda jednak była taka, że dziewczynka nie przejawiała zainteresowania grą na

fortepianie i nie lubiła ćwiczyć. Grała poprawnie, lecz bez polotu.

- Belle. - Szukał wzrokiem jej spojrzenia. - Robisz błąd.

- A kim ty jesteś, by mnie pouczać? - Usłyszała, że jej głos drży. - No, kim?

Wolno pokiwał głową.

- Tylko człowiekiem, który niegdyś żył z bardzo utalentowaną kobietą. Który miał jej za złe ten talent i chciał ją sobie podporządkować, aż wreszcie zrozumiał, że nie da rady - rzekł. - I człowiekiem, który dziś musi przyznać, iż nie miał racji. Nie widziałem cię ostatnio na scenie, Belle, ale wszyscy zgodnie twierdzą, że jesteś wyjątkową aktorką.

Przypomniała sobie, jak bardzo Jack chciał, by zrezygnowała z aktorstwa, i jak się wściekał, kiedy chodził na przedstawienia, podczas których rozzuchwalona męska widownia w niewybredny sposób dawała wyraz swemu uznaniu dla niej. Po takich spektaklach kochał się z nią o wiele gwałtowniej niż zwykle. Wtedy chyba nie rozumiał, że aktorstwo to dla niej nie tylko praca.

Ktoś kiedyś jednak powinien był ją powstrzymać. Może rodzice. Próbowali, ale im się nie udało.

- Muszę iść do pokoju dziecinnego. Sprawdzić, czy Jacqueline leży już w łóżku.

- Tak - odrzekł. - Idź. - Odwróciła się, lecz coś w jego głosie sprawiło, że się zatrzymała. - Belle, nie karz jej tak surowo. Insomnia to okropna przypadłość. A jeśli czegoś się bardzo pragnie i cierpi z tego powodu, niełatwo sobie z tym poradzić. Zwłaszcza dziecku.

Spojrzała na niego przez ramię. Jak on śmie - pomyślała kolejny raz ze znużeniem. Co wie o uczuciach matki czy ojca? Co wie o marzeniach i lękach dotyczących dziecka, szczególnie dziecka tak niepodobnego do innych? Czy zna ten nieustanny niepokój? Albo ten największy ze wszystkich strach, by nie zrobić czegoś źle i nie unieszczęśliwić dziecka na całe życie?

Jednak nic nie powiedziała. Bo po co.

Lecz jego słowa ciążyły jej, gdy szła po schodach do dziecinnego pokoju.

Jacqueline leżała w łóżeczku - jej oczy i policzki były zaczerwienione. Miała przymknięte powieki, choć Isabella wiedziała, że córeczka nie śpi. Pochyliła się więc i dotknęła dłonią jej czoła, odgarniając włosy. I wtedy pod wpływem impulsu wzięła dziewczynkę w objęcia. Drobną dziwną Jacqueline, tak inna od Marcela - zarówno pod względem urody, jak i usposobienia. Taka ukochana.

- *Cherie* - przemówiła do niej. - Tak się bałam, kiedy nie mogłam cię znaleźć. Co bym zrobiła bez mojej małej dziewczynki? A potem byłam tak szczęśliwa, gdy zobaczyłam cię całą i zdrową, że aż się zdenerwowałam. Nie chciałam, żebyś płakała. Wybacz mi.

- Mamusiu - wyszeptła dziewczynka. - Ten pan powiedział, że to było piękne. Poprosił, abym coś jeszcze zagrała. Powiedział, że powinnam brać lekcje.

Ten pan. Och, Jack, Jack!

- Mnie też to powiedział - odrzekła Isabella. Nastąpiła minuta ciszy.

- Mamusiu...?

- Zobaczymy po świętach, kiedy wrócimy do domu - powiedziała Isabella. - Może coś wymyślimy. - Ułożyła córeczkę w łóżku, otuliła ją kołdrą i uśmiechnęła się. - Zaśniesz teraz?

- Tak, mamo - odrzekła Jacqueline. Lecz gdy Isabella odwróciła się, by wziąć świecę i wyjść po cichu z pokoju, dziewczynka zawołała: - Mamo! Myślałam, że umrę, kiedy nie pozwoliłaś mi zabrać ze sobą skrzypiec do Anglii.

- Możemy zamówić nowe - odparła Isabella czując, jak mięknie jej serce. - Trochę większe, bo jesteś już dużą dziewczynką.

Ale tylko na specjalne okazje. Trzeba będzie to kontrolować.

Schodząc po schodach Isabella czuła się, jakby Jack wyprowadził ją na manowce. Tak jej zależało, by Jacqueline zapomniała o skrzypcach, by uratować ją przed nią samą. A jednak chyba jej się to nie uda.

Ten pan. Och, jak dziwnie boleśnie zabrzmiały te słowa w ustach jej córki!

ROZDZIAŁ ÓSMY

Jack usiadł na taborecie przy fortepianie, uchylił wieko instrumentu i zaczął grać - lekko, od niechcienia. To dziwne, ale często w ten sposób próbował leczyć insomnię. Muzyką. Muzyką albo miłością fizyczną. Odkąd stał się dorosły - raczej miłością. Z Belle poznał moc tego narkotyku, jakim jest akt miłosny i później zasypianie w miękkich ramionach. Te same potrzeby zaspokajał potem z innymi kobietami. Ale nigdy nie było to takie słodkie uczucie jak z Belle.

Teraz jej ciało stało się pełniejsze, bardziej dojrzałe, niż się spodziewał. I ciągle sprawiało, że puls zaczynał mu szybciej bić. Zastanawiał się, czy poczuła, jak na niego działa, gdy się dotknęli. Miał nadzieję, że nie, ponieważ szybko odsunął się i stanął za fortepianem.

Pomyślał o drobnej dziewczynce, która była jej córką, i o tym, jak nieporadnie wyglądała z za dużymi dla niej skrzypcami opartymi o podbródek. I o muzyce, nie uładowanej, lecz tętniącej emocjami, która tak dodawała małej urody. Córeczka Belle. Tak bardzo go ujęła, bo poczęła się z ciała Belle. I de Vacherona.

Dziesięć lat temu był zbyt młody, zbyt nieśmiały, zbyt niedoświadczony, by zrozumieć talent Belle. Próbował go ignorować, ograniczać, stłumić tę pasję Belle i wypełnić jej życie czymś innym. To, że była taka utalentowana, drażniło go, denerwowało i niepokoiło. Nienawidził tego, iż była aktorką.

A może wszystko potoczyłoby się inaczej? Gdyby był tak samo dumny z jej aktorstwa jak z niej samej? Gdyby pomagał jej w karierze, gdyby występowali oficjalnie jako para, a nawet pobrali się? Matka i dziadkowie nie przeżyliby, gdyby ożenił się z aktorką i swoją utrzymanką. Gdyby jednak zrobił to wszystko, na co odważył się de Vacheron, i machnął ręką na konwenanse? Gdyby miał być ojcem jej dzieci?

Czy to by coś zmieniło? Gdyby przezwyciężył zazdrość, jaką zawsze odczuwał w stosunku do tych, którzy byli przed nim - jej kolejnych opiekunów i przypadkowych klientów? Czy mógł nie myśleć o tych mężczyznach, wielbicielach i pochlebcach, którzy mieli ją w zielonym pokoju w teatrze, kiedy już była z nim? Wiedział o nich i ona sama na końcu otwarcie się do tego przyznała. Podczas ostatniej kłótni, po której już się nie widzieli - aż do teraz.

Gdyby zaakceptował jej marzenia i znosił to, że Belle nie wystarczały tylko westchnienia wielbicieli, czy wtedy związałyby się z nim na stałe? Bo przecież w końcu poświęciła się jednemu mężczyźnie, gdy zniknęła i po roku albo dwóch latach pojawiła się we

Francji. Do Anglii nie dotarła żadna plotka o niej - lecz tylko wieść, że jej sława rośnie, a karierą aktorki interesuje się osobiście cesarz Napoleon. Także od chwili powrotu Belle nie słyszał, by jej imię łączono z imieniem jakiegoś mężczyzny, nawet spośród tych najbogatszych i najbardziej utytułowanych dandysów, którzy właśnie w teatrach wynajdowali sobie kurtyzany i utrzymanki, chwając się wszem i wobec swymi podbojami miłosnymi.

Babka nie zaprosiłaby jej do Portland House, gdyby choć w najmniejszym stopniu otaczała ją aura skandalu.

Gdyby był starszy, bardziej doświadczony i wyrozumiały, czy sprawy potoczyłyby się inaczej? Pewnie nie - stwierdził, kończąc utwór, który grał tak mechanicznie, że niemal nie wiedział, co gra. Nawet teraz, gdy miał trzydzieści jeden lat i gdy Belle nic już dla niego nie znaczyła, zapłonął gniewem na myśl, że mieli ją jacyś mężczyźni, kiedy on ją kochał i otaczał opieką. Nie, nigdy nie potrafiliby dzielić się nią z innymi. Nie był nawet pewien, czy nie czułby się zazdrosny o tę jej część, którą oddała sztuce. Jeśli się ożeni - kiedy się ożeni - chciałby mieć pewność, że tylko on poznał ciało swej żony i tylko on jeden będzie je znał. Chciałby wiedzieć, że jest jej pierwszym i ostatnim mężczyzną. I że ona nie dopuszcza myśli, że mogłoby być inaczej.

Z determinacją zaczął myśleć o Julianie, której od dłuższego czasu nie poświęcił ani chwili uwagi. Flirtował z Rosą przy herbacie i podczas obiadu, a potem odprowadził ją i Fitzę do domu. A po powrocie... Wydawało mu się, że od tej chwili minęło mnóstwo czasu. Nie miał pojęcia, która jest godzina. Północ? A może później?

Drzwi się uchyliły i pojawiła się w nich głowa Peregrine'a.

- Więc tu się ukrywasz - rzekł otwierając szerzej drzwi. - Wyglądasz jak umierający z miłości łabędź, Jack. Ona jest w salonie, stary, i bez wątplenia z bijącym sercem czeka, aż wrócisz. I zaraz zaczną się zgadywanki. Twoja drużyna bardzo potrzebuje ciebie i twoich umiejętności. W moim zespole będzie hrabina - kiedy wróci z pokoju dziecinnego. Może wolisz od razu się poddać i zaoszczędzić sobie i swojej drużynie kompromitacji?

Spojrzał na Jacka łobuzersko i mrugnął okiem.

Jack wstał.

- Poddać się? - powtórzył. - Nigdy, Perry, stary druhu! Nie ma o tym mowy, dopóki przeciwnik nie położy mi obutej nogi na piersi i nie przystawi miecza do gardła. A nawet wtedy mógłbym mu jeszcze wybić oko. Zgadywanki, mówisz? W tym jestem niepokonany. Prowadź więc.

Peregrine zaśmiał się i zniknął za drzwiami.

Następny dzień miał być pracowity - księżna dokładnie opracowała plan zajęć. Czuło

się, że święta są już blisko - stwierdzili zgodnie członkowie rodziny. Księżna dokładała bowiem wszelkich starań, by jej krewni i goście mieli mnóstwo atrakcji i świetnie się bawili - oczywiście w jej rozumieniu. Babka nigdy nie mogła zrozumieć, że dla większości ludzi Boże Narodzenie to czas błędnego lenistwa i biesiadowania - zauważył Alex w gronie osób, które podzielały jego zdanie.

Na rano wyznaczono próbę z udziałem wszystkich aktorów, którzy mieli dostać swoje role i dowiedzieć się, co konkretnie mają robić. Po południu każdy, kto nie był obłożnie chory, miał iść do parku i zbierać choinę do udekorowania domu - będzie o wiele zabawniej zrobić to samemu niż powierzyć owo zadanie służbie, jak wyjaśniła księżna. A po powrocie mieli się zająć ozdabianiem hallu i salonów.

Wszyscy, którzy mieli trochę wolnego czasu („Co, proszę?” - wymownie skomentował to Martin w rozmowie z Maud), mogli w pokoju muzycznym albo salonie ćwiczyć przed koncertem, jaki miał się odbyć w Wigilię przed wyjściem do kościoła.

W sali balowej zebrała się większość rodziny. Przedstawienia teatralne zwykle nie cieszyły się wielkim zainteresowaniem. Tym razem jednak możliwość zobaczenia hrabiny de Vacheron podczas próby zwabiła wiele osób.

A także chęć zobaczenia, jak wygłupiają się inni - złośliwie powiedziała Hortense do męża.

Juliana zapewne także poszłaby do sali balowej, gdyby brat po śniadaniu nie wziął jej na stronę i nie zagadnął:

- Wybieram się przed południem na spacer. Może nawet pójść do wioski i złożę wizytę na plebanii. Nie chciałabyś wybrać się ze mną, Julie?

- Na plebanię? - zastanowiła się. - Ale przecież nie zostaliśmy przedstawieni pastorowi i jego żonie, Howardzie. Czy możemy pójść tam sami?

- Plebania to miejsce, gdzie każdy może wstąpić bez wcześniejszych formalności - odparł. - Poza tym wczoraj poznaliśmy Fitzę i pannę Fitzgerald.

Powiedział to jakby od niechcenia, ale Juliana zbyt dobrze знаła brata, by dać się zwieść.

- Aaa - rzekła śmiejąc się i porozumiewawczo trącając go w ramię. - To ładna panna, nieprawdaż? Ale jest tylko guwernantką, Howardzie. Papa nie będzie zadowolony.

- Wielkie nieba, Julie - rzekł lekko poirytowany. - Nie zamierzam od razu jej się oświadczyć. Ale chyba widzisz, ile jest w Portland House niezamężnych czy nie zaręczonych kobiet. Tylko ty. No właśnie. A ty jesteś moją siostrą.

Przez chwilę zastanowiła się nad tym. Do tej pory nie przyszło jej do głowy, że

Howard może się tu nudzić. Ale rzeczywiście miał rację. Albo prawie.

- Jest też hrabina de Vacheron - zauważyła. Prychnął.

- Musi być ode mnie starsza o cztery czy pięć lat - stwierdził - i ma dwójkę dzieci.

Poza tym jest taka nieprzystępna.

- To prawda. - Juliana przyznała, że hrabina mogła zrobić takie wrażenie na Howardzie. A już na pewno nie wyobrażała jej sobie flirtującej z Howardem. - Ale lubię ją. To taka miła osoba. - Ujęła go pod ramię, gdy wstępowali po schodach. - Panna Fitzgerald jest bardzo ładna. I rozumiem, dlaczego wolałbyś nie iść do niej sam w odwiedziny. Chodźmy więc razem, Howardzie.

Gdy półtorej godziny później żwawo podążali w kierunku wioski, Juliana pomyślała, że właściwie cieszy się ze spaceru z bratem. Z nim mogła czuć się zupełnie swobodnie. Starła się pogodzić z sytuacją, w której się obecnie znalazła, i chciała polubić pana Frazera. W pewnym sensie jej się to udało, ponieważ był on nadspodziewanie miły i odnosił się do niej z sympatią. Z drugiej jednak strony wydawał się zbyt pewny siebie i wyrafinowany. Onieśmielał ją i czuła się przy nim okropnie dziecinna.

Teraz jednak przyjemnie było iść obok Howarda i rozmawiać, nie będąc zmuszoną do najmniejszego wysiłku intelektualnego.

Ten poranek okazał się bardzo miły. Pani Fitzgerald, która wyglądała na zmieszaną, kiedy Bertrand dokonywał prezentacji, zaprosiła ich do saloniku na herbatę, ciasto bakaliowe - upieczone przed świętami na próbę, jak wyjaśniła - oraz słodkie bułeczki. Pastor też wyszedł ze swego gabinetu, przysiadł się do nich i zabawiał gości rozmową, podczas gdy oni delectowali się ciastem.

Potem Howard, patrząc znacząco na siostrę, jakby liczył na poparcie, zapytał, czy Fitz i panna Fitzgerald nie mieliby ochoty na przechadzkę, gdyż na dworze jest tak przyjemnie i rześko - choć ciemne chmury na niebie zdawały się przeczyć jego słowom. W odpowiedzi na to pastor zauważył, że chyba zapowiada się śnieg na Boże Narodzenie.

- Ubierz się ciepło, kochanie - rzekła pani Fitzgerald do córki.

Kiedy wyszli z domu, Howard podał ramię pannie Fitzgerald - co zresztą nie było dla Juliany zaskoczeniem.

Nie pozostało jej więc nic innego, jak wziąć pod ramię pana Fitzgeralda, i we czwórkę udali się na spacer - najpierw wiejską alejką, potem polną ścieżką biegnącą wzdłuż porośniętego mchem muru Portland House, aż wreszcie wyszli na otwartą przestrzeń.

Julianie nie przeszkadzało to, że szła z niemal obcym dżentelmenem. Choć nie był wybitnie przystojny, pan Fitzgerald miał bardzo miłą powierzchowność i pogodną twarz.

Mógł być osiem czy dziewięć lat starszy od niej, ale nie czuła się onieśmielona z powodu różnicy wieku między nimi. Był jednak tylko synem duchownego i musiał zarabiać na życie jako zarządca majątku. Nie było w nim nic takiego, co by ją peszyło. Nie czuła się niepewna czy zbyt dziecinna jak na swoje lata.

Zadawał jej różne pytania i Juliana stwierdziła, że łatwo jej przychodzi mówienie o sobie i swoim życiu, choć w ciągu dziewiętnastu lat nie wydarzyło się w nim przecież nic szczególnego. Pan Fitzgerald natomiast opowiadał jej o swej pracy, która najwyraźniej go interesowała i satysfakcjonowała. Mówił też o rodzinie księcia i księżnej Portland - o dzieciństwie, które spędził z młodszymi członkami rodu, i o figlach, które płatał razem z nimi. Rozśmieszył ją i od razu poczuła się dobrze w jego obecności.

Jak zauważyła, Howard też czuł się znakomicie w towarzystwie Rosę, którą Juliana uznała za słodką i śliczną - i tylko rok czy dwa lata starszą od niej. A gdy wszyscy czworo zatrzymali się na chwilę, by podziwiać w oddali sylwetkę Portland House, zaczęła rozmowę z Rosę i już tak szły obok siebie, gawędząc niczym najlepsze przyjaciółki. Juliana uświadomiła sobie, że łatwiej jej jest rozmawiać z Rosę niż z hrabiną - może dlatego, że obie w równym stopniu były zaangażowane w konwersację. Juliana zdała sobie sprawę, iż lady de Vacheron jest wdzięcznym słuchaczem, ale nic nie mówi o sobie.

Rosę opowiadała, jak przyjemnie być w domu przez całe dwa tygodnie. I jak lubi dzieci, którymi się zajmuje. I o samotności, która byłaby jeszcze bardziej nieznośna, gdyby brat nie pracował w tym samym domu co ona.

W pewnej chwili Rosę uśmiechnęła się do Juliany przepraszająco.

- To okropne, że opowiadam pani takie rzeczy - powiedziała. - Nigdy z nikim o tym nie mówię, nawet z mamą. Z niektórymi ludźmi od razu tak dobrze się rozmawia. Pani do nich należy, panno Beckford. Proszę mi wybaczyć, że obarczam panią swoimi problemami.

- Niech mi pani mówi po imieniu - rzekła impulsywnie Juliana.

- Och, jak mi miło. Ja jestem Rosę.

Gawędziły w najlepsze, dopóki Howard, który tymczasem rozmawiał z panem Fitzgeraldem, nie zawołał ich i znowu nie porwał Rosę. Juliana miała nadzieję, że brat nie będzie zbyt ostentacyjnie flirtował. Polubiła Rosę i nie chciała, by dziewczyna została zraniona - a przecież sama przyznała, że czuje się samotna. Howard studiował parę lat na uniwersytecie i jakiś czas spędził w Londynie, Juliana przypuszczała więc, że miał pewne doświadczenie w sztuce uwodzenia kobiet, choć z pewnością nie robił wrażenia tak obytego w świecie jak pan Frazer.

Domyślała się też, że pan Frazer posuwał się dalej niż tylko do flirtu z kobietami.

Zarumieniła się mocno na samą myśl o czymś tak nieprzyzwoitym.

Kiedy jakiś czas potem wracali z Howardem do Port - land House przez park, Juliana poczuła się szczęśliwsza niż przed paroma godzinami i jakby odrodzona. Odsunęła od siebie myśl, że nie ma ochoty wracać do pałacu.

- Na Jowisza - powiedział Howard - kolejne dni już nie wydają się takie ponure, Julie. Nigdy byś się nie domyśliła, że Rosę i Ruby Lynwood są siostrami, nieprawdaż?

Cała rodzina po śniadaniu udała się do sali balowej, żartując, śmiejąc się i wygłupiając. Ale wszyscy natychmiast spowaźnieli, kiedy weszli do sali i zastali tam Claude'a i hrabinę de Vacheron, którzy stali pośrodku, rozmawiając cicho.

Chociaż hrabina wyglądała jak zwykle pięknie, tego ranka nie była ubrana w żaden wspaniały czy olśniewający strój. Miała na sobie prostą wełnianą suknię w kolorze ciemnozielonym, a jej złote włosy były zaczesane do tyłu i upięte w skromny kok na karku.

Wszyscy jednak od razu zobaczyli w niej tę wielką de Vacheron, która grała dla samego potwora z Korsyki, cesarza Napoleona, i zrobiła na nim tak duże wrażenie, że - jak wieść niesie - aż skłonił się przed nią, a następnie uklęknął. Gorąco oklaskiwał ją sam książę Walii, który wstał z miejsca, a za jego przykładem poszli wszyscy widzowie w teatrze. Na jej cześć wydano także przyjęcie w Carlton House.

Wchodząc więc do sali balowej, czuli się onieśmieleni myślą, że oto niektórzy z nich będą mieli czelność z nią grać. Niepewnie stanęli zatem pod ścianami.

- Pomyślałby kto, że podtrzymujemy walące się mury - mruknął ironicznie Peregrine do Connie i Sama.

- Jak jakieś gołowąsy na swym pierwszym balu - szepnął Alex do Jacka.

Wtedy Claude i hrabina podnieśli głowy. Claude zmarszczył czoło, a ona się uśmiechnęła.

Nie minęło jeszcze południe. Gdybym był teraz u Reggiego - pomyślał Jack - leżałbym w łóżku. Nie sam oczywiście i niekoniecznie śpiąc. Ale w łóżku. Dałby wszystko, aby być tam w tej chwili. I nie dlatego, że musiał się starać o rękę swej przyszłej żony. Nie, wcale nie dlatego.

Belle i Perry ze swą drużyną naturalnie wygrali zgadywanki zeszłego wieczora. To niesprawiedliwe, że oboje znaleźli się po jednej stronie. Belle była tak radosna, jakby nic nie zaszło w pokoju muzycznym. Więc on też był wesół.

- Co wy robicie, na Boga? - zapytał Claude. - Wyglądacie, jakbyście stali przed plutonem egzekucyjnym.

W odpowiedzi dały się słyszeć niepewne śmiechy i wszyscy postąpili parę kroków do

przodu. Wszyscy poza Jackiem, który nieco się odwrócił i oparł plecami o ścianę. Skrzyżował ręce na piersiach.

Kiedyś nienawidził tego, że Belle jest aktorką. Po prostu nienawidził. I chociaż wiele razy widział ją na scenie, nie chciał przyznać, że jest utalentowana. Była piękna. To jej uroda zwracała uwagę widzów. Mężczyzn przyciągała do teatru możliwość oglądania jej, spotkania się z nią za kulisami i kupienia jej względów. I nic ponadto. Albo usiłował to sobie wmówić. Nie rozumiał wtedy złożoności całej sprawy.

Nie powinien był zabrać jej do pokoju w gospodzie, kiedy dowiedział się, że jest aktorką. Mógłby to zrobić, gdyby jej tylko pożądał. Ale beznadziejnie się w niej zakochał. Gdy zobaczył ją na scenie, powinien był wyjść z teatru i tej wiosny omijać z daleka Hyde Park. Może wówczas oszczędziłby sobie goryczy.

Z zamyślenia wyrwał go jej śmiech.

- Obiecuję, że was nie zjem - powiedziała. Zgromadzeni zaśmiali się już trochę pewniej.

- Przykro mi, że zajmuję wam wolny czas i zmuszam was do pracy. Ale jak powiedziałam księżnej, nie musicie uczyć się na pamięć swoich kwestii ani nawet jakoś szczególnie odgrywać ról. Jeśli tylko będziecie czytać odpowiednie partie, przyrzekam, że ja wezmę na siebie cały ciężar przedstawienia.

Wielki Boże - pomyślał Jack mrużąc oczy - ona jest równie sprytna jak babka. Jego krewni natomiast pospieszyli z jedyną możliwą odpowiedzią.

- Ależ, hrabino - odezwał się Perry - grać z panią to dla nas ogromna przyjemność. Wbrew temu, co mogłoby się pani wydawać. Nie mogliśmy spojrzeć sobie potem w oczy, gdybyśmy nie postarali się zagrać najlepiej, jak potrafimy, i nie nauczyli się tekstu na pamięć. Byłby wstyd, gdyby ktoś musiał nam go podpowiadać.

- Jeśli człowiek poważnie się do tego zabierze, łatwo jest się nauczyć roli na pamięć - powiedziała Annę. - I nietrudno wcielić się w graną postać, jeżeli myśli się o niej, a nie o sobie.

- Niech mnie kule biją! - Freddie włączył się do rozmowy. - Ostatnim razem nauczyłem się swojej kwestii i nawet ją zapamiętałem. Jeśli mnie się udało, i wy dacie sobie radę. Bo ja nie jestem zbyt inteligentny, hrabino.

- Ależ, Freddie - rzekła Annę ze słodyczą, która zwykle bawiła, a jednocześnie wruszała Jacka. - To nieprawda. Po prostu jesteś rozważniejszy niż większość ludzi i zastanawiasz się nad tym, co masz powiedzieć.

- W żadnym razie nie chcielibyśmy zepsuć ci przedstawienia, Isabello, nie

przygotowawszy się do niego - dodał Alex. - A odrobina pracy nikomu nie zaszkodzi, jak sądzę.

I powiedział to Alex, ten, który gotów był dopuścić się brutalnego morderstwa - pomyślał Jack z niesmakiem.

- Bez wątpienia uzna nas pani, hrabino, za zwykłych amatorów - rzekł Claude. - Ale przed Bożym Narodzeniem każdy będzie już znał swą rolę i zagra ją tak, jak powinna być zagrana. W przeciwnym razie będzie się tłumaczyć przede mną.

- Cudownie. - Isabella splotła dłonie i uśmiechnęła się uroczo do wszystkich. - Doskonale.

Jej wzrok napotkał spojrzenie Jacka stojącego po drugiej stronie sali balowej.

Claude postanowił, że aktorzy przeczytają role wszystkich postaci występujących w wybranych fragmentach sztuk, tak by jako reżyser mógł się zorientować, co może osiągnąć z takimi amatorami. Potem wyznaczy się plan prób dla każdej sceny.

Zaczęto od sceny z „Kupca weneckiego”, potem był fragment „Poskromienia złoŃnicy”. Jack obserwował to z daleka. Nadal stał z założonymi rękami, opierając się o ścianę.

Ona właściwie nie gra - zauważył - tylko po prostu czyta rolę. A jednak przy niej wszyscy, nawet Perry, zachowywali się i mówili, jakby nigdy jeszcze niczego nie grali, a nawet nie czytali wcześniej swoich kwestii na głos.

I chociaż Belle mówiła cicho, za każdym razem stawała się inną osobą, zupełnie różną od siebie samej. W jednej scenie była pewną siebie, inteligentną, sprytną Porcją, w następnej - niezdolną, ponurą, uszczypliwą Kasią. Ale ona i Alex mieli odegrać dwie sceny z „Poskromienia złoŃnicy”. W tej drugiej Kasia staje się spokojną, uległą żoną. I Belle nią była.

Ciekawe - pomyślał Jack z niechętnym podziwem - jak wypadną te sceny w Boże Narodzenie, kiedy Belle zagra naprawdę.

Potem spojrzenia wszystkich skierowały się na niego - towarzyszyły temu żarty i uśmieszki. Chyba przyszła jego kolej. Boże! Perry miał rację. Chociaż krewniacy szemrali, że zabiera im się wolny czas, tak naprawdę lubili te rodzinne przedstawienia. Lecz jak miał wziąć udział w obecnym? Jak mógł zagrać z Belle?

Odepchnął się od ściany, opuścił ręce i przeszedł przez środek sali nonszalanckim krokiem - w każdym razie miał nadzieję, że tak to wyglądało. Claude podał mu książkę.

- Jesteś moją ostatnią nadzieją, Jack - rzekł ponuro. - Zobaczmy, czy potrafisz to przeczytać nie dukając. Pomyślałby kto, wczoraj dopiero nauczyliście się alfabetu. Zapowiada się rozkoszny tydzień, jak widzę.

Claude zawsze narzekał i denerwował się na próbach, by na koniec oznajmić wszem i wobec, że nabawił się przez nich choroby żołądka.

- Wszystko będzie dobrze, Claude, tak jak ostatnio - rzekła Annę uspokajającym tonem. Ona też grała w tej scenie. Była Emilią, służką Desdemony i żoną Jagona. - Wtedy grałam główną rolę, mimo że nigdy nie widziałam tamtej sztuki na scenie.

Zerknąwszy do tekstu, Jack zorientował się, że ma rozkazać Desdemonie, by położyła się do łóżka, odprawiła służkę i czekała na niego. Potem miał chwilę przerwy, podczas gdy Desdemona przygotowuje się do snu i smutno rozprawia z Emilią o wierności i śmierci. Następnie znowu on wchodzi na scenę i morduje Desdemonę z miłości i nienawiści, gdyż uwierzył w kłamstwa, które opowiedział mu o niej Jagon. Scena kończy się śmiercią Desdemony.

Jack zawsze pogardzał Otellem. Jak mężczyzna, który twierdził, że tak bardzo kocha żonę, mógł uwierzyć w te wszystkie kłamstwa, nawet ich nie sprawdzwszy? A jednak to niezwykle smutna opowieść. Historia człowieka, który jest tak zakochany, że zabija z miłości, a potem - zaraz potem - odkrywa, że żona nie zasłużyła na śmierć. Jakby w ogóle ktoś zasługiwał na śmierć.

- Jack? - Claude się niecierpliwił.

Jack kaszlnął i zaczął czytać pierwsze linijki. Surowy mąż wydaje dyspozycje i oczekuje, że zostaną wypełnione.

A wtedy ona wcieliła się w postać Desdemony - słodkiej, niewinnej, uległej, lecz wcale nie słabej. I przeczuwającej śmierć. Mówi o tym głosem zdławionym od łez. Czuje, że mąż się na nią gniewa, ale nie wie dlaczego. A jednak mężnie i z godnością wypełnia jego rozkaz, odsyłając Emilię i oczekując na to, co ma nastąpić.

On musi ją zabić. Nie ma innego wyjścia. Została zbrukana. Desdemona nie jest już tą słodką, niewinną istotą, którą pojął za żonę. Honor nie pozwala mu pozostawić jej przy życiu, kiedy już się dowiedział, że została zhańbiona. A jednak wzdraga się przed zabiciem jej. Wie, że jeśli pozbawi ją światła życia - jak mówi - to nie zdoła go potem zapalić na nowo. Zwleka więc, pozwalając jej odmówić modlitwę i wyspowiadać się, zanim zabierze ją Stwórca. Nie chce z nią rozmawiać. Nie chce słuchać jej kłamstw. Ale zwleka zbyt długo. Desdemonie udaje się wydobyć z niego niektóre oskarżenia. Zaprzecza im, lecz on ją już morduje w szale zazdrości.

Wtedy do komnaty wraca Emilia - już po tym, jak Desdemona przed śmiercią wybaczyła mężowi jego czyn i aby go uratować przed karą, oznajmiła, że to było samobójstwo.

- „Nie, ona kłamała! Z kłamstwem na ustach runie w ogień piekiel: zabójcą jestem ja”*

- wyrecytował cicho Jack.

Rozległy się brawa. Zeb włożył dwa palce do ust i gwizdnął.

- Cóż. - Claude wyglądał na zaskoczonego. - Może jednak nie będzie to kompletna kłapa. - Zwrócił się do całej grupy i poinformował, kiedy będzie następna próba.

- Od tej pory w sali będą mogli przebywać tylko aktorzy - powiedział. - Żadnych widzów, którzy by nas rozpraszaali. Będziemy odgrywać po jednym fragmencie z każdej sztuki. I nie mówcie mi, że jesteście przepracowani. To może powiedzieć o sobie tylko hrabina. Nie chcę też słyszeć żadnych marudzeń.

- Bo inaczej będziemy mieli z dziadkiem do czynienia - rzekła Hortense i zaśmiała się ze swojego żartu.

- I to wcale nie jest czcza pogróżka - dodał Alex obejmując żonę ramieniem. - Pamiętaj, Annę, jaką dostaliśmy burę, kiedy nie mogliśmy grać, tak jak trzeba, bo nie byliśmy ze sobą w najlepszych stosunkach?

- To ty dostałeś burę, Alex - przypomniał Claude. - O ile dobrze sobie przypominam, Annę grała doskonale.

Alex zrobił grymas.

- Ma rację - rzekł. - Idziemy do dziecinnego pokoju, kochanie?

* Fragmenty „Otella” w przekładzie Stanisława Barańczaka.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Jack zamknął książkę, podczas gdy wszyscy zaczęli wychodzić z sali balowej, chcąc mieć przed lunchem trochę czasu dla siebie oraz na zbieranie choiny. Jack czuł się dziwnie przygnębiony i przytłoczony treścią sztuki, którą właśnie czytał. Dlaczego Otello tak skwapliwie uwierzył w zdradę Desdemony? Dlaczego nie dał jej szansy - rzeczywistej szansy - by mogła się bronić? Dlaczego ona nie zmusiła go, by wyjawiał swe podejrzenia, gdy tylko wyczuła, że jest nieszczęśliwy, zły, przybity? Dlaczego na końcu zdecydowanie mu się nie przeciwstawiła? Dlaczego nie wołała o pomoc, tak by Emilia zdążyła jeszcze ocalić ją przed śmiercią?

I co sprawiło, że czuł się tak bardzo poruszony zwykłą sztuką? I to staruszką Szekspirem?

Kiedy podniósł wzrok znad książki, zobaczył, że został sam. Nie, była tu także Belle, która podeszła do jednego z francuskich okien, by wyrzeć na zewnątrz.

Przez chwilę się zawahał.

- Dlaczego tu przyjechałaś?! - zapytał.

Wcale nie zamierzał zadać tak głupiego pytania. Niemal je wykrzyczał w jej stronę.

Odwróciła głowę i zobaczyła, że Jack zbliża się do niej.

- Dlaczego przyjechałaś? - powtórzył już normalnym tonem.

- Czy nie to samo chciałeś wiedzieć pytając: „Jak śmiałaś?” - rzekła. - Wczoraj ci już powiedziałam.

- Dlaczego przyjechałaś, Belle? - nalegał. - Czy miało to coś wspólnego ze mną? Spodziewałaś się, że tu będę? Bałaś się tego? Czy może miałaś taką nadzieję?

Patrzyła mu prosto w oczy, jak to miała w zwyczaju.

- Nic dla mnie nie znaczysz, Jack - odpowiedziała. - Zupełnie nic.

W ciągu kilku tamtych miesięcy, kiedy byli kochankami, nauczyli się walczyć ze sobą, ranić się samymi tylko słowami. Nie zapomniwała, jak się to robi. On także.

- Zawsze tak było, czyż nie? - stwierdził. - Stanowiłem dla ciebie źródło utrzymania, abyś mogła spokojnie wspinać się po szczeblach kariery. W zamian dostarczałaś mi przyjemności, tak że przez rok nie musiałem zabiegać o nie u przygodnych kobiet.

- Otóż to - odrzekła nie spuszczać wzroku. - Każde z nas coś z tego miało, Jack.

Poczuł wstyd i złość, jak zawsze przy tego rodzaju wymianie ciosów. Dlaczego musiał ją tak ranić? Czy zawsze rani się tych, którzy są nam najbliżsi?

Ale przecież już jej nie kochał. I to od dawna.

- Kochałaś go? - To pytanie zawisło między nimi. Natychmiast pożałował, że je zadał. Przez moment miał wrażenie, że Belle mu nie odpowie.

- Naturalnie, że tak - odparła. - I to bardzo. Dokładnie to samo powiedział wczoraj o swych uczuciach do Juliany.

- Nie wiedziałem, że chciałaś wyjść za mąż - oświadczył. - Nie przypuszczałem, iż byłabyś skłonna związać się tylko z jednym mężczyzną.

- Przecież to i tak nie miało dla ciebie znaczenia odrzekła. - Nie ożeniłbyś się z utrzymanką, Jack. A ja nie byłam dla ciebie nikim więcej. Te słowa niemal go poraziły.

- Wyszłabyś za mnie? - zapytał. - Gdybym ci to zaproponował?

- To retoryczne pytanie, nieprawdaż? - zauważyła. - Ale nie. Odpowiedź brzmi „nie”. Chyba miałaś rację, kiedy mówiłaś, że byłeś dla mnie jedynie źródłem utrzymania. Inaczej nie mogłabym znosić tego wszystkiego aż cały rok. Pogardzałaś mną, moimi aspiracjami i marzeniami.

Zawsze uważał, że była lepsza od niego w tej grze. Może dlatego, że jego łatwiej było zranić niż ją. Nawet teraz. Poczul się, jakby dostał policzek. To nieprawda. Kochał ją. Była całym jego życiem. I wcale by za niego nie wyszła - nawet gdyby jej to zaproponował. Ale też nigdy podobna myśl nie zaświtała mu w głowie.

- Tak - rzekła. - Kochałam Maurice'a. Dla niego byłam osobą godną szacunku i podziwu. Po tym, co przeżyłam z tobą, była to niezwykła odmiana.

Stawała się coraz lepsza w tej grze. To był dlań drugi policzek. Rok po rozstaniu z Belle, po dwóch latach czy sześciu - nadal tak samo cierpiał. Próbował uleczyć się z tego, szukał pocieszenia w ramionach niezliczonych kurtyzan i kobiet lekkich obyczajów. Teraz jednak znajdzie ukojenie w niewinności - pomyślał przypomniawszy sobie Julianę. Jak mógł o niej zapomnieć? Tak, jest przecież Juliana.

- Takim właśnie uczuciem darzę Julianę - rzekł. - Jest dla mnie godna najwyższego szacunku i podziwu.

Oczy Belle - piękne zielone oczy, które widywał jaśniejące miłością i czułością - nagle stały się puste. Z satysfakcją stwierdził, że zrozumiała ukrytą obelgę. Miał nadzieję, że zabolalo ją to - choć trochę.

- I z pewnością godna, byś poświęcił jej trochę swojego czasu? - zauważyła. - Chyba powinienes jej poszukać. Specjalnie tu zostałam. Pracuję, Jack, choć może ty tego nie rozumiesz. Muszę przemyśleć role i poszczególne sceny, które zagram w tej sali. Chcę sprawdzić jej akustykę i wczuć się w atmosferę. Wolałabym zostać sama - jakkolwiek

niegrzecznie brzmi taka uwaga wobec ciebie w domu twoich dziadków.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł nie spojrzawszy już za siebie.

Isabella nie chciała brać udziału w rodzinnej wyprawie po gałęzie i choinę do przyozdobienia domu. Została wprawdzie uprzejmie zaproszona do Portland House i traktowano ją raczej jak honorowego gościa niż osobę wynajętą do pracy, ale czuła się dość dziwnie w tej sytuacji. To taka duża, zżyta rodzina. Ona była kimś obcym - bez względu na to, jak serdecznie ją przyjmowano. Starła się więc nikomu nie narzucać i trzymała się na uboczu, gdy tylko było to możliwe.

Bardziej, niż mogła się spodziewać, odczuwała niestosowność faktu, że ona, dawna kochanka Jacka, znalazła się w domu jego dziadków. Ale dziewięć lat wydawało jej się wystarczająco długą przerwą - dopóki go znowu nie zobaczyła. Teraz wydało jej się, że tamte wydarzenia miały miejsce wczoraj. Rany się otworzyły.

Kiedy jednak po drugim śniadaniu poszła do dziecinnego pokoju, by zaproponować Marcelowi i Jacqueline ponowny spacer do mostka albo nawet dalej, do wioski, dzieci spojrzały na nią nie rozumiejąc. Marcel się nachmurzył.

- Mieliliśmy iść po choinę, maman - powiedział. - Chciałem pójść z moim przyjacielem Davym. Przecież ci o tym mówiłem.

Dzieci oczywiście nie rozumiały, że rodzina może chce być sama i że nie zawsze jest się wśród niej mile widzianym. Ale one były mile widziane - wszak zostały tu zaproszone. Poza tym nie mogła zapominać, że Marcel jest hrabią de Vacheron. Nagle Isabella zdała sobie sprawę, że spotkanie z Jackiem, rozmowy z nim mają na nią fatalny wpływ. Odżyło poczucie niższości, jakie niegdyś jej zaszczerpił.

Uśmiechnęła się do synka i spojrzała na córkę.

- A ty, Jacqueline? - zapytała. - Ty też chcesz zbierać gałęzie?

- Tak, mamo, bardzo bym chciała.

Annę, która była w pokoju dziecinnym, usłyszała fragment tej rozmowy.

- Och, Isabello - rzekła - nikt ci nie powiedział, że dzieci również mają zbierać choinę? Nawet te najmłodsze? Marcel i Jacqueline też koniecznie muszą iść. To raczej wycieczka niż ciężka praca. Furgony zabiorą do domu wszystko, co zbierzemy, i przywiozą coś ciepłego do picia. Chyba nawet ma być ognisko.

- Tak, tak! - Marcel klasnął w rączki i podskoczył w miejscu, tak że Annę aż się zaśmiała.

- Freddie pojechał na plebanię po Bertranda i Rosę - dodała. - Kochany Freddie. Tak lubi krewniaków Ruby, że nie chce, aby ich ominęła jakakolwiek zabawa.

Isabella poczuła się pewniej, kiedy usłyszała, że w wyprawie wezmą udział osoby spoza rodziny. A jeśli dzieci chcą tam iść, to sprawa jest przesądzona. Nie wypada bowiem obarczać innych opieką nad nimi tylko dlatego, że sama chce zostać w domu czy oddać się ciekawszym zajęciom.

Tak więc ponad pół godziny później przyłączyła się do towarzystwa i już odczuła zarówno przyjemności, jak i przykrości uczestniczenia w tej rodzinnej imprezie. Przyjemności - gdyż widziała wokół siebie radosne ożywienie i nie czuła się obco. Po obu jej stronach bowiem szli Stanley i Celia, a niebawem zjawił się Peregrine, którego żona, będąc w ciąży, została w domu ze starszymi członkami rodu. Przykrości - ponieważ nigdy nie należała do takiego grona. Jej rodzice mieszkali zawsze z dala od swych krewnych, a rodzina Maurice'a unikała go po tym, jak ożenił się z aktorką.

Czasami myślała, że dałaby wiele, aby gdzieś przynależeć. Gotowa była podporządkować się grupie tylko za cenę poczucia bezpieczeństwa. Ale wiedziała, że tak nigdy nie będzie. Jej przeznaczeniem jest być inną niż wszyscy, realizować swe marzenia nawet kosztem osobistego szczęścia.

Poczuła bolesne ukłucie w sercu na myśl o wczorajszym wieczorze i o tym, jak zastała Jacqueline ze skrzypcami w rękach. Miała nadzieję, że dziewczynka zapomni o ukochanym instrumencie, kiedy zostawi go we Francji i zacznie brać lekcje gry na fortepianie. Ale oczywiście tak się nie stało. Znowu więc Isabelli przypomniał się dawny koszmar. Czyżby Jacqueline miała być artystką? Tak jak matka? Dlaczego nie jest podobna do ojca, który nie przejawiał jakichś szczególnych ambicji?

Instynktownie rozejrzała się za córką. Niedawno szła z małą Catherine obok Alexa i Annę. Teraz jednak nie zauważyła jej przy nich. Szła - ach, szła obok Jacka, który trzymał pod rękę Julianę, patrząc pobłaźliwie na Jacqueline.

Widząc to Isabella poczuła, że ze złości i strachu żołądek podchodzi jej do gardła. Jack zapraszającym gestem podał dłoń małej Jacqueline, a dziewczynka popatrzyła na niego z powagą.

Nie! Isabella miała nadzieję, że córka usłyszy to jej nieme wołanie. Odejdź od niego! Podejdź do innych dzieci. Albo chodź do mnie. Nie, Jacqueline! Tylko nie to!

Dziewczynka jednak podała mu rączkę. Jack uśmiechnął się i coś powiedział.

- Znosi się, że zacznie padać śnieg - rzekła Celia spoglądając na ciemne, nisko wiszące chmury. - I jest spory mróz.

- Byłoby wspaniale, gdybyśmy mieli śnieg na Boże Narodzenie - zauważył Peregrine.

- Nie ma to jak zabawy na śniegu. Lepienie bałwana, bitwa na śnieżki, ślizgawka, kulig.

Zgodzi się pani ze mną, hrabino?

Isabella starała się nie patrzeć na Jacqueline i Jacka, trzymających się za ręce i idących na przedzie. Uśmiechnęła się więc pogodnie i rzekła:

- Jak najbardziej. I chciałabym, aby wszyscy zwracali się do mnie „Isabello”.

- A więc, Isabello... - Peregrine zatrzymał się i złożył przed nią głęboki ukłon.

Szli w kierunku jeziora. Nie tego zarośniętego, ale prawdziwego jeziora, po którym latem pływali łódką i w którym się kąpali. A nad brzegiem urządzali pikniki. Księżna zapowiedziała, że mniej więcej za godzinę przyśle furgon, który przywiezie dzbanki z gorącą czekoladą i zabierze gałęzie.

Jeśli dopisze mi szczęście - pomyślał Jack - zabiorę Julianę nad jezioro i skryjemy się między drzewami. Chciał być z nią sam na sam. Żeby móc swobodnie rozmawiać. A może i pocałować ją. O tak, pocałować. Powinien intensywniej się do niej zalecać. Zaczął się zastanawiać, czy tak chętnie przystałby na pomysł babki, gdyby nie zjawiała się tu Belle jako jeden z gości. Ale to właściwie nie ma znaczenia. Najwyższy czas, by już się ożenił, a z pewnością nie znalazłby ładniejszej, bardziej czarującej i uległej dziewczyny.

Dziewczyna! To słowo przyszło mu do głowy, zanim zdążył wymyślić inne. To było jedyne zastrzeżenie, jakie miał wobec Juliany, i każdy, komu by się z tego zwierzył, byłby tym bardzo zdziwiony. Im młodsza żona, tym lepiej. Łatwiej będzie mu ją sobie wychować. Dłużej zachowa urodę. Ma przed sobą więcej czasu, by rodzić dzieci, zwłaszcza jeśli na nieszczęście najpierw przyjdą na świat córki, a nie syn.

Kiedy tylko wyszli z domu, Jack od razu wziął Julianę pod rękę. Wyglądała bardzo pięknie w zielonej, obramowanej futrem pelisie z kapturem. Zabawiał ją mocno ubarwioną opowieścią o tym, jak przed południem wszyscy zgromadzeni w sali balowej zmieszali się i spieszyli obecnością wielkiej gwiazdy. Nie oszczędził także siebie, opisując, jak stał oparty o ścianę i pragnął znaleźć się po drugiej jej stronie, podczas gdy reszta odważyła się podejść bliżej. Oczywiście nie zdradził prawdziwego powodu swego zachowania.

- Myślę, że nie masz powodu, by czuć się niepewnie - rzekła Juliana. - Jej wysokość powiedziała mi, że jesteś jednym z najlepszych aktorów w rodzinie.

Tak, babka na pewno nie omieszkała powiedzieć tego Julianie, wspominając jednocześnie, jaki jest przystojny w kostiumie scenicznym i jak panie na widowni mdleją, gdy on wchodzi na deski. Babcia nie zasypia gruszek w popiele i nie spocznie, dopóki nie zobaczy wnuka przed ołtarzem.

Dziewczyna! Dałby wiele, by się dowiedzieć, ile Juliana ma lat, ale nie śmiał jej zapytać.

Kilkoro dzieci śmignęło obok, tak że omal ich nie stratowało. Jedno przystanęło i uśmiechnęło się wesoło do Juliany.

- Ty jesteś panna Beckford - powiedział malec. - Pamiętam. Ale nie znam tego pana. Jestem Marcel Gellee, sir.

Synek Belle. Jasnowłosa i dość krępy, w przyszłości pewnie wyrośnie na przystojnego chłopca. Podobny do ojca, jak powiedziała Belle.

- Jack Frazer, do usług, panie Gellee - odpowiedział Jack, a Juliana uśmiechnęła się i przywitała z dzieckiem.

Chwilę potem Marcel biegł już za Rupertem, Rachel oraz Kitty, córeczką Stanleya.

Tymczasem Jack nagle zorientował się, że ktoś idzie obok niego. Spojrzał w dół.

Spoglądały ku niemu ciemne oczy osadzone w pociągłej twarzyczce.

- Jacqueline! - powiedział.

Widząc ją poczuł bolesne ukłucie w piersi, gdyż przypomniał sobie, z jakim uczuciem grała poprzedniego wieczora i jak Belle się na nią zdenerwowała.

- Mama powiedziała, że się zastanowi - rzekła.

- Naprawdę? - Uśmiechnął się do niej. - Juliano, znasz Jacqueline, córeczkę hrabiny de Vacheron?

- Jakie urocze francuskie imię - zauważyła Juliana. - Tak, widziałyśmy się w pokoju dziecięcym.

- Nad czym mama się zastanowi? - zapytał.

- Nad lekcjami gry na skrzypcach - odparła dziewczynka.

- Ach, tak - rzekł. - Jeśli rodzice mówią, że się nad czymś zastanowią, to prawie zawsze znaczy, że się zgodzą, prawda?

Spojrzała mu prosto w oczy w podobny sposób, jak robiła to Belle. W jej spojrzeniu wyczytał nadzieję.

- Tak? - zapytała. - Naprawdę?

O Boże, nie powinien być tego mówić.

- Wstawi się pan za mną u mamy? - poprosiła Jacqueline.

Już to zrobił. I Belle źle przyjęła jego uwagi, do czego zresztą miała święte prawo. Lecz teraz jej córeczka patrzyła mu w oczy z ufnością dziecka, które wierzy, że dorośli potrafią czynić cuda jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

- Tak bardzo ci na tym zależy? - zapytał. Ale sam sobie odpowiedział na to pytanie. Jest córką Belle. Oczywiście, że jej zależy. A ponieważ dla niego muzyka też była ważna, potrafił to zrozumieć. - Tak, naturalnie. I masz rację. Porozmawiam z twoją mamą.

Nie uśmiechnęła się, nie wyglądała na podnieconą ani nie podziękowała mu, jak mógłby się spodziewać. Ale już poprzedniego wieczora zauważył, jaka z niej poważna dziewczynka. Wolał chyba rozbrykane, swawolne maluchy swej siostry i kuzynów, ale wcześniej nie zetknął się z innymi dziećmi i nie znał ich uroku. A sam nigdy taki nie był w dzieciństwie.

Nie chciał, żeby dziewczynka odeszła. Dziwnie wzruszyła go jej wiara, że będzie potrafił wpłynąć na Belle. Wyciągnął rękę do małej Jacqueline. Nie chciał jej zmuszać, by nudziła się idąc równym krokiem w towarzystwie dorosłych, podczas gdy inne dzieci biegały dając upust swej energii, jeszcze zanim wszyscy dotarli do jeziora i drzew.

Ale dziewczynka podała mu rączkę i Jack ujął ją mocno, czując, jaka jest mała. Córeczka Belle - pomyślał. Sama do niego podeszła i wzięła go za rękę.

- Dwie damy zaszczyliły mnie swym towarzystwem - powiedział. - Chyba przewróci mi się w głowie.

Zwrócił się do Juliany, wyjaśniając, że Jacqueline gra na skrzypcach lepiej, niż kiedykolwiek zdarzyło mu się słyszeć. Co było oczywistą nieprawdą, gdyż bywał na koncertach wielu profesjonalnych muzyków. Ale naprawdę tak myślał, więc wcale nie skłamał. Czuł, że dziewczynka ma wszelkie zadatki na wielką skrzypaczkę.

- Ach - rzekła Juliana - wobec tego musisz wystąpić podczas bożonarodzeniowego koncertu księżnej, Jacqueline.

Gdyby dzieci miały tyle siły, co entuzjazmu - zauważył z przekąsem Stanley, kiedy doszli już do jeziora i rozproszyli się po lesie - stratowałyby i ogołociły całą okolicę jeszcze na długo przed przyjazdem furgonu. Lecz na szczęście ostrokrzew ma kolce, sosnowe gałęzie są zbyt grube, a jemiola rośnie zbyt wysoko, by i tym gatunkom groziło wyginiecie.

Alex i Zeb, Peregrine i Howard Beckford rwali gałązki ostrokrzewu i podawali je podnieconym dzieciakom z wyraźnym ostrzeżeniem, by uważały na kolce. Mimo to gdy tylko Kenneth dotknął paluszką ostrego końca, zaczął płakać na całe gardło i rzucił się w ramiona mamy, by po chwili znowu się wyrwać do zabawy. Z kolei Meg, najstarsza córka Stanleya, złała Davy'ego za to, że ładuje zbyt dużo gałęzi na ręce Kitty. Marcel dzielnie dotrzymywał kroku starszemu koledze, składając całe naręczka choiny na stos, który potem miał zabrać furgon. Bez słowa skargi ssał też skaleczony palec.

Sam, Freddie, Anthony i Bertrand ścinali gałęzie sosny, a panie i reszta dzieci ciągnęły je razem na miejsce obok rosnącej sterty ostrokrzewu. Robert, Alice i bliźnięta, trzymając się za ręce, tańczyli wokół sosny i śpiewali własną wersję piosenki „Koło graniaste”, którą zwykle przedpołudniami zabawiały ich niańki.

Jack ruszył na poszukiwanie jemioli, zabierając ze sobą Julianę. Ale dziewczyna zdecydowanie nie znała reguł zalotów czy nawet flirtu - pomyślał, kiedy wskazała ogromną kępę rosnącą na dębie, wcale nie będącym poza zasięgiem wzroku innych. Ale pod jemiolą nie trzeba się kryć - stwierdził.

- Dobrze - powiedział spojrzawszy najpierw w górę, a następnie na swe błyszczące buty. - Jak myślisz, czy uda mi się tam wspiąć, a potem zejść nie rozbijając sobie głowy?

Uśmiechnął się do niej. Wiedział, jak budzić w kobietach instynkty opiekuńcze.

Nie zawiódł się. W jej oczach od razu zobaczył niepokój.

- Ojej, uważaj na siebie - rzekła.

- Obiecuję - powiedział - że nie będziesz musiała mnie łapać.

Mógł wejść na drzewo i zejść w jednej chwili. Ale czemu nie wykorzystać sytuacji i nie przykuć jej uwagi czymś spektakularnym? Wspinał się powoli, pozwalając w pewnej chwili, by but obsunął mu się z pnia. Dziękował przy tym niebiosom, że jego kuzyni są w oddali tak pochłonięci swymi zajęciami, że nie widzą tego przedstawienia, boby umarli ze śmiechu.

- Nie ma się czego bać - rzekł, kiedy już wspiął się na gałąź, na której mógł jako tako usiąść. Spojrzał na wzniesioną ku niemu twarzyczkę o rozszerzonych lekkiem oczach. - Naprawdę nic mi już nie grozi.

- Bądź ostrożny - powtórzyła.

Może uda się odejść trochę między drzewa, kiedy już zejść na ziemię - pomyślał zbierając jemiolę i rzucając ją na dół pod jej stopy. Czuł, że powinien posunąć się dalej w swych zalotach, a czyż w ciągu tygodnia trafi się lepsza ku temu sposobność? A jeśli pocałuje ją namiętnie, to może jego myśli skoncentrują się na niej, zamiast błądzić w niepożądanym kierunku.

Przeklęta Belle, że też musiała przyjechać do Portland House! - pomyślał. Do diabła! Ani przez chwilę nie wierzył, że nie wiedziała albo nie dbała o to, czy on zjawi się tu na święta. Skwapliwie skorzystała z zaproszenia. Chciała przez tydzień być blisko niego. Pozadzierać nosa i pokazać mu, jaką osiągnęła pozycję, i to bez jego pomocy. Wykorzystała go, by wspiąć się na pierwszy szczebel kariery, a potem sama już łatwo dostała się na szczyt.

Przeklęta Belle!

Pośliznął się w czasie schodzenia i wylądował na ziemi szybciej i z większym impetem, niż zamierzał. Ale efekt był tego wart. Juliana zakryła dłońmi usta, robiąc krok w jego stronę.

- Nic ci się nie stało?! - zapytała.

Uśmiechnął się niewyraźnie.

- Ależ skąd - skłamał krzywiąc się, gdyż bolało go kolano i otarł sobie rękę. - Zobaczmy, czy jemioła warta była zachodu. - Schylił się i podniósł jedną gałązkę. - Jak sądzisz?

Podeszła jeszcze o krok, niczego się nie domyślając. Ta dziewczyna jest rzeczywiście całkiem niewinna. Albo wychodzi naprzeciw temu, co nieuniknione.

- Myślę, że można to sprawdzić tylko w jeden sposób - rzekł patrząc jej w oczy i powoli unosząc jemiołę nad jej głowę.

Usta dziewczyny, które znalazły się pod jego ustami, były chłodne - podobnie jak jej policzki. Drugą ręką objął ją w pól i przyciągnął do siebie. Była drobna, ciepła i taka przyjemnie kobieca. Może nie będzie trzeba kryć się za drzewami. Przecież w końcu trzyma jej nad głową jemiołę, do świąt pozostał niespełna tydzień i wszyscy wiedzą, że stara się o jej rękę i że ich zaręczyny zostaną ogłoszone w Boże Narodzenie. Brat dziewczyny, nawet jeśli ich zobaczy, na pewno nie uderzy go w twarz rękawicą.

Jack uchylił usta, by ogrzać jej wargi, i musnął je językiem.

Juliana odepchnęła się rękami od jego piersi i zrobiła krok w tył. Przez chwilę, zanim zdążyła się opanować, zobaczył w jej oczach panikę.

Obiecałem sobie, że będę cierpliwy i delikatny - pomyślał opuszczając ramię. Ale jak cierpliwy i delikatny? Miał przeczucie, że przeraziłaby się bardzo i całkiem by zeszywniała, gdyby chciał się z nią kochać w noc poślubną. Chyba że potraktowałaby to jako swój obowiązek. Z pewnością by mu się oddała. Ale musi być cierpliwy. I delikatny.

- Przepraszam cię, Juliano - rzekł. - Nie wiedziałaś, że można się tak całować?

- Ja... eee... chyba coś o tym słyszałam - odparła odwracając głowę. - Nie chciałam... och, przykro mi...

Ale już zbliżał się ktoś, kto ich wybawił z niezręcznej sytuacji. Znow ta poważna córeczka Belle.

- Ach, Jacqueline - powiedział Jack. - Chcesz nam pomóc nieść jemiołę? Właśnie sprawdzaliśmy z panną Beckford, czy się nada. Wiesz, co się robi pod jemiołą?

- Wiem - odrzekła. - W domu zawsze się pod nią całujemy.

- Naprawdę? - Wykrzywił usta w uśmiechu, ciesząc się, że dziewczynka przerwała tę romantyczną scenę, która nie wypadła tak, jak zamierzał. - Wypróbowałem ją na pannie Beckford. Czy mogę ją wypróbować również na tobie?

- Tak - rzekła jak najpoważniej i nadstawiła buzię, podczas gdy on uniósł nad jej głowę gałązkę jemioły.

Chciał cmoknąć ją w policzek, ale Jacqueline nadstawiła usteczka. Ucałował je więc lekko, po czym uśmiechnął się.

- I co? Działa?

- Tak - odrzekła i schyliła się, by wziąć w ręce pęk jemioli. - Ciocia Annę mówi, że niebawem przyjedzie furgon. Ten pan - jej mąż - rozpala ognisko.

Jack podał ramię Julianie.

- Ognisko i gorące napoje - to brzmi niezwykle kusząco, nieprawdaż? - zagadnął.

Zanim jednak wziął Julianę pod rękę i zanim Jacqueline zdążyła się wyprostować, spojrzał w kierunku ogniska i zobaczył Belle stojącą cicho między drzewami i patrzącą na niego, z dłonią przyciśniętą do ust. Natychmiast się odwróciła i pospiesznie podeszła do ogniska. Jack wraz z Julianą i Jacqueline nieco wolniej udał się za nią.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Wokół ogniska panowały gwar i wesołość. Załadowano choinę na furgon i wszyscy stali teraz dokoła strzelających w górę płomieni, pijąc wciąż gorącą czekoladę i ogrzewając dłonie od kubków albo wyciągając je w stronę ogniska. Potem śpiewali kolędy, a służba pakowała puste naczynia do pudeł, ładowała je na tył furgonu, a następnie odjechała do domu. Nagle wszyscy poczuli, że Boże Narodzenie już blisko.

- Jeszcze tylko kilka dni - rzekła tęsknie Kitty.

- Ile to nocy? - dopytywał się Marcel.

Dzieci nie wytrzymały długo w bezruchu. Większość udała się nad jezioro za Davym, najstarszym z nich, by rzucać kamienie w zamarzającą przy brzegu wodę. Stanley, Celia i Freddie poszli za nimi, chcąc się upewnić, że żadne z dzieci nie próbuje stanąć na cienkim lodzie.

Constance i Prudence w towarzystwie mężów ruszyły z powrotem do domu, a Bertrand i Howard poszli zajrzeć do domku na przystani, zabierając ze sobą Rosę i Julianę.

Jack podszedł do Isabelli.

- Chodźmy - rzekł krótko. A potem, na wypadek gdyby ktoś ich słyszał, dodał: - Nie miałabyś ochoty na spacer brzegiem jeziora, zanim trzeba będzie wracać? Jest tam bardzo malowniczo.

Od półgodziny stali po dwóch stronach ogniska, rozmawiając z tymi, którzy byli najbliżej. Starali się nie patrzeć na siebie. Ale między nimi wytworzyło się napięcie. Załatwmy to przed powrotem do domu - pomyślał Jack. Isabella była najwyraźniej tego samego zdania.

- Dziękuję. - Przyjęła podane jej ramię. - To bardzo miło z twojej strony.

Ruszyli w milczeniu ścieżką wzdłuż jeziora. Nie opodał były drzewa, które choć pozbawione liści, mogły ich zasłonić przed wzrokiem zgromadzonych przy ognisku.

- Widziałem wyraz twojej twarzy - odezwał się wreszcie, zaskoczony nutą tłumionej wściekłości w swym głosie - mimo że stałaś w oddali. Zbliża się Boże Narodzenie, Belle, a ja trzymałem jemiolę. Na miłość boską, mężczyźni pod jemiolą całują nawet swoje babki. I nie-mowlęta.

Jeszcze bardziej się zezłościł, kiedy nic nie odpowiedziała.

- Pocałowałem siedmioletnie dziecko pod jemiolą - rzekł - a twój wzrok i milczenie sprawiają, że czuję się, jakbym popełnił jakieś przestępstwo. Nie podoba mi się to. Dobry

Boże, mam tego dość. Juliana też tam była. Ją pocałowałem dużo śmieiej.

- Nie wątpię - odrzekła sztywno.

- I nie podoba mi się, że muszę tłumaczyć się z tego, co robię z kobietą, która za tydzień będzie oficjalnie moją narzeczoną.

Odwróciła się do niego.

- Nie chciałam tego - odparła. - Przyjechałam tu z dziećmi na uprzejme zaproszenie księżnej, by spędzić Boże Narodzenie z jej rodziną. Zamierzałam odpocząć. Przykro mi, że to wszystko psujesz.

- Nieprawda! - Chwycił Isabellę za rękę i pociągnął ją za drzewo. Stał bardzo blisko niej, opierając się dłonią o pień. - Przyjechałaś z mojego powodu. Przyjechałaś, ponieważ wiedziałaś, że tu będę. Przyjechałaś, by mi pokazać, do czego doszłaś bez mojej pomocy. Pochwalić się swą pozycją towarzyską, sławą, dziećmi ze świetnego i prawowitego małżeństwa. Chciałaś mi udowodnić to, co dawałaś mi do zrozumienia każdego dnia dziesięć lat temu: że potrzebne ci były tylko moje pieniądze.

Stała z głową przyciśniętą do drzewa.

- W zamian dużo ci dałam - odparła.

- O tak! - Oparł się drugą ręką o pień, tuż obok jej głowy. - Oddawałaś mi się, Belle, kiedy tylko miałem na to ochotę. Zresztą byłaś w tym najlepsza, jeśli chcesz wiedzieć.

- Dałam ci coś więcej - rzekła. - Albo raczej ty sobie to wzięłaś. Odebrałaś mi poczucie godności i całą pewność siebie, Jack. Sprawiliś, że czułam się nikim. Ale pozwalałam ci na to. Zapracowałam więc na każdego pensa, jakiego mi dałaś.

Poczuł się straszliwie zraniony. I wściekły. Przecież ją kochał. A ona go zdradziła.

- Więc przyjechałaś, by mi pokazać, że myliłem się co do ciebie - powiedział. - Dlatego tu jesteś. Przyznaj się, Belle.

Popatrzyła na niego badawczo.

- Skoro tak uważasz - rzekła wreszcie. - Tak, pewnie masz rację.

- Cóż, więc udało ci się - odparł. - Jesteś zadowolona?

- To było tak dawno temu - powiedziała. - Dziewięć lat. Chyba przywiodła mnie tu ciekawość. Poświęciłam ci cały rok życia. Mam z tego czasu parę miłych wspomnień. Może nawet więcej tych dobrych niż złych. Czasami nie mogłam sobie przypomnieć, jak wyglądasz. Chciałam cię znowu zobaczyć. Chciałam... może chciałam ci wybaczyć.

Myślę, że tak naprawdę nie chciałaś mnie skrzywdzić. A jeśli robiłaś to świadomie, nie udało ci się. Patrzył na nią.

- Ty chciałaś mi wybaczyć? - zapytał. - Po tym, co mi zrobiłaś, Belle? Po tych

wszystkich przygodach z mężczyznami, którzy przychodzili do ciebie za kulisy, gdy już byłaś moją ko... moją kobietą? I ty chcesz mi coś wybaczać?

Zamknęła oczy.

- Nie mówmy już o tym - odparła. - To głupie z mojej strony, że tu przyjechałam. Głupsze, niż myślałam wtedy, kiedy zdecydowałam się przyjąć zaproszenie księżnej. Minęło już tyle lat, Jack, a i wtedy nie łączyło nas nic poważnego. To był układ. Właściwie nie wiem, dlaczego wszystko się tak dziwnie ułożyło w ostatnich dniach. To nie ma sensu.

- Być może - odrzekł chrapliwym głosem. - Jest tylko jeden sposób, by naprawić to, co się stało, Belle.

Uniosła powieki, by spojrzeć mu w oczy, i gdy dostrzegła, co w nich jest, wolno potrząsnęła głową.

- Nie - powiedziała. - Nie, Jack. Mam teraz dzieci, za które jestem odpowiedzialna, a ty powinienes się starać o rękę Juliany.

- To nie ma nic wspólnego z dziećmi czy Julianą! - wykrzyknął. - Chodzi o wspomnienia i nasze dawne uczucia. - Był już tak blisko, że prawie jej dotykał. Zamknął oczy. - Chodzi o mnie i o ciebie, Belle... Może to ciekawość...? Jaka jesteś teraz? Jaki ja jestem? Masz rację. To były dobre czasy. Nadal moglibyśmy być razem. Może udałoby się nam zapomnieć tamto gorzkie rozstanie, jeżeli...

Belle uniosła ku niemu usta i nie pozwoliła mu dokończyć. Przywarł do niej całym ciałem, tak że musiała o - przec się o pień drzewa. Poczuela jego udo napierające na jej kolana. Na nowo niecierpliwie poznawali dłońmi swe ciała, a ich gwałtowne usta złączyły się w chciwym, namiętym pocałunku. Poczuel, że ogarnął ją podobny ogień, jaki trawił jego. Trwało to minutę, może dwie.

A potem zastygli bez ruchu i stali przytuleni do siebie, z ustami na ustach, z zamkniętymi oczami, upajając się chwilą, która jeszcze trwała. Jack z wolna odchylił głowę i spojrzał jej w oczy. Były martwe.

- Wybacz mi - rzekł miękko.

- Dobre stare czasy nie wrócą, Jack - powiedziała. - Było w nich za dużo bólu. I tyle lat już minęło. To ja cię przepraszam. Przepraszam, że tu przyjechałam. Nie przypuszczałam, iż coś takiego może się znowu zdarzyć.

Ale zdarzyło się. Wciąż rozpaczliwie ją kochał i pragnął jej. I ciągle miał to dziwne uczucie, że jest nieosiągalna. Żył z nią przez rok, miał ją tyle razy. Opiekował się nią, szalał z zazdrości i wściekłości. Obrażał ją, chcąc zadać jej ból, poniżyć, by potem wynieść na nieznane wyżyny. Jego kochanka - a jednak tak samo niedostępna jak słońce i gwiazdy.

- Przepraszam - powtórzył. - Przepraszam za tę zuchwałość. Wybacz mi, Belle. - Odsunął się od niej i odwrócił. - Ale nie musisz się bać o Jacqueline. Traktuję ją jak siostrzenicę albo... córkę. Jeśli mi kiedykolwiek wierzyłaś, uwierz mi i teraz.

- Wierzę ci - powiedziała bezbarwnym głosem. - Naprawdę, Jack. Czy chcesz, bym wróciła do Londynu? Wymyślę jakiś pretekst i jutro wyjadę, jeśli sobie tego życzysz. Nie powinnam była tu przyjeżdżać. To wszystko moja wina.

- Belle - rzekł - jesteśmy dorosłymi ludźmi i powinniśmy zachowywać się w racjonalny, cywilizowany sposób. Zostań. Moi dziadkowie bardzo się cieszą, że tu jesteś. Podobnie zresztą jak wszyscy pozostali. A twoje dzieci powinny spędzić święta w odpowiednim gronie. - Znowu odwrócił się do niej. Ciągle stała oparta o drzewo. W jej oczach zobaczył udrękę. - Lepiej wróćmy do innych. Nie przyjęła ramienia, które jej podał, i szła obok niego.

- Ach, miałem z tobą jeszcze o czymś porozmawiać - rzekł. - Chodzi o naukę gry na skrzypcach. Podobno powiedziałaś, że się nad tym zastanowisz, ale Jacqueline nie wie, czy to znaczy „tak”, „nie” czy „może”.

- Myślę, że to znaczy „tak” - odparła ze znużeniem. - Chciałam uchronić ją przed takim życiem, jakie ja wiodłam, Jack. Chciałam, by była normalną dziewczyną: w odpowiednim czasie wyszła za męża i zamieszkała z mężem i dziećmi w jakimś przytulnym domu.

- Może tak będzie - odrzekł. - Na razie to jeszcze dziecko, które lubi grać na skrzypcach.

- Słyszałaś, jak gra. Zeszłego wieczora wyczułam w twoim głosie, że wiesz, o co chodzi. Ona pójdzie w moje ślady. Jej talent zaprowadzi ją tam, gdzie ja zaszłam.

- Było aż tak źle? - zapytał. - Nie musiałaś tego robić, Belle. Mogłaś zostać ze mną. Albo uwić sobie przytulne gniazdko z Vacheronem. Ale ty chciałaś czegoś więcej. Ona także dokona wyboru.

- Nie rozumiesz tego, prawda? - zauważyła. - Nigdy nie rozumiałaś. Ja nie miałam wcale wyboru. Coś zmuszało mnie, bym podążała za swymi marzeniami, coś pchało mnie naprzód. Zawsze chciałam grać, zawsze chciałam to robić jak najlepiej. Ale też pragnęłam innych rzeczy. Miłości, namiętności i... Och, jakie to ma znaczenie? Ale nie mogłam mieć wszystkiego. Jestem kobietą, a jeśli kobieta nie poświęci się wyłącznie małżeństwu i macierzyństwu, uważa się ją za dziwaczkę albo... kurtyzanę.

Dlaczego dziesięć lat temu tak z nim nie rozmawiała? Dlaczego nagle miał wrażenie, że jej w ogóle nie znał?

- Jack - powiedziała - chciałam, aby Jacqueline była inna. Próbowałam ją ochronić. Och, czemu nie można ukształtować swych dzieci tak, jak by się chciało? Kocham Jacqueline. Nie masz pojęcia, jak bardzo.

Mimo jej wcześniejszego sprzeciwu ujął ją pod rękę. Nakrył jej dłoń swoją dłonią.

- I kochaj ją, Belle - powiedział impulsywnie. Był jakoś dziwnie poruszony. - Tylko tyle możesz zrobić, moja droga. Zawsze ją kochaj. Bez względu na wszystko.

Tak właśnie powinien był kochać Belle.

Kiedy na nią spojrział, zobaczył, że w jej oczach lśnią łzy.

Dzieci wciąż bawiły się nad jeziorem. Niektórzy z dorosłych jeszcze grzali się przy dogasającym ognisku. Jack pochwycił spojrzenie Alexa, które ze zdziwieniem uniósł brwi.

Tego popołudnia Juliana podjęła postanowienie - zamierzała sama pokierować swoim życiem. Miała dziewiętnaście lat, więc był na to najwyższy czas. Do tej pory lękała się życia i ludzi i dlatego biernie pozwalała, by rodzice i babcia podejmowali za nią decyzje i planowali jej życie.

To nie był wcale bunt. Gdyby się zbuntowała, co by potem zrobiła? Nic nie wiedziała o życiu i trudnych wyborach, jakie ze sobą niesie. Bardzo podziwiała Rosę Fitzgerald za to, że miała odwagę odrzucić dwie propozycje małżeństwa i zostać guwernantką. Nie mogła sobie wyobrazić siebie w podobnej sytuacji. Zresztą nie chciałaby być guwernantką.

Juliana była bardzo niewinna i nieśmiała i tych cech właśnie u siebie nienawidziła. Było jej wstyd i głupio, że tak zareagowała na pocałunek pana Frazera wtedy pod drzewem... pocałunek Jacka - specjalnie powtórzyła to w myśli. Niebawem mieli się przecież zaręczyć, nie było więc w tym nic niestosownego - niepotrzebna była im nawet jemioła. Nie miała wprawdzie pojęcia, czy wypada, by ją w ten sposób całował, ale pewnie tak... Przecież zrobił to niemal na oczach wszystkich.

Wszystkiemu winien jej brak obycia. Odkoczyła w tył i zrobiła z siebie prowincjuszkę. Wdzięczna była niebiosom za to, że zjawiała się Jacqueline i wybawiła ją z niezręcznej sytuacji.

Potem od razu skorzystała z okazji i umknęła z Howardem, Rosę i panem Fitzgeraldem do domku nad jeziorem. Za nic w świecie nie chciała wracać do domu z panem... z Jackiem. I to też była dziecinada. Podobnie jak podniecenie i radość, które ją ogarnęły w czasie spaceru na przystań i potem w drodze powrotnej.

Wtedy właśnie stwierdziła, że wołałaby, aby to Fitz - prosił, by tak do niego mówiła - został jej narzeczonym. Nie dlatego, że był szczególnie przystojny czy bardzo jej się podobał. Po prostu przy nim czuła się swobodnie, łatwo jej się z nim rozmawiało, śmiała się naturalnie.

Fitz był taki... niegroźny.

To nie on jednak był jej przeznaczony na męża, lecz Jack. Nie miała nic przeciwko niemu, poza tym że zawsze w jego obecności czuła się skrępowana. Był przystojny i oczywiście czarujący, miły i tak dalej... o tak, to niewątpliwie. Miał też piękną posiadłość - był bogaty - i młody... no, w każdym razie jeszcze dość młody. Wprost wymarzony mąż. Kiedy jej powiedziano, że ma go poślubić, była zadowolona, a nawet trochę podekscytowana tym faktem.

Problem jednak polegał na tym, że Juliana często uciekała przed rzeczywistością w marzenia. Woląла marzyć o Jacku niż z nim obcować. Jego pocałunek - tylko pocałunek! - wywołał u niej panikę.

Przyszedł czas, by pokierować swym życiem - stwierdziła, kiedy po powrocie do Portland House znalazła się w pokoju i przebierała się, by pomóc przy dekorowaniu domu. Nie miała ochoty zejść na dół, ale pomyślała, że byłby to z jej strony unik, który i tak niczego by nie zmienił. Jeśli teraz wstydzi się spojrzeć Jackowi w twarz, to wieczorem przy obiedzie będzie jej jeszcze trudniej.

Poślubię Jacka - powiedziała swemu lustrzanemu odbiciu, wygładzając wymaginowane fałdki sukni. Zamierzała go poślubić nie dlatego, że tak życzyli sobie jej ojciec i babcia, ale ponieważ sama tego chciała. Postanowiła, że w najbliższych dniach będzie zachowywać się w jego towarzystwie tak swobodnie, jak w obecności Fitz'a. Postanowiła też, że się w Jacku zakocha. Zawsze marzyła, iż wyjdzie za mąż za kogoś, kogo pokocha. Jutro - i przez resztę życia - będzie go traktowała jak kobieta mężczyznę.

Nie była już dzieckiem. Miała dziewiętnaście lat. Większość kobiet w jej wieku wyszła już za mąż. Od tej chwili nie będzie się zachowywać jak dziecko. Jest przecież kobietą.

Kiedy więc weszła do sali balowej i zastała tam mnóstwo ludzi krzątających się zwawo między stosami choiny i pudłami ze wstążkami, bombkami i dzwoneczkami, stłumiła w sobie chęć, by przyłączyć się do grupy, gdzie stali jej ojciec, Howard, Fitz i Rosę. Zamiast tego poszukała wzrokiem Jacka, który razem z wicehrabią Merrick i panem Lynwoodem patrzył w sufit.

Potem zebrała się na odwagę i zrobiła jak dotąd najtrudniejszą rzecz w życiu. Przeszła przez salę, dotknęła ramienia Jacka i uśmiechnęła się.

- Jak mogłabym pomóc, Jack? - zapytała.

Wyglądał na zdziwionego, ale odpowiedział uśmiechem, ujął jej dłoń i zatrzymał w swojej ręce. Z trudem powstrzymała się, by nie cofnąć dłoni i nie spuścić wzroku. Zauważyła,

że ma piękne ciemne oczy. Może był w nich cynizm, ale wyraźnie dostrzegła też życzliwość i ciepło.

- Po prostu przyglądaj się i bądź piękna - odpowiedział. - Ale to, jak przypuszczam, byłoby dla ciebie dość nudne, nieprawdaż?

Niewiarygodne, ale od razu przyszła jej do głowy właściwa odpowiedź.

- To zależy, czemu miałabym się przyglądać. Dopiero teraz zauważyła, że był w samej koszuli. Oczy Jacka błysnęły zainteresowaniem.

- Właśnie miałem wejść na górę. Zdecydowano, że na żyrandolach nie może zabraknąć wstążek i dzwonek, i mnie powierzono zadanie umieszczenia ich tam. Zwykle robi to Freddie, ale tym razem wymówił się wiekiem i tuszą.

- No, niezupełnie, Jack - odezwał się Freddie. - Ruby boi się, że mógłbym spaść, panno Beckford, a nie chcę, by się niepotrzebnie denerwowała.

- Poza tym - dodał Jack - jeśli Freddie zdjąłby surdut, poraziłaby nas jego kamizelka. Moglibyśmy oślepnąć. Jak byś określił jej odcień, Freddie, przyjacielu? Słoneczny czy musztardowy?

- Niech mnie kule biją - rzekł Freddie patrząc na swoją kamizelkę - to bardzo ładny kolor, nieprawdaż? Cieszę się, Jack, że ci się podoba.

Alex zaśmiał się i klepnął go w ramię.

- Gdybyś zaczął nosić kamizelki w bardziej stonowanych kolorach, Freddie - zauważył - wszyscy by pomyśleli, że coś jest z tobą nie tak. To dobrze, że Ruby nie tłumi twojej indywidualności.

Juliana posłała Jackowi uśmiech. Jej dłoń spoczywała nadal w jego dłoni.

- Jeśli będziesz patrzyła, jak wchodzę po drabinie - rzekł - na pewno postaram się, by wyglądało to na trudniejsze i bardziej niebezpieczne, niż jest w rzeczywistości.

- Tak jak wtedy w lesie? - zapytała starając się nie dać po sobie poznać zmieszania, jakie odczuwała na myśl o tamtej upokarzającej scenie.

Spojrzał na nią uważnie. W jego oczach widać było rozbawienie.

- Wiedziałaś od początku? - zapytał. - Przeliczyłem się, dosłownie i w przenośni. Skąd wiedziałaś? Taki ze mnie kiepski aktor?

- Ja i Howard ciągle wspinamy się na drzewa - odparła. - W każdym razie robiliśmy to jeszcze parę lat temu.

- Do diabła! - zawołał. - A więc wyszedłem na kompletnego głupca, czyż nie?

Nawet dobrze się bawiła. To nie było takie trudne, jak jej się wydawało.

- Nie obawiaj się, nikomu o tym nie powiem - obiecała.

- Może wybierzesz największe i najładniejsze ozdoby i przyniesiesz je tu? Alex będzie mi je podawał. Dobrze? Kobiety lepiej znają się na takich rzeczach niż mężczyźni.

Wszyscy byli czymś zajęci - zauważyła Juliana podchodząc do najbliższego pudła z ozdobami. Niektóre sprzęty zostały wyniesione do salonu i jadalni, a w sali wieszano gałązki ostrokrzewu, choinę i bombki. Hrabina, Annę i kilkoro dzieci układały jemiolę w wielki pęk, który miał zawisnąć w salonie, maluchy raczkowały po podłodze piszcząc z radości, a na środku stała księżna, która dyrygowała wszystkim niczym dowódca kompanii.

Juliana wybrała ozdoby i zniosła je tam, gdzie pod największym z trzech kandelabrow ustawiono wysoką drabinę. Trzymali ją Alex i Freddie, a Jack wspinał się po niej dużo pewniej niż kilka godzin wcześniej po drzewie, na które wchodzi się znacznie łatwiej. Dziewczyna uśmiechnęła się na to wspomnienie i na myśl, że przyznała się, iż przejrzała jego podstęp.

Dobrze było przekomarzać się z nim i żartować. Naprawdę jej się to podobało. Może postanowienie nie będzie tak trudne do zrealizowania. Stała teraz i przyglądała się Jackowi. Kiedy nie miał na sobie surduta i kamizelki, widać było, jakie ma szerokie ramiona i wąskie biodra. Cokolwiek robił, by ćwiczyć mięśnie, przynosiło to efekty. Widziała, jak pod cienkimi spodniami napinają mu się mięśnie, gdy wchodził po drabinie. Pamiętała, że poczuła je przez suknię, kiedy przyciągnął ją do siebie i pocałował.

Poczuła się trochę zawstydzona uświadomiwszy sobie, że szczególnie uważnie przygląda się Jackowi, kiedy jest on bez surduta, i że ten widok sprawia jej przyjemność. Potem jednak przesunęła wzrok nieco niżej i umknęła spojrzeniem w bok. Właśnie to, że był taki męski, sprawiało, iż na początku czuła się przy nim przestraszona. Przywołała się jednak do porządku i spojrzała w górę, pozwalając unieść się wyobraźni.

Wydarzenia ostatnich dni nie były snem. Wszystko działo się naprawdę. Jeśli zaręczyny zostaną ogłoszone w czasie świąt, papa będzie chciał, by ślub odbył się niebawem, prawdopodobnie już na wiosnę. Za kilka miesięcy stanie się kobietą. Będzie dzielić z Jackiem łóżko za każdym razem, gdy on tego zechce. Pozna jego ciało i oswoi się z nim.

A było to naprawdę piękne ciało. Kiedy na nie patrzyła, zauważyła, że zaczyna szybciej oddychać i dzieje się z nią coś dziwnego. Poczuła w środku falę gorąca. Tak, to bardzo piękne ciało. Nietrudno będzie się zakochać w tym mężczyźnie. Już częściowo tak się stało.

Kiedy Jack skończył wieszać ozdoby i zszedł z drabiny, sala była już udekorowana - pozostało tylko posprzątać. Uśmiechnął się więc do Juliany i potoczył wzrokiem dokoła.

- Gotowe - rzekł. - Możemy już świętować. Dobrze się spisaliśmy. Zajrzymy do

salonu i jadalni, by sprawdzić, jak wyglądają?

Położył lekko dłoń na jej ramieniu i skierowali się do drzwi. Ich matki, jak zauważyła Juliana, stały obok siebie, uśmiechały się i kiwały głowami z aprobatą.

Cóż, niech myślą, że to one zaaranżowały - pomyślała. W pewnym sensie tak było. Ale teraz wszystko zależało od niej samej i Jacka. To nie było już coś, co działo się bez jej woli. Skoro wiedziała, czego chce, sama zamierzała pokierować swym życiem.

- Ciekawe, kto będzie się całował pod jemiółą - powiedziała. - Annę i lady de Vacheron bardzo się starały, by ją ładnie ułożyć. Zamierzały powiesić cały pęk w salonie.

Czuła, że rumieniec oblewa jej policzki, ale zmusiła się, by spojrzeć na Jacka.

- Więc musimy pójść tam i zobaczyć - odparł.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Isabelli nie udało się uciec do swego pokoju zaraz po powrocie do domu. Marcel skakał w hallu wokół niej, prosząc, by razem ułożyli jemiolę, jak to mieli w zwyczaju, a Davy i jego siostry patrzyli na nią wyczekująco. Nawet Jacqueline wzięła ją za rękę, spoglądając prosząco w oczy.

- Powiedziałem Davy'emu, Meggie i Kitty, że nikt tak pięknie nie układa jemioly jak ty, maman - mówił Marcel.

Trzy starsze damy, w tym matka Jacka, które spędziły popołudnie na poddaszu wybierając pudła z ozdobami, usłyszały słowa Marcela i lady Maud uśmiechnęła się przymilnie.

- Ależ, droga hrabino, musisz to dla nas zrobić - rzekła. - Powiem mamie, że zgłosiłaś się na ochotnika.

Isabella musiała więc iść razem ze wszystkimi do sali balowej. Ale nie było tak źle - stwierdziła, kiedy wokół niej i Annę zebrała się gromada dzieciaków, które koniecznie chciały pomagać przy układaniu jemioly. Mogła wrócić następnego dnia do Londynu, ale Jack powiedział, że powinni zachowywać się jak dorośli, rozsądni ludzie.

I przypomniał, że znalazła się tu na wyraźne zaproszenie księcia i księżnej Portland.

Nareszcie mieli okazję porozmawiać. Wszystko z siebie wyrzucili: frustrację spowodowaną obecną sytuacją, cały gniew i podejrzenia. Teraz więc, choć przebywali pod jednym dachem, mogli w spokoju świętować Boże Narodzenie - każde z nich oddzielnie.

- To będzie wspaniała zabawa - zauważyła Annę, kiedy przeszły w ten kąt sali, który księżna wyznaczyła do układania jemioly. - Och, uwielbiam Boże Narodzenie. To najmiłsze dni w roku. I wszyscy zgodnie twierdzą, że tej nocy spadnie śnieg. Nie śmiem nawet o tym marzyć!

Isabella zebrała gałązki jemioly i wszystkie ozdoby, jakie były im potrzebne, po czym wydała dyspozycje sporej grupie pomocników. Dzieci rozprawiały z podnieceniem o śniegu, bałwanach, łyżwach, bożonarodzeniowych prezentach i świątecznym puddingu.

Tak, to wspaniały okres - pomyślała Isabella. Nie mogłaby spędzić świąt z sympatyczniejszą rodziną. W ostatnie Boże Narodzenie byli sami - ona i dzieci. W tym czasie zawsze najbardziej tęskniła za Maurice'em.

Jack wspinał się po wysokiej drabinie ustawionej pośrodku sali i wieszał dekoracje na żyrandolu. Juliana stała obok, przyglądając się temu. Patrzyła na Jacka wzrokiem

właścicielki. Bo też należeli do siebie. Dla nich będzie to najwspanialsze Boże Narodzenie w życiu.

Isabella skupiła się, by pomóc Kitty zawiązać kokardkę z czerwonej wstążki na pęku jemiioły.

Zdjął surdut i kamizelkę. Wyglądał bardzo atrakcyjnie w koszuli, spodniach i wysokich butach z cholewami. Niewiele się zmienił. I przed południem czuła się przy nim tak jak dawniej. Jego ciało i usta wydawały się jej niepokojąco znajome.

- Nie, nie - zwróciła się do Marcela. - Nie układaj całej jemiioły w jeden bukiet. Postaraj się rozłożyć gałązki.

O, tak. - Opuściła rękę i zmierzwiła mu czuprynkę. - Dobry chłopiec.

Dziewięć lat temu zastanawiała się, czy będzie potrafiła żyć bez Jacka. Pokusa, by mimo wszystko zostać z nim, dopóki się nią nie znudzi, była wręcz nie do przezwyciężenia. Ale wiedziała, że choć może nie będzie mogła żyć bez niego, życie z nim jest dla niej niemożliwością. Nigdy jej nie szanował. Potrzebna mu była tylko z jednego powodu. I coraz częściej tracił panowanie nad sobą, stawał się gwałtowny i zazdrosny. Sytuacja mogła się już tylko pogarszać.

Resztki godności, jakie jej jeszcze zostały, skłoniły ją do odejścia. I stwierdziła, że potrafi żyć dalej - i to nie wegetować, lecz właśnie żyć. Zaczęła nowe życie, znacznie lepsze od dotychczasowego.

Zawsze nienawidziła tej dotkliwej tęsknoty za Jackiem - próbowała ją zwalczyć, ale bez skutku. I nadal nienawidziła tego uczucia.

- No - rzekła Annę - skończyliśmy. Wspaniale wygląda. Czyż nie jest śliczny, Jacqueline? - Objęła dziewczynkę ramieniem. - Masz zdolną mamę. Gdzie jest Kenneth? Ach, stoi tam z Prue i Alice - nic mu się nie stało. Zaniesiemy jemiiołę do salonu?

O, tak - pomyślała Isabella wstając. Gdziekolwiek, byle nie zostawać w sali balowej. Jack należy już do innej. A nawet gdyby tak nie było, nie chciała w nic się angażować. Za późno na to. Nie, właściwie nie o to chodzi. Dla niej i dla Jacka nigdy nie było odpowiedniego czasu. Ich związek to nieporozumienie. Od początku do końca.

W salonie zebrało się już mnóstwo ludzi - dorosłych i dzieci - którzy zmienili ten zwykle dostojny i wytworny pokój w barwną, pachnącą komnatę jak z bajki. Lady Sara Lynwood i matka Jacka właśnie ustawiały w oknie żłóbek, a inni zajęci byli dekorowaniem ścian. Wszyscy jednak przerwali pracę, by podziwiać pęk jemiioły i przyglądać się, jak zostaje zawieszony pośrodku pokoju. Zebediah, Howard i Anthony powiesili go według wskazówek Isabelli.

Potem wszyscy stanęli dookoła, patrząc z podziwem na jej dzieło, Isabella zaś pomyślała, że to jeden z najładniejszych pęków, jakie ułożyła. Nie sama oczywiście, gdyż miała całą armię pomocników.

- To zasługa Isabelli - mówiła Annę. - Ja nigdy dotąd nie układałam jemioli.

Isabella zauważyła, że do salonu przyszedł nawet książę. Stał nie opodal, wsparty mocno na lasce. Zjawił się także Jack. Juliana trzymała go pod rękę. Nadal był bez surduta i kamizelki.

- Wobec tego hrabina pierwsza musi zostać pocałowana pod jemiolą - stwierdził książę tak rubasznym tonem, że zabrzmiało to, jakby wyznaczał jakąś surową karę. - Pani, proszę, podejdź tu i pozwól, że mnie przypadnie ten zaszczyt.

Isabella zaczęła sobie uświadamiać, że mimo pozorów szorstkości książę był łagodnym i dobrodusznym człowiekiem. Stała pod jemiolą i uśmiechnęła się swym scenicznym uśmiechem - tym najbardziej promiennym. Miała bolesną świadomość, że przed paroma godzinami całowała się z Jackiem, i to wcale nie pod jemiolą. A teraz on stał z tą słodką dziewczyną wspartą na jego ramieniu.

- Cała przyjemność po mojej stronie, wasza wysokość - odrzekła nadstawiając policzek do pocałunku, a książę cmoknął ją jak z dubeltówki. Potem położyła dłonie na ramionach starszego pana, by oddać całusa. Zaśmiała się słysząc, jak ktoś - chyba Peregrine, pomyślała - gwizdnął z uznaniem.

- Właśnie po to jest jemiola - powiedział ktoś inny ze śmiechem, gdy Isabella wzięła księcia pod ramię i odprowadziła na bok. - Co za interesujący pomysł!

Pod jemiolą stanął teraz Howard Beckford, pociągając za sobą Rosę Fitzgerald. Pocałował ją głośno, a ona się zarumieniła.

- Uważaj, Beckford! - zawołał Bertrand Fitzgerald. - Bo będziesz musiał zadeklarować swe zamiary wobec mojej siostry.

Ale jak zauważyła Isabella, uśmiechał się szeroko.

Wszyscy byli w wybornych nastrojach. Kilkoro z nich pocałowało się pod jemiolą - „żeby sprawdzić, czy to działa”, jak powiedział Alex chichocząc, kiedy cmoknął Annę w policzek.

- Ciekawe - Isabella pochwyciła słowa Juliany - czy jest tu ta gałązka, którą wcześniej trzymałeś mi nad głową?

Gdyby nie to, że nadal wspierała się na ramieniu księcia, Isabella odsunęłaby się od nich albo nawet wyszła z salonu. Jednak nie mogła tego zrobić.

- Wątpię, czy byłbym w stanie ją rozpoznać - odparł Jack z rozbawieniem. - Wyznam

ci, że wtedy myśli miałem zajęte zupełnie czymś innym. Idziemy tam?

- Chyba powinniśmy - odrzekła.

Juliana sprawiała wrażenie, jakby pozbyła się już rezerwy i nieśmiałości. Bez wątpienia uległa czarowi Jacka i zaczęła się w nim zakochiwać.

Isabella musiała więc patrzeć, jak się całują, i słuchać towarzyszących temu gwizdów. Miała wrażenie, iż był to bardzo śmiały pocałunek - i nic w tym dziwnego. Za kilka dni Juliana i Jack mieli się przecież oficjalnie zaręczyć.

Księżę wydał z siebie dudniący pomruk, w którym Isabella rozpoznała śmiech.

- Za moich czasów, hrabino - rzekł - nie darowalibyśmy tak łatwo ładnej dziewczynie. Pod jemiolą „można sobie pozwolić na więcej niż zwykle. Bądź tak dobra, moja droga, i podejdź ze mną do krzesła. Stan i Perry pomogą mi usiąść.

Bożonarodzeniowy nastrój prysł, zanim Isabella zdążyła spełnić jego prośbę. Rozejrzała się rozpaczliwie, by coś z tego jeszcze uratować. A wtedy Marcel pociągnął ją za rękę.

- Chcę cię pocałować, maman - rzekł. - W zeszłym roku powiedziałaś, że jestem teraz głową rodziny.

- Bo jesteś - odparła z uśmiechem, pozwalając się zaprowadzić pod jemiolę. Kiedy schyliła się, by ucałować jego miękkie usteczka, poczuła znajomy, niemal bolesny przyływ czułości. Do niego i do Jacqueline, która stała w pobliżu.

Miłość do dzieci nadawała sens jej życiu. Nigdy nie powinna o tym zapominać. Zbliża się Boże Narodzenie. Musi się postarać, by były to dla nich radosne święta. Bo tak naprawdę dla niej liczą się tylko dzieci.

Co powiesz na partię bilardu, Jack? - Alex położył rękę na ramieniu kuzyna. Było to późnym wieczorem, gdy jedni udali się do pokoju muzycznego, by ćwiczyć przed koncertem wigilijnym, a pozostali zajęli się w salonie grą w karty. - Musimy nauczyć się ról, jutro czekają nas próby. Powinniśmy więc wykorzystać każdą wolną chwilę, by się trochę rozerwać.

Jack poszedł z Alexem do sali bilardowej, by od razu się zorientować, że nie o grę tu chodzi. Alex podszedł do okna i stał tam, patrząc na śnieg sypiący w ciemnościach. Jack domyślił się, po co został tu zaproszony. Obaj kuzyni nadal byli sobie tak bliscy jak w dzieciństwie. Czasami nawet potrafili czytać nawzajem w swoich myślach. Jack cztery lata temu wiedział na przykład, że nie ma szans u Annę, bo Alex - wbrew pozorom - nadal ją kochał.

- Z tego, co wiem, głową rodziny wciąż jest dziadek - odezwał się Jack ostrożnie. -

Chyba nie zamierzasz zastępować go w tej roli, co, Alex? Chcesz wygłosić mi kazanie?

- Jestem członkiem rodu - odparł Alex nie odwracając się. - To wystarczający powód. Mam na względzie uczucia i honor rodziny. Nie skompromitujesz nas w te święta, Jack!

- A jak miałbym to zrobić? - zapytał Jack udając, że nie wie, o co chodzi. Nienawidził, kiedy Alex przybierał wobec niego mentorski ton. Nie tak dawno temu kuzyn był tak samo niesforny jak on. Nawet podobały im się te same kobiety. Tylko że ten przekłety Alex wychodził z owej rywalizacji zwycięsko. - Czyżbym zbyt gorliwie całował Julianę pod jemiolą? Do tego właśnie służy jemiola. Jak zauważyłem, ty także śmiało sobie tam poczynałeś z Anną.

- Jack - powiedział Alex - to piękna kobieta. Wprost niespotykane. Ma w sobie jakiś magnetyzm, który sprawia, że wzrok wszystkich zawsze kieruje się na nią.

- Annę nie byłaby zachwycona słysząc to - zauważył Jack. Nie musiał nawet pytać, by wiedzieć, że Alex nie ma na myśli ani Annę, ani Juliany.

- Moje uczucie do Annę jest tak stałe i głębokie, że nie muszę udawać, iż nie zauważam urody innych kobiet - odciął się kuzyn. - Rozumiem, że jesteś nią oczarowany, Jack. I choć to osoba godna najwyższego szacunku, jest aktorką. A niektórzy mężczyźni od razu myślą, że...

Nie zdążył powiedzieć nic więcej, gdyż dwie żelazne ręce gwałtownie go odwróciły i chwyciwszy za klapy surduta, niemal uniosły nad podłogę. Plecami uderzył o ramę okienną.

- Dobrze ci radzę, nie kończ tego zdania - powiedział Jack głosem ostrym jak nóż. - Chyba że chcesz połknąć zęby albo zbierać je z podłogi przez następną godzinę.

Alex nic nie odpowiedział. Jack stopniowo zwolnił uścisk i puścił kuzyna. Stali tak mierząc się wzrokiem. Jack oddychał ciężko.

- Przypuszczam, że nie prosiłeś babci, by znalazła ci żonę - rzekł Alex. - Kiedy tu przyjechałeś, pewnie nie zdawałeś sobie w pełni sprawy, że wybór już został dokonany, a tobie pozostało tylko zalecać się do dziewczyny i oświadczyć jeszcze podczas świąt. Babcia rzeczywiście trzyma wszystko żelazną ręką i nie pyta nikogo o zdanie. Ale prawda jest taka, Jack, że dziewczyna przyjechała tu z pewnymi nadziejami, a ty już na wstępie dałeś to zrozumienia, że są uzasadnione. Gdybyś tego nie zrobił, nikt nie mógłby cię winić, chociaż i tak sytuacja byłaby niezręczna. Ale ty sam zrobiłeś pierwszy krok.

- Stanowczo mam zamiar ożenić się z nią - odparł Jack patrząc poważnie na niego - jeśli tylko mnie zechce. A mam wrażenie, że zechce.

- A tymczasem romansujesz z hrabiną de Vacheron? - cicho dodał Alex. - Chcesz mieć rozrywkę przed ślubem? Dzisiejszej nocy spotkacie się w jej czy w twoim pokoju?

Jack dał mu cios w szczękę, a oczy Alexa zwężyły się z bólu, gdy uderzył głową o okienną ramę.

- Broń się albo przeproś - syknął Jack przez zaciśnięte zęby. - Obraziłeś damę, choć tego nie słyszała. Zabrałem ją na spacer nad jezioro. Ona nie zna tych okolic. Ja je znam. Czy trzeba ją od razu napiętnować tylko dlatego, że poszła ze mną na przechadzkę?

- Jack - Alex delikatnie dotknął swej szczęki - ja też wtedy poszedłem z Anną na spacer... przynajmniej taki miałem zamiar. Chciałem was dogonić. Na szczęście, kiedy was zobaczyłem, Annę pokazywała coś po drugiej stronie jeziora. Wierzę... mam nadzieję, że niczego nie zauważyła, choć musiała się dziwić, dlaczego tak nagle zawróciłem. Widziałem was, a wzrok mam dobry. To, co zobaczyłem, to nie były świąteczne serdeczności. Nikt nie mógłby się pomylić co do tego.

Jack opuścił ręce.

- To nie twoja sprawa - rzekł bezbarwnym tonem.

- Przeciwnie - odparł Alex. - Jest tu młoda dama, która zostałaby okrutnie zraniona i upokorzona, gdyby prawda wyszła na jaw. A dwie rodziny - w tym nasza - znalazłyby się w bardzo niezręcznej sytuacji. Nasze nazwisko zostałoby zhańbione. Tak, to bez wątpienia moja sprawa. Jeśli chcesz się łajdaczyć, poczekaj, aż wyniesiesz się z rodzinnej posiadłości. I nie mam zamiaru przeproszać nikogo za te uwagi. A jeśli znowu podniesiesz na mnie rękę, popamiętasz. Zobaczymy, czy spodobaś się swoim damom z podbitymi oczami.

Jack rozczapierzył palce i znowu je zacisnął.

- Może to głupie - dodał Alex - lecz zawiodłeś mnie, Jack. Taka jest prawda. Muszę wyznać, że hrabina także mnie rozczarowała. Myślałem, że ma więcej klasy.

- Nienawidzę takich pochopnych sądów, które często wypowiadają szacowni ludzie - powiedział Jack. - Zobaczyłeś coś i myślisz, że już wszystko wiesz. A tymczasem nic nie wiesz. Kiedyś kochałem Belle... dawno temu, zanim wyszła za mąż. Uważasz oczywiście, że nie jestem zdolny do miłości, ale ta kobieta przez rok była całym moim życiem. Nie wiedziałeś tego. Nikt nie wiedział. Traktowałem ją zbyt poważnie, by chwalić się w gronie znajomych. Ale piśnij jeszcze słówko o tym, że w jej dzisiejszym zachowaniu było coś niewłaściwego, a koniec z nami.

Alex ponownie na chwilę przymknął oczy.

- Była twoją kochanką? - zapytał. - Co za skomplikowana sytuacja. Ale to nie może się zacząć od nowa, Jack. Nie tutaj.

- Ty głupcze! - zawołał Jack. - Oczywiście, że to nie powtórzy się teraz, kiedy Belle jest tym, kim jest, a ja mam się ożenić z inną. Nie musisz się martwić, Alex, o to przekłete

dobrze imię naszego rodu. Mam zamiar poślubić Julianę i będzie to małżeństwo z prawdziwego zdarzenia. To tradycja rodzinna, czyż nie? Chociaż ty potrzebowałaś całego roku, by sprostać oczekiwaniom rodziny. Moje kawalerskie dni dobiegają końca.

Alex przeczesał palcami włosy, ale cofnął rękę, kiedy dotknął tyłu głowy.

- Przez ciebie, Jack, mam guza jak jajo - powiedział. - I opuchniętą szczękę, co będę musiał w jakiś sposób wytłumaczyć. Dobry Boże, kiedy ostatnio się biliśmy? Tym razem nie miałem nawet tej satysfakcji, że mogłem ci oddać. Zawsze za powód do chwały uważałem to, że już w pierwszej minucie udawało mi się rozkwasić ci nos.

- I zawsze boleśnie objąłeś sobie knykcie - odciął się Jack. - Zagramy w bilard, skoro już się tu pofatygowaliśmy?

- Jeśli zniesiesz porażkę... - rzekł Alex potrząsając głową, jakby chciał się uwolnić od jakichś myśli, a zaraz potem wykrzywił usta z bólu. - Czy mi się wydaje, czy ostatnio byłem od ciebie lepszy w tej grze?

Jack wybrał kij i pomyślał o Julianie. I o Belle. Poczł, że robi mu się dziwnie słabo.

Całą noc padał gęsty śnieg i nie przestał delikatnie sypać jeszcze następnego ranka. Lekki puch pokrył ziemię, sprawiając, że trawniki, rabaty kwiatowe, ścieżki i droga zamieniły się w jeden biały dywan. Duże czapy śniegu leżały także na gałęziach drzew.

- Czyż to nie najpiękniejsza świąteczna sceneria, jaką kiedykolwiek widzieliście? - zauważyła Constance splótłszy palce z palcami Sama, kiedy przyłączyli się do reszty rodziny zgromadzonej w salonie na śniadaniu. - Czy mogłoby być śliczniej?

Nikt nie podjął rozmowy.

Perry, Martin i Freddie mieli spędzić przedpołudnie w sali balowej na próbie wybranych scen z Isabellą. Parę innych osób z podnieceniem wyglądało przez okno.

- Świeży, puszysty śnieg - odezwał się Stanley - jest najlepszy do lepienia bałwana.

- I robienia śnieżek - dodał Jack.

- Zresztą i tak nie mamy żadnego wyboru - powiedział Zeb. - Oboje z Hortense, schodząc na dół, zajrzeliśmy do pokoju dzieciennego, by sprawdzić, czy któreś z maluchów już się obudziło. Powiedz im, Hortense.

- Wszystkie co do jednego aż piszczą z uciechy - rzekła. - No, może oprócz Jacqueline. I wszystkie podskakują niecierpliwie, domagając się, by natychmiast - jeśli nie szybciej - zabrać je na dwór. Zeb musiał jak zwykle zagrozić im klapssem... choć nigdy jeszcze nie spełnił swej groźby, prawda, kochanie?... by zgodziły się najpierw zjeść śniadanie.

- A przedtem jeszcze się ubrać - dodał jej mąż.

Tak więc niespełna godzinę później wszystkie dzieci bez wyjątku wybiegły z domu, a

za nimi podążyła zaskakująco liczna grupka dorosłych.

- Obecność dzieci w domu - powiedział Jack do Juliany - jest oczywiście doskonałym pretekstem dla dorosłych. Sami mogą się wtedy zachowywać jak dzieci, gdy tylko zobaczą coś tak kuszącego jak świeży śnieg.

Zaczęli zabawę od radosnej bitwy na śnieżki, podczas której dorośli wystawiali się na cel, mrucząc i krzywiąc się, kiedy dosięgła ich jakaś śnieżna kula. Dzieci natomiast, uszczęśliwione celnym uderzeniem, piszczały z zachwytu i popychając się, uciekały w strachu przed odwetem dorosłych. Potem wszyscy podzielili się na cztery grupy, by lepić bałwany. Zespół, który ulepi największego - ogłosił Alex - w nagrodę będzie mógł się tym chwalić przez całe Boże Narodzenie.

Jackowi, Julianie, Stanleyowi i Celii przydzielono jako pomocników Marcela, Jacqueline, Davy'ego i Roberta. Jacqueline i Davy zabrali się do dzieła ze stanowczym zamiarem zdobycia nagrody. Roberta najbardziej bawiło zakopywanie się w śniegu. Natomiast Marcel ani na chwilę nie przestawał mówić.

To przemyśli dzieciak - pomyślał Jack, dobrodusznie przysłuchując się paplaninie malca. Przypomniał sobie, że Belle nie chciała, by zbliżał się do jej dzieci. Ale wczoraj wszystko sobie wyjaśnili i od tej chwili odnosili się do siebie nader poprawnie. Tylko że ostatniej nocy znowu mu się śniła - przypomniał sobie nagle. Leżała w łóżku obok niego, wsparta na łokciu, z głową opartą na dłoni, a jej złociste włosy rozsypały się na jego ramionach i łaskotały go. Śmiała się i śmiała radośnie, dopóki nie uniósł ręki, nie przyciągnął jej głowy do siebie i nie złączył swych ust z jej ustami. Wtedy umilkła. Ale to mu się tylko śniło. Obudził się i poczuł bolesną pustkę.

Tak ją zapamiętał z ich pierwszych dni. Prawie już zapomniał, że dużo się śmiali, zazwyczaj z absurdalnych historyjek, które zawsze miał w zanadrzu. Później śmiali się już coraz rzadziej.

- Potem weszliśmy na wielki statek - ciągnął Marcel - i wszyscy się pochorowali, bo bardzo kołysało. Ale ja nie chorowałem. Opiekowałem się mamą i Jacquie, ponieważ jestem głową rodziny. Tak mówi mama. Mój tata nie żyje. Podoba mi się, że jestem głową rodziny, ale czasami wolałbym, żeby tata był z nami. Często brał mnie na barana. Pamiętam to. I mówił po francusku.

Ich drużyna wygrała zawody dzięki temu, że Davy, siedząc na ramionach Stanleya, dolepił bałwanowi jajowatą głowę.

- No, dobrze, Davy - zwrócił się do niego ojciec - możesz chwalić się tym w pokoju dziecinnym, dopóki inne dzieciaki nie zaczną rzucać w ciebie butelkami z mlekiem, a w

salonie - dopóki ktoś nie wyleje na mnie herbaty. Mam tylko nadzieję, że ta herbata zdąży ostygnąć.

Robert wyczołgał się ze swojego igloo i z radością powitał wiadomość, że został jednym ze zwycięzców.

Przyszedł czas, by wracać do domu. Wszyscy mieli już czerwone nosy i zgrabiałe palce. Rękawiczki, szaliki i palta były całe w śniegu.

Marcel dreptał obok Jacka i Juliany.

- Jeślibyś chciał, mógłbyś mnie wziąć na barana. Jack przystanął i spojrzał na niego. W głosie malca wyczuł tęsknotę. Chyba bardzo brakuje mu ojca. Musiał mieć zaledwie trzy lata, kiedy umarł Vacheron, a mimo to go pamiętał. I to dziecko prosi go teraz, by wziął je na barana - tak jak to robił ojciec? Jack poczuł dziwny uścisk serca. Schylił się, podniósł chłopca i posadził go sobie na ramionach.

Marcel mówił przez całą drogę do domu. A z kolei Jacqueline, jak zauważył Jack, szła cicho obok.

Był lekko wzruszony. I także skonsternowany. Miał nadzieję, że Belle nie wyjrzy przez okno i nie zobaczy ich. Co prawda, szła z nimi również Juliana, którą dzieci poznały jeszcze w pokoju dzieciennym, ale Jack miał wrażenie, że Marcel i Jacqueline Ignęły raczej do niego.

Ale nie to było najgorsze. Kiedy wrócili do domu, Jack postawił Marcela na ziemi, a malec pomknął za grupką innych dzieci, które pod przewodem Ruby szły na górę, skuszone obietnicą gorącego mleka. Ktoś tymczasem pociągnął Jacka za połę płaszcza. Jacqueline patrzyła na niego wielkimi oczami, w których kryła się prośba.

- Mogę pójść do pokoju muzycznego? - szepnęła. Dobry Boże!

- Spytałaś o to mamę?

- Mama powiedziała, że będę brała lekcje - odparła. - I obiecała, że kupi mi nowe skrzypce. Mogłabym tam iść i pograć? Proszę...

Nigdzie w pobliżu nie było widać ani Belle, ani Perry'ego, Martina czy Freddiego. Pewnie próba się jeszcze nie skończyła.

- Ominą cię gorące napoje - powiedział. - Czy nie byłoby lepiej poczekać i zapytać mamę o pozwolenie?

Lecz dziewczynka potrząsnęła głową, a jej oczy nagle napęłniły się łzami.

- Proszę, niech mnie pan tam zaprowadzi. Dobrze? Jak mógł jej odmówić. To spokojne, poważne dziecko owinęło go sobie wokół palca. Podał jej rękę.

- Dobrze, ale nie na długo - odparł. - Myślę, że to nic złego.

Jacqueline uśmiechnęła się do niego, a on odniósł wrażenie, że już na zawsze stał się jej niewolnikiem.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Jacqueline oczywiście zapomniała o Jacku, gdy tylko weszli do pokoju muzycznego. Jack spodziewał się tego. Dziewczynka ostrożnie wyjęła skrzypce z jednego z futerałów i musnęła dłonią ich błyszczące drewno, lekko przeciągając palcem po strunach. Jack podszedł do fortepianu i usiadł na stołeczku. Mała spoglądała na instrument ze skupieniem i czułością, tak jakby patrzyła na ulubioną lalkę.

A potem uniosła skrzypce, oparła je o podbródek, wzięła smyczek i zaczęła grać. Przez następne pół godziny Jack miał wrażenie, że patrzy na jakiegoś wygłodniałego biedaka, który ma przed sobą niezliczone ilości jedzenia i bardzo mało czasu. Dziewczynka grała trochę za szybko i prawie nie robiła przerw między jednym utworem a drugim. Wyglądało to tak, jakby się bała, że już nigdy potem nie będzie mogła wziąć skrzypiec do ręki.

Jack pozwolił jej grać i stopniowo przestał się martwić, że Belle ich tu zastanie. Stracił też poczucie czasu. Jacqueline musiała się jeszcze wiele nauczyć, a jednak Jack pomyślał, że jej nauczyciel będzie mógł nauczyć się od niej równie dużo. A może nawet więcej.

Czuł się onieśmielony w obliczu takiego młodego, nie ukształtowanego talentu. Jednocześnie ogarnęła go czułość, gdy patrzył, jak ten wielki talent emanuje z takiej małej, szczupłutkiej istoty.

Wreszcie przestała grać i westchnęła z zadowoleniem, a potem otworzyła oczy i spojrzała na niego. Opuściła skrzypce.

- Dziękuję panu - rzekła.

- Cała przyjemność po moje stronie, Jacqueline. Uśmiechnął się do niej.

- Czy pan też gra? - zapytała.

- Tak, ale na fortepianie - odrzekł. - Gdybym był dziewczynką, pewnie zachęcano by mnie, abym grał więcej i więcej ćwiczył. Mówiono, że jestem uzdolniony w tym kierunku. Ale byłem chłopcem i nie mogłem cały dzień grać na pianinie.

Jacqueline odłożyła skrzypce na fortepian, tak jak poprzednim razem, i usiadła obok Jacka na stołku.

- Gdyby pan naprawdę odczuwał potrzebę grania, nieważne byłoby, co mówią inni.

No, tak. Potrzebę, nie chęć. Jak to brzmi w ustach dziecka...

- Masz rację, oczywiście - odrzekł.

- Uczyłam się grać na fortepianie - powiedziała - ale nie sprawiało mi to przyjemności. Cały czas musiałam myśleć o palcach: który palec dotyka którego klawisza. Nie czułam

wtedy muzyki. Tylko ją słyszałam.

Więc zapomina o palcach podczas gry na skrzypcach?

- Co chciałabyś robić, kiedy będziesz dorosła? - zapytał. - Chcesz grać na skrzypcach dla innych ludzi? Czy wystarczyłoby ci granie tylko dla siebie i swojej rodziny?

Zastanawiała się przez chwilę.

- Mama zabrała mnie kiedyś na koncert - rzekła. - To było jeszcze we Francji. Występował skrzypek, który grał bardzo dobrze. To ktoś sławny, chociaż nie pamiętam jego nazwiska. Kiedy skończył, wszyscy długo klaskali. Ale mnie się nie podobało. Wiedział, że gra dobrze, i grał po to, by ludzie go widzieli i słyszeli, i mówili, jaki jest dobry. Pragnął być ważniejszy niż sama muzyka. - Zamyślona zmarszczyła brwi. - Chciałabym pokazać wszystkim, jak powinno się grać muzykę. Ale oczywiście nie potrafię. Nie umiem dobrze grać.

Och, biedna Belle - pomyślał Jack. Spełnią się jej najgorsze obawy. Dziecko da się porwać potrzebie tworzenia piękna i dążenia do doskonałości. Nigdy nie zadowolili się muzyką, jaką są w stanie grać zwykli śmiertelnicy.

Czy z Belle było inaczej? - zastanowił się. Czy teraz, kiedy słuchał Jacqueline, pojął to, czego nie zrozumiał wcześniej, gdy był z Belle? Tak niewiele o niej wiedział, chociaż żył z nią przez rok?

Uniósł palcem podbródek Jacqueline.

- Dziecko, grasz bardzo dobrze - powiedział. - Już teraz grasz dla samej muzyki, nie dla aplauzu. Odprowadzić cię do dziecinnego pokoju?

Dziewczynka przeniosła spojrzenie z twarzy Jacka na skrzypce.

- Będę mogła tu wrócić? - zapytała. - Przyprowdzi mnie pan tutaj znowu?

- Dobrze, jutro - obiecał. - Chyba że twoja mama wyraźnie tego zabroni. Przyjdziemy tu o takiej porze, kiedy nikt nie korzysta z pokoju.

- Dziękuję panu - rzekła i wstała, by włożyć skrzypce do futerału.

Jack podał jej rękę, a ona ją ujęła. Opuścili pokój i w milczeniu weszli na schody. Udało nam się, nikt nas nie przyłapał - pomyślał Jack.

Ale gdy tylko dotarli do pokoju dziecinnego, drzwi się otworzyły i stanęła w nich Isabella.

Westchnęła.

- Już miałam zacząć akcję poszukiwawczą - powiedziała patrząc na Jacqueline. - Gdzie byłaś?

- Kiedy wróciliśmy do domu, zaprosiłem Jacqueline do pokoju muzycznego - odezwał się Jack. - Poprosiłem, by coś mi zagrała.

- To moja wina, mamó - rzekła Jacqueline. - To ja poprosiłam pana, by mnie tam zabrał. Błagałam go.

Ależ z nas żalosna para konspiratorów - pomyślał Jack z rozbawieniem, które starał się ukryć. Ale Belle je wyczuła. Zobaczył to w jej oczach, mimo że nie zmieniła wyrazu twarzy. Zawsze łatwo było z jej oczu wyczytać uczucia.

Nagle Jack uświadomił sobie, że oboje z Jacqueline wciąż trzymają się za ręce.

- Cóż - rzekła Isabella i Jack zorientował się, że nie jest zagniewana - tylko pamiętaj, Jacqueline, żebyś pana nie zamęczała.

- To była przyjemność i zaszczyt słuchać, jak ona gra - powiedział Jack.

Jacqueline wślizgnęła się do pokoju dziecinnego i zamknęła za sobą drzwi. Jack i Isabella patrzyli na siebie niepewnie.

- Jak wypadła próba? - zapytał.

- Peregrine jest dobry w roli Shylocka - odparła. - Freddie nauczył się swej kwestii na pamięć, ale był zdenerwowany i odzywał się w niewłaściwych momentach. Ale wszystko przyjdzie z czasem.

- Na twoim miejscu nie liczyłbym na to - powiedział wykrzywając usta w uśmiechu i podał jej ramię.

Razem schodzili na dół - niebezpiecznie blisko siebie, jak pomyślał Jack, kiedy Belle go dotknęła. Ale przecież postanowili zachowywać się jak cywilizowani ludzie, a w cywilizowanym świecie przyjęte jest, że mężczyzna i kobieta chodzą pod ramię.

- Belle - odezwał się nagle - dlaczego zostałam aktorką?

Pytanie to zabrzmiało idiotycznie.

- Dlaczego? - Spojrzała na niego. - Myślałam, że znasz odpowiedź, Jack.

- Dla sławy i pieniędzy? - zapytał. Zawsze tak myślał. Lubiła być uwielbiana, zwłaszcza przez mężczyzn, lubiła myśleć, że stanie się bogata, niezależna i będzie mogła przebierać w kochankach. Naprawdę kiedyś w to wierzył. Teraz nie był już tego taki pewny. A właściwie był pewny, że się mylił.

- Być sławnym to bardzo miłe - rzekła. - Muszę to przyznać. I nie przeczę, że dobrze jest mieć dużo pieniędzy. Czułam się strasznie niepewnie, gdy nie wiedziałam, kiedy będę jadła następny posiłek... zanim... zaopiekowałeś się mną. Ale tu chodzi o coś więcej. Znacznie więcej.

- O co? - zapytał, ale pomyślał, że zna już odpowiedź.

O dziewięć lat za późno.

- Gram, bo muszę to robić - odparła. - Czytam rolę i chcę tchnąć w nią życie. Nie

wystarcza mi samo czytanie, wyobrażanie sobie danej sceny czy oglądanie jej w teatrze. Muszę ją zagrać. Muszę wejść w skórę bohaterki, myśleć jak ona. Muszę poczuć w sobie, jak bije jej serce. Muszę pokazać, jaka jest naprawdę, a nie jaka wydaje się na papierze. Ty nigdy tego nie rozumiałeś, prawda, Jack? Myślałeś, że robiłam to, by mnie chwalono, i dlatego, że pochlebiało mi, gdy po przedstawieniu przychodzili do mnie za kulisy bogaci panowie.

- Belle - powiedział - czemu młodzi nigdy nie chcą mówić i słuchać? Dlaczego kierują się emocjami, a nie rozumem? Dlaczego dopiero teraz cię rozumiem?

- Chciałeś mnie mieć na własność - odparła. - Dobrze mi płaciłeś i myślałeś, że należę do ciebie.

- Ale nigdy nie byłaś tylko moja. - Uśmiechnął się cynicznie. - Nie było wyłącznie moją własnością to, za co płaciłem, nieprawdaż, Belle? Nie wezmę na siebie całej odpowiedzialności za tamte okropne ostatnie tygodnie. Zdradzałaś mnie.

- Ach, tak. - Zacięła usta, a oczy przybrały twarde wyraz. - Zawsze wracamy do tego samego, czyż nie, Jack? Czasami żałuję... Och, nieważne!

- Czego żałujesz? - Ujął podbródek Belle, kciukiem dotykając jej dolnej wargi. Chwilę wcześniej zeszli już na dół i stali teraz, patrząc sobie w oczy.

Ale nie zdążyła odpowiedzieć. Drzwi do salonu otworzyły się i wyszli z niego Alex, Zeb, Anthony i Howard Beckford - wszyscy mówiący jednocześnie. Jack opuścił rękę, gdy tylko ich zobaczył. Unikał jednak wzroku Alexa.

Wydawałoby się, że w domu pełnym ludzi nietrudno kogoś unikać, jeśli się tego chce - pomyślała Isabella. A jeszcze łatwiej, gdy zależy na tym obu stronom.

Jednak okazało się to niemożliwe. A może oboje za mało się starali. Mogła przecież wejść z Jacqueline do pokoju dziecinnego. Albo Jack mógł tam zajrzeć, by przywitać się ze swoimi siostrzeńcami - zwłaszcza gdy zobaczył, że ona nie wchodzi. Zamiast tego szli razem po schodach i na dodatek zaczęli rozmawiać na niebezpieczne, osobiste tematy.

Oczywiście musieli się także spotykać na próbach scen z „Otella”. Pierwsza próba została wyznaczona właśnie na to popołudnie.

Od początku wszystko szło nie tak. Isabella zamierzała prawdziwie odegrać sceny dopiero na próbie generalnej i na premierze. Nie chciała bowiem, by pozostali aktorzy czuli się przy niej speszeni. Wiedziała, że niektórzy z nich już teraz byli skrupowani i bali się zrobić z siebie głupców. Podczas przedpołudniowej próby przynajmniej udało jej się wczuć w rolę Porcji i odpowiednio przeczytać swoją kwestię. Po południu nawet tego nie była w stanie zrobić.

Tego popołudnia była wyłącznie Isabellą i rozmawiała z Jackiem, a potem prowadziła

dialog z Annę, myśląc o Jacku. Przypomniała sobie, jak próbował ją kontrolować, jaki bywał zazdrosny, wściekły i jak miotał oskarżenia - niczym Otello. I kiedy mówiła do Annę, nie potrafiła wcielić się w postać posłusznej, uległej, pogodzonej z losem Desdemony. Skłonna była raczej zgodzić się z bardziej wojowniczą Emilią. A jednak z jednym zdaniem, które wygłosiła, identyfikowała się zarówno jako Isabellą, jak i Desdemona. Kiedy Emilia powiedziała, że mogłaby zdradzić męża za odpowiednio wysoką cenę, Isabellą rzekła żarliwie:

- „Mnie - niechby piekło pochłonęło, gdybym tak postąpiła, choćby za świat cały!”

Jednak nawet wtedy nie udało jej się wczuć w graną postać. Czuła, że Jack, stojący nie opodal, przewierca ją wzrokiem. Wyobrażała sobie, jak cynicznie interpretuje wygłaszane przez nią słowa.

Claude próbował wytłumaczyć Annę, jak powinna zagrać swą rolę. Annę oczywiście nie bardzo pasowała do roli wygadanej Emilii. Była zbyt nieśmiała i zbyt słodka, by wcielić się w tak różną od siebie postać. Ale doskonale znała swą kwestię i wiedziała, kiedy ma mówić.

Jack grał dobrze. Isabellą nigdy nie przypuszczała, że taki z niego zdolny aktor, może dlatego, że nigdy nie lubił teatru i wszystkiego, co się z nim wiąże. Oczywiście nie był całkowicie naturalny i nie znał swojej kwestii. Kiedy Isabellą leżała i zamknięty oczy udawała, że śpi, Claude musiał mu dwa razy przypomnieć, że ma podejść bliżej i pochylić się nad nią.

- Boże drogi, człowieku - rzekł zniecierpliwiony Claude, zapominając o dwóch obecnych w sali damach - masz się pochylić i pocałować ją. Nie możesz tego zrobić stojąc dziesięć jardów dalej.

Wreszcie nad swym prawym ramieniem poczuła ciepło bijące od ciała Jacka, a jej twarz owionął znajomy oddech. Gdy słuchała wypowiedzianych przez niego słów, próbowała stać się Desdemoną, a w Jacku widzieć Otella. Ale to był on, Jack - mówił nieco sztywno i trochę się mylił, ale w jego głosie brzmiał ból. Najwyraźniej granie nie sprawiało mu kłopotu.

- „Gdy zerwę różę, nie wskrzeszę jej - zwiędnie - powiedział cicho. - Trzeba jej zapach chłonać, póki żyje...”

To naprawdę jest Otello - pomyślała. Mówi, że powinien ją zabić, ale nie chce tego, wiedząc, że potem nie będzie można niczego cofnąć. A jednocześnie jest Jackiem, który mówi jej, że to koniec, i choć nie chce, by to się skończyło, wie, że nie ma już dla nich przyszłości. W tych słowach była prawda - niebawem przecież miał ożenić się z inną.

Och, Jack!

- Na co czekasz, na zmiłowanie boskie? - spytał Claude z irytacją. - Teraz powinienes ją pocałować, Jack.

- Zrobię to na premierze, Claude - odparł Jack.

- No, dalej - zniecierpliwził się Claude. - Boże święty, przecież Isabella nie będzie krzyczeć z oburzenia. To tylko przedstawienie. Zrób to.

To dobra rada - pomyślała Isabella, nadal leżąc z zamkniętymi oczami. Nie pamiętała, by ta stara sztuczka kiedykolwiek zawiodła. Granie zawsze było najlepszym sposobem, by uciec przed problemami czy nieszczęściem. I żeby uciec przed samym sobą.

Jego wargi lekko dotknęły jej ust. Były rozchylone. Pocałował ją cztery razy - tak jak nakazywał tekst sztuki - a ona drgnęła i powoli się przebudziła.

- „Kto to? Otello?” - zapytała sennie.

- „To ja” - odrzekł.

- „Przyjdiesz tu do mnie, mężu?” - zapytała, a ich oczy na moment się spotkały.

Wiedziała, że dla niego ta scena jest równie trudna jak dla niej. Opuściła więc wzrok na książkę, którą trzymał w ręku, i nie spuszczała go z niej, gdy Jack czytał swoją kwestię, a potem słuchał jej odpowiedzi.

Tak więc on groził jej, miotał oskarżenia i szalał, podczas gdy ona zaprzeczała wszystkiemu, błagała go i prosiła, by darował jej życie. Ale nie mogła zrozumieć Desdemony. Mimo że już kilka razy grała tę rolę, teraz nagle poczuła, że nie może wejrzeć w duszę bohaterki. Nie potrafiła wcielić się w jej postać. Miała ochotę zareagować inaczej. Chciała walczyć, tak jak walczyła dziewięć lat temu. Zrobiła już kiedyś coś takiego i chyba odniosło to skutek. Dziś przed południem chciała powiedzieć, że czasami tego żałuje. Nie, nie mogłaby być Desdemoną.

Wtedy jego ręce znalazły się na jej gardle i zaczęła toczyć walkę o życie, z góry skazaną na porażkę. Isabella walczyłaby inaczej, bardziej podstępnie. W ostateczności odepchnęłaby go kolanami, by zadać mu ból i odwrócić jego uwagę. Ale była Desdemoną i kilka minut później, kiedy do pokoju wpadła Emilia krzycząc i miotając się, ledwie zdołała przemówić przed śmiercią.

- „Nikt - rzekła odpowiadając Emilii na pytanie, kto ją zabił. - Ja sama... - żegnaj... Pozdrów ode mnie... mego pana... żegnaj...”

Dziewięć lat temu nie było takiego pożegnania i żadnych czułych słów. Przyszedł do niej wieczorem, wiedząc, że powinna była już wrócić z teatru, i jej nie zastał. Czekał na nią. Wróciła o trzeciej nad ranem. Była na kolacji z lordem i lady Stapleton oraz grupką przyjaciół. Potem grali w karty. Lord Stapleton zaprosił ją na lato do swej wiejskiej

posiadłości, gdyż chciał wystawić tam jakieś przedstawienie - jeszcze nie zdecydował jakie. Z żalem odmówiła.

I po powrocie do domu zastała czekającego na nią Jacka. Był blady z wściekłości i nie chciał wcale słuchać jej wyjaśnień. Zdradziła go. Czy uważa go za głupca? Czy sądzi, że on nie wie, iż jest zwykłą kokotą? Żądał, by się przyznała. Chciał, by choć raz w życiu powiedziała prawdę i przyznała, że była z mężczyzną.

Krzyczeli i kłócili się jeszcze jakiś czas, zanim wreszcie wyrzuciła z siebie tę odpowiedź, którą chciał usłyszeć, wygłaszając mu ją prosto w oczy i z satysfakcją obserwując wyraz jego twarzy. Tak, zdradziła go tej nocy i niezliczenie wiele razy przedtem - powiedziała mu. Chyba nie sądził, że wystarczy jej tylko jeden mężczyzna?

Wyraz jego twarzy sprawił jej przyjemność. I to, że Jack bez słowa, w szale wybiegł z domu.

Nie, nie było żadnego pożegnania. Nazajutrz wyjechała z Londynu. W ciągu tygodnia opuściła Anglię.

- „Nie, ona kłamała! Z kłamstwem na ustach runie w ogień piekieł. - Usłyszała słowa wypowiedane przez Jacka. - Zabójcą jestem ja”.

- Och, Isabello - rzekła Annę z westchnieniem. - Chciałabym grać choć w połowie tak dobrze jak ty.

Otworzywszy oczy i usiadłszy, Isabella poczuła się nieswojo.

- Nie wypadło tak źle - powiedział Claude niepewnie. - Ty, Isabello, byłaś oczywiście wspaniała. Jack, musisz nauczyć się swojej kwestii. Zawsze robiłeś to w ostatnim momencie i chyba nie powinienem się spodziewać, że tym razem będzie inaczej. Ale mógłbyś mieć większy wzgląd na stan mego żołądka. Annę, było nieźle, ale pamiętaj, że Emilia nie jest potulną owieczką.

- Postaram się, Claude - obiecała Annę. - Przypominam sobie, jak to zrobiłam ostatnim razem. Udawałam, że jestem Kate Hardcastle. Czy ty też tak robisz, Isabello?

- Dokładnie tak samo - odrzekła Isabella i było to szczere. Czasami rzeczywiście miała wrażenie, że staje się graną postacią.

- Ale poprzednio było łatwiej - dodała Annę - gdyż Kate była dla mnie osobą godną podziwu i chciałabym być kimś takim.

- Muszę już iść - powiedział Jack. - Obiecałem zabrać Julianę na zimowy spacer, gdy tylko skończy się próba. Prawie się dzisiaj nie widzieliśmy.

- Siedziałeś obok niej podczas śniadania i lunchu - rzekł Claude uśmiechając się złośliwie - a Stanley mówił, że cały czas przechwalałeś się tym bałwanem, którego razem z

nią ulepiłeś przed południem. Ale „prawie się nie widzieliście”. Czyż miłość nie jest zadziwiająca, Isabella?

- Myślę, Claude - delikatnie, lecz stanowczo powiedziała Annę - że nie powinniśmy pokpiwać z biednego Jacka. To nieładnie. Idź do Juliany, Jack. Jestem pewna, że nie może się już ciebie doczekać.

Wyszedł więc, ratując Isabellę przed koniecznością włączenia się do rozmowy. Zabierze Julianę na spacer - pomyślała - i pewnie zechce ją ogrzać swym ramieniem. Z pewnością znajdzie też okazję, by ją pocałować, tak jak to zrobił pod jemiolą w lesie, a potem w salonie.

Jack i Juliana. Jako małżeństwo. Mieszkający razem. Sypiający ze sobą. Mający dzieci. Coraz bardziej ze sobą zżyci. Starzejący się razem.

- Chodź, Isabella - zwrócił się do niej Claude, podając jej ramię - wystarczająco dużo pracowałaś jak na jeden dzień. Zasłużyłaś na herbatę i najśłodsze ciastko ze wszystkich na tacy.

- Och - zaśmiała się. - Proszę mnie tam zaprowadzić, a nie dam się długo namawiać.

Annę szła z jej drugiej strony.

- Pamiętam, że podczas ostatniego przedstawienia pozwoliłam się Alexowi pocałować - rzekła. - Myślałam, że umrę, a przecież to mój mąż. To musi być jedna z najtrudniejszych rzeczy w twojej pracy: pozwalać się całować obcym mężczyznom. Tak jak dziś Jackowi. Chociaż on nie jest dla ciebie całkiem nieznanym, prawda? Babcia mówiła, że poznaliście się już wcześniej.

- Tak. - Isabella się uśmiechnęła. - Znaliśmy się przelotnie wiele lat temu, zanim jeszcze wyjechałam do Francji.

Och, Jack! Przelotna znajomość! Annę zaśmiała się.

- Jacka trudno zapomnieć - rzekła. - Czasami nawet myślę, że jest zbyt przystojny.

Nie, nie zapomniałam Jacka - pomyślała Isabella. Nie zapomniaby go na pewno, nawet gdyby po tej okropnej kłótni już nigdy w życiu nie miała go zobaczyć.

Jack po zakończeniu próby nie znalazł Juliany i już nie widział jej przed obiadem. Po południu przyszli Rosę i Bertrand Fitzgeraldowie, prawdopodobnie chcąc odwiedzić Ruby, Freddiego i swego siostrzeńca Roberta. Na pewno spędzili obowiązkowe dwadzieścia minut w pokoju dziecięcym.

- Chodź, Julie - powiedział Howard do siostry, którą odnalazł w bibliotece pochyloną nad książką. - Fitz i Rosę są w pokoju dziecięcym. Podsunąłem Freddiemu pomysł, by posłać kogoś na plebanię i zaprosić ich do nas. Muszą się tam u siebie straszliwie nudzić. -

Uśmiechnął się niewyraźnie. - My też moglibyśmy zajrzeć do dzieci.

Juliana zmarszczyła czoło.

- Od kiedy tak bardzo lubisz dzieci? - zapytała.

- Nie bądź złośliwa - odrzekł zabierając jej książkę, nie pomyślawszy o tym, by włożyć zakładkę. - Zamierzam znowu zabrać Rosę na przechadzkę, a ty i Fitz jesteście mi potrzebni jako przyzwoitki.

- Ale ja nie mogę iść - zaprotestowała. - Jack chciał pójść ze mną na spacer, gdy tylko skończy się próba.

- Julie - powiedział Howard, ujmując jej nadgarstek i ciągnąc ją, by wstała - próba będzie trwała parę godzin, tak jak przed południem. Zdążymy wrócić dużo wcześniej i jeszcze będziecie mieli z Frazerem czas na to wasze gruchanie. A przy okazji - jesteście już ze sobą po imieniu? Widzę, że robicie postępy. No, chodź. Zrób to dla mnie. Tylko pół godzinki.

Juliana równocześnie miała ochotę i iść, i zostać. Była z siebie zadowolona tego dnia. Ich romans się rozwijał, a ona czuła się swobodniej w towarzystwie Jacka. Była pewna, że do świąt zdąży się w nim zakochać. A jednak perspektywa spędzenia pół godziny z Rosą i Fitzem była kusząca. Podobał jej się wczorajszy spacer i ta krótka wyprawa nad jezioro. Mogła wtedy naprawdę się odprężyć i zapomnieć o wszystkim. I czuła się szczęśliwa.

- Howardzie, nie chcę, by Rosę cierpiała - rzekła. - Czy nie posuwasz się za daleko w tych podchodach? Może ona nie zdaje sobie sprawy, że to tylko przelotny flirt.

Pociągnął ją w kierunku drzwi.

- Julie - rzekł - mam zamiar pospacerować z nią przez pół godziny, i to w towarzystwie jej brata i własnej siostry. Może wepchnę ją w zaspę śniegu. Może, jeśli zrobię to sprytnie, uda mi się skraść jej całusa, tak by nie wzbudzić podejrzeń Fitz'a. Nie sądzę, by - z tego powodu już jutro spodziewała się oświadczyć.

Cóż, to tylko pół godziny - pomyślała Juliana. Nie dłużej. Chciała być gotowa, gdy Jack przyjdzie po nią po próbie. Chciała dla niego ładnie wyglądać. Byłoby fatalnie, gdyby go powitała mając czerwony nos i policzki.

Ale Fitz chciał iść na bagna, by zobaczyć, czy któreś z jeziorzek zamarzło na tyle, by za dzień lub dwa dało się urządzać na nim ślizgawkę. W stajni, jak powiedział, było kilka pudeł wypełnionych po brzegi łyżwami. A potem obaj panowie musieli sprawdzić przy brzegu lód i zawołali damy, by poślizgały się z nimi. Howardowi udało się pociągnąć za sobą Rosę, kiedy się przewracał, tak że całym ciałem upadła na niego. Fitz jednak nie zauważył szybkiego pocałunku, jaki wymienili, gdyż zajęty był jazdą do tyłu i próbował namówić Julianę, by wzięła go za rękę i podjechała do niego.

Następnie Howard zaproponował, by poszli do mostka i obejrzeni ten słynny widok, który rozciąga się stamtąd na Portland House.

Do tego czasu Juliana prawie zapomniała, że powinna wrócić do domu w ciągu pół godziny, no, najwyżej godziny. Mówiła, słuchała, śmiała się i trzymała kurczowo ramienia Fitz, ponieważ jej buty miały zbyt śliskie podeszwy, by mogła iść swobodnie po śniegu. Bawiła się tak dobrze, że nie chciała przyjąć do wiadomości, iż pół godziny już minęło. Poza tym, jak słusznie zauważył Howard, próba na pewno się przedłuży.

Do domu prowadziły dwie drogi, obie jednak zasypał śnieg. Ale Fitz i Rosę dobrze je znali. Howard zasugerował więc, by się rozdzielili: on i Rosę poszliby jedną drogą, a Fitz i Julie - drugą. W ten sposób sprawdzą, która trasa jest krótsza.

Juliana przez chwilę się zastanawiała, czy powinna się na to zgodzić. Ale Fitz nic nie powiedział, choć musiał wiedzieć, że Howard chce przez parę minut zostać sam na sam z Rosę. Jestem głupia - pomyślała. Rosę jest bez wątpienia na tyle dorosła, by nie wiązać jakichkolwiek nadziei z nieszkodliwym flirtem.

Rozdzielili się więc i Juliana zauważyła, że śmieje się i rozmawia z Fitzem tak samo jak przedtem i zamiast iść z nim pod ramię, daje się trzymać za rękę, a jej palce są splecione z jego palcami.

Szybko stracili z oczu Rosę i Howarda, którzy zniknęli za drzewami, i musieli teraz zwolnić, ponieważ brnęli przez zasypany śnieg sięgający im prawie po kolana. Zabawnie było czuć śnieg wpadający do butów.

Wtedy Fitz uściskał dłoń Juliany i zmusił ją, by się zatrzymała. Dziewczyna spojrzała na niego ze zdziwieniem, gdy odwrócił ją i przyciągnął do siebie. Bez słowa ją pocałował, rozchyliwszy usta. Usta Juliany mimowolnie także się rozchyliły i Fitz musnął językiem jej język.

Chwilę potem patrzył już we wzburzoną twarz dziewczyny i śmiał się wesoło.

- To było za wczoraj - rzekł. - Nie miałem odwagi, by zaciągnąć cię pod jemiółę.

Poważnie spojrzała mu w oczy.

Nagle się zawstydził i oparł głowę o jej ramię.

- Nie powinienem był tego robić, prawda?

- Tak - szepnęła.

Natychmiast uwolnił ją ze swych objęć i ruszyli w dalszą drogę. Nie odzywali się już do siebie i nie śmiali. Ale nadal szli ze splecionymi dłońmi.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Do wigilii Bożego Narodzenia pozostał tylko dzień. Spadło jeszcze trochę śniegu, wystarczająco dużo, by pokryć powstałe już zaspę białym puchem. Nadal było zimno, ale przyjemnie rześko, jak zgodnie stwierdzili goście Portland House, zwłaszcza gdy się okazało, że lód na najmniejszym z jeziorzek zamarł i można się po nim ślizgać. Taką opinię wydali doświadczeni zwiadowcy - Fitz, Perry i Stanley - choć dwaj ostatni zaznaczyli, że może na wszelki wypadek należałoby omijać środek jeziora.

Jazda na łyżwach była w Portland House rzadką, lecz bardzo lubianą rozrywką. I jak powiedział Jack - łyżew było tyle, że starczyłoby dla wszystkich i jeszcze sporo by pozostało. Żaden lękliwy członek rodziny czy gość nie mógł się więc wymówić brakiem łyżew od udziału w zabawie. A na dodatek były one we wszystkich rozmiarach.

- Na szczęście mam inne, i to całkiem niepodważalne usprawiedliwienie - rzekła Lisa poklepując znacząco swój okrągły brzusek. - Gdy raz próbowałam nauczyć się jazdy na łyżwach, więcej razy leżałam na lodzie, niż się ślizgałam.

- A Zeb oznajmił, że w tym roku pod żadnym pozorem nie wyjdę na ślizgawkę - powiedziała Hortense z westchnieniem. - Mówiłam, że nigdy w życiu nie przewróciłam się na lodzie, ale on odgrywa pana i władcę. Naprawdę chciałabym, aby zmieniono słowa przysięgi małżeńskiej i żeby to mąż obiecywał posłuszeństwo żonie. Byłoby to znacznie sensowniejsze.

- Ale mniej sprawiedliwe, moja droga - rzekła jej cioteczna babka Emily. - Kobiety mają swoje sposoby, by osiągnąć to, co chcą. Mężczyźni nie znają takich sztuczek. Więc przyrzekamy im posłuszeństwo, dając im w ten sposób poczucie władzy.

- A więc dlaczego nie będę jeździć na łyżwach? - zapytała Hortense.

- Możesz pomagać dzieciom przy wiązaniu łyżew, kochanie - rzekł jej mąż. - Albo dorzucać drewno do ogniska i grzać się przy nim, podczas gdy nam będą marznąć nosy i palce u rąk i nóg.

- Nie mogę się już doczekać tych popołudniowych atrakcji - odparła Hortense przewracając oczami.

Musieli z tym wszystkim czekać aż do popołudnia. Choć księżna lubiła, gdy jej rodzina i goście dobrze się bawili, to jednak sama chciała organizować im rozrywki. Atrakcją miały być dla nich koncert wigilijny i przedstawienie w pierwszy dzień świąt - najważniejsze zatem stały się teraz próby i ćwiczenia przed występem. Rano odbyły się próby wszystkich scen. Pokój muzyczny również był zajęty cały ranek. Poprzedniego dnia bowiem jej

wysokość zauważyła, że właściwie nikt w nim nie ćwiczy, nazajutrz więc wyznaczyła swym muzykom godziny prób, nie licząc się z tym, czy komuś to odpowiada, czy nie.

Po południu jednak można było pojeździć na łyżwach. Na ślizgawkę wybierały się wszystkie dzieci, a także spora grupa dorosłych. Z plebanii przyszli Rosę i Bertrand Fitzgeraldowie. Ognisko i gorąca czekolada okazały się tak dobrym pomysłem podczas zbierania choiny, że postanowiono jedno i drugie powtórzyć.

Wyruszyli więc jak zwykle dużą i wesołą gromadą. Freddie i Bertrand dźwigali razem wielkie pudło z łyżwami. Zeb przerwał bitwę na śnieżki, krzycząc groźnie na dzieci, w tym na swoje bliźnięta, i ostrzegając je, że jeśli dotrą nad jezioro mokre od śniegu, będą suszyć ubrania przy ognisku i tylko przyglądać się jeżdżącym na łyżwach.

Tak więc pochód posuwał się raczej dostojnie.

Jack szedł pod rękę z Juliana. Zaczął ją zabawiać opowieściami o Londynie, wybierając te, które nadawały się dla uszu młodej damy. Dziewczyna niewiele mówiła tego popołudnia, ale Jackowi nie przeszkadzało, że ciężar rozmowy spoczywa na nim. Przynajmniej mógł zająć czymś myśli.

Powinienem spędzać z nią więcej czasu - stwierdził. Choć często z nią przebywał, ciągle wydawało mu się, że ją zaniedbuje. Może było tak dlatego, że wciąż myślał o Belle i o tym, co zdarzyło się między nimi dziewięć lat temu. Zeszłej nocy znowu mu się śniła. Oparłszy dłonie na biodrach, z błyszczącymi oczami, pytała go pełnym pogardy głosem, czy uważa, że on jeden jest w stanie ją zaspokoić. I znowu poczuł na policzkach łzy upokorzenia, gdy wyciągnął do niej rękę i prosił, by przestała. Nie miał przecież doświadczenia - powiedział - oprócz tego, które zdobył przy niej. Co takiego robi źle? Co mógłby dla niej uczynić? Czy jest coś, co mógłby jej dać?

Dzięki Bogu, we śnie nie wszystko było tak jak w rzeczywistości - myślał teraz, jednocześnie rozmawiając z Juliana. Wtedy bez słowa wybiegł z domu.

- Byłaś z bratem, Fitzem i Rosę, kiedy sprawdzali lód i orzekli, że można na nim jeździć? - zapytał.

- Tak - odparła Juliana. - Oczywiście nie mieliśmy łyżew, ale pod nogami lód wydawał się dość gruby. Pokryty był jednak sporą warstwą śniegu.

- Śnieg został zmieciony ze ślizgawki na dzisiejsze popołudnie - rzekł i spojrzał na brata Juliany, który szedł przed nimi, trzymając pod rękę Rosę. - Chyba kroi się jakiś romans, a może tylko flirt - powiedział krzywiąc się. - Byłaś z nimi w charakterze przyzwoitki, Juliano? Jego siostra i twój brat? To musiało być deprymujące... dla nich.

- Wszystko było jak najbardziej niewinne - odparła szybko. - Nie zostali sami ani na

chwilę. A Howard jest dżentelmenem. On... on by jej nie narażał na kompromitację.

Policzki Juliany zaróżowiły się od mrozu. Jack nie wiedział, czy nie zarumieniła się także z zakłopotania. Nakrył ręką jej dłoń.

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości - rzekł. - Tylko tak się z tobą droczę, Juliano. Gdyby Howard miał niecne zamiary, na pewno nie prosiłby ciebie i Fitz'a o towarzystwo. A prosił, jak rozumiem?

- Tak - odrzekła. - I przykro mi, że wróciliśmy tak późno. Ale Fitz... p - pan Fitzgerald chciał pójść nad jezioro, potem Howard zaproponował, byśmy przespacerowali się do mostka, a zasy były głębokie i nie mogliśmy iść szybko. Byłam przerażona, kiedy się zorientowałam, ile czasu nam to zajęło.

Już wczoraj bardzo go za to przepraszała. Jack nie miał jej za złe, że zniknęła. Przynajmniej mógł dojść do siebie po pierwszej próbie z Belle.

Nad jezioro przybyli niemal ostatni. Kiedy tam doszli, kilkoro dzieci już grzebało w pudle z łyżwami. Ruby z energią, jakiej nie powstydziałaby się sama księżna, próbowała zaprowadzić porządek w tym chaosie, każąc wszystkim ustawić się w rzędzie, tak by mogła dobrać każdemu odpowiednią parę.

Te dzieci, które dostały już łyżwy, wołały mamy, by pomogły im przywiązać je do butów. Mamy natychmiast spieszyły na wezwanie. Davy, który pierwszy stanął na niedawno zamiecionym lodzie, próbował wzlecieć do nieba i od razu wylądował na pupie. Jego młodszy kuzyni, nie znający litości, wprost pokładali się ze śmiechu. Jednak zaraz potem spotkał ich podobny los i już nie było im wcale tak wesoło.

- Jutro wszystkich będą bolały ręce i nogi - zauważył Jack, gdy już dostał od Ruby parę łyżew i przymierzał je do bucików Juliany. - Idealne. Ale masz małą stopę! Pomogę ci je przywiązać.

Oczywiście kiedy to robił, mógł przy okazji obejrzeć sobie jej szczupłe, zgrabne kostki, a nawet ich dotknąć - co zrobił niespiesznie i z pełnym uznaniem. Czegoś podobnego można by się spodziewać po rozpustnym dżentelmenie i Jack miał pełną tego świadomość. A jednak zrobił to zupełnie beznamyślnie. Była to dla niego przyjemność estetyczna, pozbawiona wszakże doznań erotycznych.

Była bez wątpienia drobnym, ślicznym dzieckiem. Nie dość na tym. Przypominała laleczkę. Dla Jacka była istotą, której nie pojmował zmysłowo.

- Jeździłaś już kiedyś na łyżwach? - zapytał biorąc ją za rękę, kiedy przywiązał sobie łyżwy. - Mam nadzieję, że nie. - Uśmiechnął się do niej łobuzersko. - Gdyż podczas nauki musiałbym mocno trzymać cię w objęciach.

Spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się promiennie. Ta reakcja go zaskoczyła, ponieważ w drodze na ślizgawkę dziewczyna była raczej milcząca. Wyglądało, jakby specjalnie się zmieniała - pomyślał Jack. Przypomniawszy sobie jej zachowanie w sali balowej, kiedy wieształ dekoracje na żyrandolu, i potem, gdy poszli do salonu, by obejrzeć pęk jemioli.

- Więc może powinnam udawać, że pierwszy raz mam na nogach łyżwy?

Z całą pewnością zachowywała się tak jak tamtego popołudnia - była niemal prowokująco zalotna. Jack przypuszczał, że naprawdę wcale taka nie jest. Zastanawiał się, czy dziewczyna zachowuje się tak, ponieważ on jej się podoba i chce przełamać swą zwykłą nieśmiałość, czy dlatego, że wie, iż ma go poślubić, i stara się przygotować do tego, co czeka ją po ślubie.

Jeszcze dziś muszę się jej oświadczyć - postanowił. Zgodnie z obietnicą nazajutrz miał poprosić ojca Juliany o jej rękę - chyba że ona sama nie chciałaby tego małżeństwa. Jak szybko to wszystko się potoczyło! Jutro! A pojutrze nie będzie miał odwrotu. Już teraz go nie miał.

- Ale tak naprawdę umiesz jeździć na łyżwach? - zapytał prowadząc ją na skraj ślizgawki i stając ostrożnie na lodzie, zanim pomógł jej wejść na taflę. - Tym lepiej więc. Zanuć coś - zatańczymy walca. Tańczyłaś kiedyś walca?

- Tylko z nauczycielem tańca - odrzekła.

- Na lodzie jest to trochę trudniejsze - powiedział. - Musisz być bliżej partnera, tak by wczuć się w rytm jego ruchów.

W jej oczach wyczytał raczej odpowiedź na swój uwodzicielski ton niż na dość śmiałą aluzję zawartą w ostatnich słowach. Wzruszyła go jej niewinność. W ciągu tego tygodnia bardzo ją polubił. I musi polubić jeszcze bardziej. Zanim zejda z lodowiska, dziewczyna na pewno już zmarznie. Będzie więc mógł przy ognisku otoczyć ją ramieniem i przytulić. A potem, gdy już oboje wypiją gorącą czekoladę, wszyscy będą wręcz oczekiwali, by zabrał ją między drzewa i pocałował.

Tym razem nie może zakończyć na tych grzecznych pocałunkach, które do tej pory wymienili. Do jutra chciał oprócz sympatii poczuć do niej także fizyczne pożądanie. Gdyby jej pragnął - pomyślał - gdyby działała mi na zmysły, poczułbym się pewniej. To by jakoś rokowało na przyszłość. Gdyby ją lubił i pożądał jej, to małżeństwo mogłoby być udane.

Ale bez względu na to musi się z nią ożenić.

Przez chwilę jeździli powoli, trzymając się za ręce i „przyzwyczajając się do swych nowych nóg”, jak powiedział Alex. Większość dzieci nie umiała jeździć na łyżwach, ale wszystkie śmiało próbowały stawiać kroki na lodzie i wykonywać posuwiste ruchy, trzymając

się ręki kogoś dorosłego albo poły jego płaszcza. Davy zapomniał już o swym początkowym upokorzeniu i teraz popisywał się, jeżdżąc szybko i wykonując nawet kilka niezgrabnych piruetów. Meggie i Kitty oraz Jacqueline i Marcel stali dość pewnie na lodzie, ale poruszali się ostrożnie. Kenneth chwiał się na łyżwach, lecz Meggie i Kitty, które wzięły go między siebie, trzymały go za rączki.

Wszyscy dorośli umieli jeździć na łyżwach. Connie i Sam, nie obarczeni jeszcze dziećmi, trzymali się za ręce podczas jazdy, podobnie zresztą jak Howard i Rosę - zauważył Jack. To jeszcze jedna para - pomyślał - która przed powrotem do domu zechce skryć się za drzewami. Miał nadzieję, że Howard tylko flirtuje z Rosę, a nie zamierza jej uwieść. Jack lubił Rosę. Oczywiście w tych warunkach uwiedzenie było mało prawdopodobne - na dworze panował dotkliwy chłód, a ziemię pokrywał śnieg.

Isabella najpierw jeździła ze Stanleyem i Celią, a potem z Perrym i Fitzem. Jack starał się na nią nie patrzeć i nie myśleć o niej - tak jak w drodze nad jezioro. To naturalne, że zobaczywszy ją po tylu latach, czuł się przez kilka dni rozstrojony. Jak również zrozumiałe było to, że znowu jej pragnął. Była niezwykle piękną kobietą, a jego pociągały ładne niewiasty. Niebawem nie będzie sobie mógł na to pozwolić. Byłoby karygodne, gdyby uganiał się za innymi kobietami, mając Julianę za żonę.

Tak, będzie musiał się tego szybko oduczyć. Próbował stłumić w sobie obezwładniającą świadomość, że Belle jest w pobliżu.

Wszystko zdarzyło się bardzo szybko - jak zwykle w takich przypadkach.

Dzieci dostały wyraźne polecenie - powtórzone kilkakrotnie - by trzymały się skraju jeziora i nie ważyły się wyjeżdżać na środek. Łódź był wprawdzie mocny na całej powierzchni - stwierdzili między sobą dorośli - ale lepiej zachować ostrożność, kiedy ma się do czynienia z gromadą rozbrykanych dzieciaków. Każde dziecko było więc dobrze pilnowane.

Nic nie powinno się stać.

Ale jak to się czasami zdarza, jedno z dzieci, zbyt małe, by zrozumieć ostrzeżenia, na chwilę wyrwało się spod kontroli. Kenneth puścił ręce Meggie i Kitty, by pojechać za Robertem i Freddie, ale nie mógł ich dogonić, gdyż trochę się ślizgał, a trochę czołgał po lodzie. A potem wypatrzył sierpowatą zaspę śniegu, nawiewanego przez wiatr, i ruszył w jej kierunku. Akurat nikt na niego nie patrzył. Alex i Annę pomagali Catherine zrobić „jaskółkę”.

Jednak żaden maluch nie mógł na długo zniknąć z oczu innym. Marcel zauważył Kennetha i zawołał go swoim wysokim, przenikliwym głosem.

- Wracaj, Kenneth! - krzyknął. - Nie wolno nam się oddalać.

Choć jego okrzyk zwrócił uwagę kilku dorosłych, Marcel uznał, że sam może zająć się takim malcem jak Kenneth. Szybko więc pojechał za nim.

- Zabiorę cię do tatusia - rzekł. - Weź mnie za rękę. Nic ci nie grozi.

Isabella krzyknęła. Annę obiema dłońmi zakryła usta i skamieniała z przerażenia. Alex wrzasnął i pospieszył w kierunku dzieci.

Wydawało się jednak, że wszystko będzie w porządku. Kenneth, dla którego Marcel w ciągu ostatnich dni stał się sporym autorytetem, zaśmiał się i posłusznie chwycił go za rękę.

Marcel odwrócił się i uśmiechnął.

- Nic mu nie jest! - zawołał. - Jest ze mną całkiem bezpieczny.

Ale w chwili, gdy to mówił, rozległ się głośny trzask podobny do strzału z pistoletu. Alex wrzasnął ponownie. Dały się słyszeć także okrzyki innych. Marcel popchnął Kennetha po lodzie i skierował go w stronę Alexa, który zdążył go złapać w momencie, gdy rozległ się kolejny trzask i Marcel po pas wpadł do wody. Rękami w rękawiczkach uchwycił się tafli lodu, a jego oczy zrobiły się wielkie jak spodki.

- Nie ruszaj się! - krzyknął Jack. - Alex, zabierz Kennetha na brzeg. Nie ruszaj się, Marcel!

Bez chwili wahania rozerwał rzemienie, ściągnął łyżwy i palto, rzucając je za siebie. Cały czas zbliżał się do chłopca. Nie spuszczał z niego wzroku i Marcel także utkwiał w nim spojrzenie.

- Tylko się nie ruszaj. - Jack położył się na lodzie, wyciągając w bok ręce i nogi, by rozłożyć ciężar na jak największej powierzchni. Potem cal po calu zbliżał się do niebezpiecznego pęknięcia w lodzie i do przerębla, w którym po pachy tkwił Marcel. - Spokojnie. Idę po ciebie.

Przemawiał do niego cicho, jak gdyby nigdy nic. Chwilę potem mocno złapał chłopca za rękę.

- Tylko spokojnie - rzekł. - Nie próbuj mi pomagać. Pociągnął malca ku sobie, używając więcej siły, niż zamierzał, by jednym szarpnięciem cofnąć się poza krawędź lodu.

- Dobry chłopiec. O, tak. Jeszcze chwila i będziesz bezpieczny.

Wiedział, że lód zaraz się załamie. Czuł to. Choć wymagało to wielkiego samozaparcia, poruszał się wolno, by uratować chociaż dziecko. W momencie gdy Marcel został wyciągnięty z wody i spoczywał płasko na lodzie.

Jack kątem oka zauważył, że od miejsca, gdzie leżał, błyskawicznie rozeszły się zygzakowate pęknięcia.

Mocno odepchnął chłopca od siebie i rzucił go po lodzie w stronę, gdzie - jak się

wydawało - czekał już na malca tuzin wyciągniętych rąk. Jack zapomniał o tych wszystkich ludziach na ślizgawce i nie słyszał hałasu, jaki musieli robić - jeśli go w ogóle robili. Bo może stali w milczeniu, wstrzymując oddech z przerażenia.

Ale zanim zdążył o tym pomyśleć, wpadł po głowę do lodowatej wody. Wynurzył się z niej, łapiąc powietrze i w panice myśląc, że już nigdy nie nabierze go w płuca - szok spowodowany gwałtownym ochłodzeniem ciała może przecież wywołać atak serca.

Ale inni nie przyglądali się temu beczynnemu. Alex, a za nim Freddie posuwali się w jego stronę, by z jak najmniejszej odległości rzucić mu linę zrobioną z powiązanych szalików.

- Złap ją, Jack! - krzyknął Alex. - Wyciągniemy cię. Tylko nie wpadaj w panikę, na miłość boską!

Wbrew pozorom wcale nie było łatwo uchwycić mocno szalik zgrabiałymi w zimnej wodzie palcami. Ale byłoby bezdenną głupotą utonąć w najmniejszym z tutejszych jeziorek - pomyślał Jack. Już jako dziesięcioletni chłopcy gardzili tym bajorkiem i nie chcieli w nim pływać, gdyż nawet na środku woda zaledwie zakrywała im głowy, i to wtedy, gdy stali wyprostowani. Utopić się tu byłoby takim samym wstydem, jak utonąć w wannie.

Siłą woli zmusił się, by zacisnąć palce na szaliku. Potem zrobił to samo, co rozkazał wcześniej Marcelowi - rozluźnił mięśnie i pozwolił się wyciągnąć. Kiedy wreszcie stanął na lodzie, wcale nie poczuł się pewniej. Pomyślał, że teraz, gdy już nie grozi mu utonięcie, może umrzeć z zimna.

- Do ogniska, człowieku! - ponaglił go Alex. - I zdejmij z siebie wszystko, co się da.

- Dzięki Bogu, rozpaliliśmy ognisko - rzekła Annę trzymając w ramionach Kennetha. - Och, Jack. Kochany Jack.

Ona płacze - zauważył Jack. Ale nie słyszał, co mówiła. Zbyt głośno szczekał zębami z zimna. Nigdy w życiu nie było mu tak zimno i nigdy nie przypuszczał, że można tak przemarznąć i nie umrzeć.

- Mmmarcel? - zapytał.

- Jest już przy ognisku - odrzekł Alex, pospiesznie ciągnąc go w tamtym kierunku. Freddie popychał go z drugiej strony, co Jack uświadomił sobie dopiero po chwili. - Isabella od razu go tam zabrała.

Ręce Jacka były tak zgrabiałe, że nie mógł nic nimi zrobić. Gdy podszedł do ogniska i poczuł na twarzy błogosławione ciepło, Alex, Freddie i Ruby ściągnęli z niego surdut, kamizelkę i koszulę, a Hortense - nie mogąc przestać szlochać - zdjęła płaszcz i energicznie narzuciła na ramiona brata, by wytrzeć go od pasa w górę.

- Co bym powiedziała mamie? - wyszlochała. - A Zeb mówi, że nie powinnam się

denerwować. Co ja bym powiedziała mamie?

- Źże uttonnąłem w łyżce w wody, Hhortie - odrzekł.

- Lepiej nic nie mów, Jack - stwierdziła Ruby jak zwykle stanowczym głosem, całkowicie panując nad sytuacją. - Masz. Wypij czekoladę. Nie, sam nie utrzymasz filiżanki. Ja ci podam.

Musiał znieść to upokorzenie i dać się napoić. Jego zęby dzwoniły o brzeg filiżanki, a kilka kropli napoju spłynęło mu po brodzie. Poczul ich ciepło na twarzy, a w przełyku i żołądku rozlało mu się przyjemne gorąco. Ktoś okrył go cudownie suchym paltem, a żar bijący od ogniska sprawił, że ciało Jacka zaczęło tajać, choć nadal było mu straszliwie zimno i mokro od pasa w dół.

Wreszcie zaczął przychodzić do siebie. Juliana stała z tyłu i wyglądała na przestraszoną. Fitz otoczył ją ramieniem. Kilkoro dzieci płakało. Ruby nalala mu kolejną filiżankę czekolady. Sądząc po matczynym wyrazie jej twarzy, zamierzała dopilnować, by wypił wszystko do dna. Belle klęczała przy ognisku, owinawszy Marcela od stóp do głowy swym płaszczem - Jack domyślił się, że dziecko zostało rozebrane do naga - i poila go czekoladą. Pochylała głowę nad synkiem. Widać było, że w tej chwili nikt poza nim dla niej nie istniał. Jacqueline stała cichutko obok nich, a jej oczy były zaczerwienione. Gdybym miał władzę nad swym ciałem i głosem - pomyślał Jack - zawołałbym ją i przytulił. Wyglądała tak bezradnie.

Tymczasem Freddie - drogi, szarmancki Fred - nie czekając na aprobatę Ruby zdjął płaszcz i okrył nim Belle. Podniósł ją na nogi, otoczył ramieniem i pospiesznie skierował w stronę domu.

Jacqueline stała i patrzyła za nimi.

- Jak myślisz, Jack, możesz iść?

W głosie Alexa słychać było niepokój.

- A jeśli nie będę mógł - zauważył Jack - przerzucisz mnie przez ramię, stary druhu? Myślę, że dam radę.

Rzeczywiście, udało mu się - stanął na zdrętwiałych z zimna nogach, a Alex i Ruby włożyli mu płaszcz i zapięli guziki. Potem zaczęli iść w stronę domu, a milcząca Jacqueline dreptała obok. Za nimi podążyła przejęta rodzina - niczym kondukt żałobny, pomyślał Jack.

- Byłeś niezwykle odważny - rzekła Juliana. - Nigdy w życiu tak się nie bałam. Uratowałeś Marcelowi życie.

- A on ocalił Kennetha - odparł Jack. - Musimy podziękować naszemu małemu bohaterowi, gdy tylko odtaje w domu.

- Czym prędzej wysłaliśmy do domu służącego z poleceniem, by przygotowano dla was gorącą kąpiel - rzekł Perry.

- To brzmi bosko - odparł Jack.

Nagle poczuł, że ktoś trącił go w bok, spojrzał więc w dół i zobaczył Jacqueline drepczącą ze spuszczoną głową.

- Jacqueline. - Dotknął czubka jej głowy. - Twój brat jest już bezpieczny, moja mała. Tylko trochę przemarzł. Ale wkrótce się rozgrzeje.

Zaskoczył go smutek, który zauważył w jej oczach, gdy na niego spojrzała.

- Bałam się, że umrze - powiedziała. - Mama nazywa go naszym promyczkiem i tak jest naprawdę. Tak się bałam, że umrze. A potem się przestraszyłam, że panu też coś się stanie. Nie chciałam, aby pan umarł.

Zaszlochała rozpaczliwie.

- Chodź, Jacqueline. - Annę podeszła do niej z drugiej strony i przemówiła ciepło: - Weź mnie za rękę, kochanie. Pójdziemy do mamy i Marcela, gdy tylko wrócimy do domu. To bardzo dzielny chłopczyk, ten wasz promyczek.

Jack przystanął. Pochylił się i wziął Jacqueline na rękę. Dziewczynka objęła go za szyję i przytuliła się, a gdy szedł, schowała twarz w kołnierzu jego płaszcza.

- Nie dałbym mu zginąć - szepnął jej do ucha. - Nie było prawdziwego niebezpieczeństwa, tylko to okropne zimno.

Zrobiło mu się cieplej, mimo że nadal miał wilgotne spodnie, pończochy i buty. Zrobiło mu się cieplej, kiedy ją przytulił.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Marcel po powrocie do domu wcale nie chciał położyć się do łóżka i spać. Prosił, by przebrano go w suche ubranie i pozwolono mu się bawić. Ale bardzo przemarzył i Isabella widziała, że stawał się coraz senniejszy, kiedy tak siedział w wannie, a ona polewała go gorącą wodą.

- Nie mogłybyśmy mieć odważniejszego mężczyzny w rodzinie - rzekła uśmiechając się do niego.

Zaczęła już odczuwać efekty szoku, jaki przeżyła.

- To nic takiego, maman - odparł ziewając szeroko. - Kenneth jest jeszcze malutki i nie wiedział, że źle robi. Nie dostanie w pupę, prawda?

- O, nie - odrzekła. - Jego rodzice są szczęśliwi, że jest cały i zdrowy.

Mały Marcel. Sam był niewiele starszy od Kennetha. Miał zaledwie pięć lat. Maurice byłby z niego dumny.

Marcel protestował trochę, kiedy go wytarła i przebrała, ale usiadł na brzegu łóżeczka i ziewając oznajmił, że może położyć się na chwilę i spróbuje zasnąć, by sprawić przyjemność maman. Wypił gorące mleko, które przysłała księżna, skrzywił się, gdyż miało dziwny smak – Isabella domyśliła się, że był w nim jakiś środek - i natychmiast się położył.

Lecz Annę wpadła do pokoju, zanim zdążył zasnąć. Za nią przybiegł Alex.

- Nie śpisz jeszcze, Marcel? - zapytała Annę nachylając się nad nim i ściskając go serdecznie, gdy tylko zauważyła, że chłopiec nie śpi. - Jesteś bardzo, bardzo dzielny. Uratowałeś naszego synka i zawsze cię będę za to kochać.

- To nic takiego, ciociu Annę - odrzekł Marcel rozkosznie zaspany.

- Ależ to wielka rzecz - stanowczo powiedziała Annę. - Teraz musisz się przespać, a później wszyscy będą chcieli cię uściskać, ty nasz bohaterze.

- To dopiero perspektywa. - Alex uśmiechnął się i wyciągnął do chłopca prawą dłoń. - Całusy zostawmy paniom. Chciałbym uścisnąć ci rękę, Marcel, i powiedzieć, że to był akt niezwyklej odwagi.

Marcel podał mu rączkę - wyglądał, jakby za chwilę miał pęknąć z dumy.

- Dziękuję, że ocaliłeś życie mojemu synkowi - dodał Alex. - To najlepszy prezent, jaki mógłbym dostać na Boże Narodzenie, i nigdy go nie zapomnę.

Nie zostali dłużej. Annę, wzruszona do łez, uścisnęła Isabellę i wyszli.

Marcel zasnął w ciągu kilku minut, głaskany przez matkę po główce. Isabella siedziała

potem jeszcze chwilę, patrząc na niego i próbując odpędzić od siebie wspomnienie pękającego lodu i Marcela wpadającego do wody. I tej strasznej, niemal wiecznie trwającej chwili, gdy Jack podczołgał się do niego i w ostatnim momencie go wyciągnął.

Jack! Widziała, jak załamał się pod nim lód. Widziała, jak zniknął pod wodą. Częstką siebie widziała i słyszała, że został wyciągnięty i doprowadzony do ogniska. Lecz całkowicie opanowała ją instynkt macierzyński. Cała jej uwaga skoncentrowana była na synku.

Nawet Jacqueline przestała dla niej istnieć. Poczła wstyd, uświadomiwszy sobie, że gdy zdarzył się ten wypadek, zapomniała o córce. A Jacqueline nie była oczywiście dzieckiem, które domagałoby się uwagi.

Marcel na pewno będzie spał kilka godzin. Isabella pochyliła się, by pocałować go w czoło, a potem wstała.

Odnalazła Jacqueline w sypialni, którą dzieliła z trzema innymi dziewczynkami. Siedziała ze skrzyżowanymi nogami na łóżku, ściskając poduszkę. Isabella usiadła przy niej i objęła córeczkę ramieniem.

- Śpi teraz w cieple - rzekła. - Pewnie bardzo się przestraszyłaś, *cherie*, tak jak ja.

- Tak, mamusiu - odparła dziewczynka.

- A mnie przy tobie nie było. Zajął się Marcelem, by jak najszybciej rozgrzać go i zabrać do domu - powiedział Isabella. - Przepraszam, Jacqueline.

- Nie ma za co, mamu - odrzekła. - Wiem, że gdyby chodziło o mnie, zrobiłabyś to samo. Marcel jest bardzo dzielny. Wszyscy to mówią.

- Tak, to prawda - potwierdziła Isabella. - To szczęście, że go mamy, czyż nie?

- Tak - rzekła Jacqueline. - Jest naszym promyczkiem.

Isabella uśmiechnęła się i uścisnęła córkę. Często nazywała tak Marcela. A Jacqueline - duszą rodziny.

- Wróciłaś do domu z innymi dziećmi? - zapytała.

- Pan Frazer mnie przyniósł - odpowiedziała dziewczynka. - Wziął mnie na ręce, a ja objęłam go za szyję. Przytulił mnie, bo było mi smutno.

Isabelli zrobiło się słabo. Jack! Uratował jej synka, a potem pocieszał jeszcze jej córkę!

- Nie przespałabyś się trochę? - zaproponowała. - Na pewno dobrze by ci to zrobiło.

- Miałam zamiar poczytać Catherine - rzekła Jacqueline. - Lubię to robić, mamu, a ona lubi słuchać.

- No, dobrze. - Isabella jeszcze raz ją uścisnęła i pocałowała. - Wobec tego zobaczymy się później. Wiesz, że kocham cię tak mocno jak Marcela?

- Tak, mamusiu - poważnie odparła córka. - Wiem. A więc - pomyślała Isabella chwilę później, zamykając za sobą drzwi dzieciennego pokoju - zostało mi jeszcze tylko jedno do zrobienia. Uratował Marcelowi życie, ryzykując swoje własne. Wzięła głęboki oddech. Wielkie nieba, mógł przecież zginąć. Zajęta Marcelem odwróciła się doń plecami, jakby jego życie nic dla niej nie znaczyło. Nie poświęciła mu ani chwili uwagi.

Mógł zginąć za Marcela. Za jej synka. Zadrżała i zmusiła się, by zejść po schodach.

Jack leżał na łóżku, splótłszy dłonie pod głową. Wbił pięty w materac, a stopy ustawił prosto, tak że palce u nóg unosiły nieco kołdrę, tworząc z niej mały namiot. Rozsunął nogi, by powiększyć namiot. Potem ziewnął, mając nadzieję, że robi to ze zmęczenia, podczas gdy w rzeczywistości był to efekt nudy.

Na stoliku obok łóżka stała do połowy opróżniona szklanka mleka - na co mu przyszło! Co prawda mleko było wzmocnione odrobiną brandy i przez to trochę smaczniejsze, ale podejrzewał, że jeszcze coś tam dodano. Czuł jakiś gorzki smak i był pewien, że się nie myli, zwłaszcza że babka przyznała, iż sama je przyrządziła.

Nie chciał być traktowany jak dziecko tylko dlatego, że uważano go za bohatera. Wellington nie był bardziej entuzjastycznie witany po powrocie spod Waterloo niż ja po powrocie ze ślizgawki - pomyślał. Skrzywił się na samo wspomnienie. Matka dostała waporów i trzeba było ją ratować. Co by zrobiła bez swej jedynej pociechy i podpory? - zawodziła w kierunku złoconego sufitu, gdy tylko zaczęła odzyskiwać przytomność. Z upodobaniem powtarzała, że popadłaby w biedę i skończyła w przytułku, gdyby jej syn był tak niefrasobliwy i umarł przed nią. W rzeczywistości miała spory majątek i własny imponujących rozmiarów dom w Londynie. No, i w razie czego byli jeszcze Hortie i Zeb.

Jack ziewnął, aż zatrzeszczało mu w szczęce. A więc leżał sobie, otoczony nimbem bohatera. Zapędzono go do łóżka i nie śmiał wstawać z niego aż do obiadu. Dziadek pohukiwał, babka działała, a matka chlipała. Posłusznie więc powłókł się do swego pokoju.

Przez krótką chwilę żałował, że nie spędza świąt z Reggiem i jego ślicznotkami. Gdyby tam pojechał, też byłby teraz w łóżku, ale na pewno by się nie nudził.

Wreszcie zrobiło mu się cieplej. Kąpiel była boska - nikt by nie przypuszczał, że rajem może być dla kogoś wanna z gorącą wodą, a nie kwieciste łąki z aniołami grającymi na harfach. Musiał też przyznać, że uczucie to potęgują niezliczone warstwy koców, którymi przykryła go babka i które przygniatały go teraz. Może nawet poczuł się trochę śpiący? Czas szybciej by minął, gdyby udało mu się zdrzemnąć godzinę albo dłużej.

Obudził się jednak natychmiast, gdy usłyszał pukanie do drzwi - pewnie ktoś przyniósł węgiel, by dołożyć do kominka, albo chciał położyć dłoń na jego rozpalonym czole.

Ktokolwiek to był, nie wszedł, lecz zapukał jeszcze raz.

- Proszę! - zawołał i odwrócił głowę, by spojrzeć, kto to.

Otworzyła po cichu drzwi, weszła do środka, zamknęła je za sobą i zatrzymała się niepewnie.

- Powiedziano mi, że śpisz - rzekła. - Więc odparłam, że porozmawiam z tobą później.

Ale szłam do swojego pokoju i pomyślałam sobie...

- Belle - powiedział - wyglądasz, jakbyś za chwilę miała zemdleć.

Pospiesznie przemierzyła pokój i stanęła obok łóżka, patrząc na niego.

- Muszę ci podziękować - rzekła. - Mógł zginąć. Mógłby być teraz martwy i zimny. -

Zaczerpnęła powietrza, próbując się opanować. - Zawsze będę twoją dłużniczką.

- To brzmi nader obiecująco - zażartował.

Lecz jej twarz była blada, a oczy - smutne. I nawet nie skarciła go za te niepoważne słowa.

- Belle. - Wyciągnął do niej dłoń, a ona ujęła ją i przytuliła do swego policzka.

- Jack. - Zamknęła oczy. - Zwykle „dziękuję” nie wystarczy, by wyrazić moją wdzięczność. Mogłeś stracić życie. Niewiele brakowało.

- Nonsens - odparł. - To bajorko jest dość płytkie, Belle. Musiałbym się bardzo starać, by w nim utonąć. To była tylko zimna kąpiel. Nic poważniejszego.

- Jack - rzekła nie otwierając oczu - nie pomniejszaj tego, co zrobiłeś. Mogłeś zginąć za mojego syna.

Odwróciła nieco twarz, by ucałować wierzch jego dłoni.

- Belle - usłyszał własne słowa - podejdź do drzwi i przekręć klucz.

Na pewno się nie zgodzi i odejdzie. I będzie po wszystkim. Na szczęście. Nie potrzeba mu czegoś takiego. I jej też.

Puściła jego rękę i cicho przeszła przez pokój, by zamknąć drzwi na klucz - i te wiodące na korytarz, i te do garderoby. A potem podeszła do łóżka i spojrzała na niego łagodnie i bez sprzeciwu.

Wielkie nieba! Nagle zdał sobie sprawę, że gotowa była spłacić dług, o jakim mówiła, i to w sposób, jaki on określił.

- Nie to miałem na myśli - rzekł wyciągając dłonie i obejmując ją w pasie. Przeniósł ją nad sobą i położył po drugiej stronie łóżka. Następnie przykrył kocem, by nie zmarzła. Trzymał rękę pod głową Belle i obejmując jej ramiona, odwrócił ją do siebie. Między nimi piętrzyła się wielka góra koców.

Delikatnie pocałował Belle w usta, policzki i oczy.

- Nie to miałem na myśli, Belle - powtórzył szeptem. - Nigdy bym cię do tego nie zmuszał. I nigdy tego nie robiłem. Zawsze było to zgodne z twoją wolą, prawda? Nigdy nie robiłaś tego dla pieniędzy?

Żałował, że zadał to pytanie. Odpowiedź mogła go zabić.

- Nigdy nie działało się to wbrew moim chęciom. - Patrzyła mu prosto w oczy w ten swój zwykły sposób. Objęła go w pasie poprzez warstwę koców. - Przecież wiesz, że tak było. Och, wiesz, że nie dla pieniędzy.

A więc dlaczego? Ale nie wypowiedział głośno tego pytania. Wszystko jedno - wcale nie chciał wiedzieć.

Leżeli tak wygodnie, w ciepłe, i patrzyli na siebie. Mógłbym od razu zasnąć - pomyślał Jack z pewnym zdziwieniem. To, że Belle spoczywała w jego łóżku, tym razem go nie podniecało. Było w tym jednak coś bardziej uwodzicielskiego i niebezpiecznego. Ale nie chciał myśleć o niebezpieczeństwie. Nie teraz. Chciał korzystać z tego przedziwnego daru losu i nie zastanawiać się nad nim, by nie uronić nic z jego czaru.

- Belle? - Przesunął dłonią od jej czoła po tył głowy, gładząc jedwabiste złote włosy. Nie chciał o to pytać. Ale musiał sięgnąć do przeszłości. Chciał to zrozumieć, by móc dalej żyć i zostawić za sobą ten ból, który mu towarzyszył przez dziewięć lat.

- Co?

- Dlaczego to zrobiłaś? - zapytał. - Musiałaś wiedzieć, że będę żałował tego, co powiedziałem, i że będę potrzebował twego przebaczenia. Musiałaś wiedzieć, jaki to był dla mnie cios, gdy po powrocie nie zastałem cię w domu, a tyle rzeczy wymagało wyjaśnienia. Dlaczego ode mnie odeszłaś?

Przez chwilę myślał, że Belle nie odpowie. Ale wreszcie się odezwała.

- Był na to najwyższy czas, Jack - rzekła. - Wszystko, co dobre, skończyło się. Zaczęłaś mnie niszczyć. By jeszcze uratować poczucie godności i wiarę w siebie, musiałam odejść. Nie mogłam tak po prostu z tobą zerwać. Nie miałabym dość siły na to. Musiałam wyjechać tam, gdzie byś mnie nie znalazł i skąd nie mogłabym do ciebie wrócić.

- Ja cię niszczyłem. - Dłoń, którą gładził jej włosy, zastygła. - Czy wiesz, jaką męką była dla mnie myśl, że nie jesteś mi wierna? To, że ci nie wystarczam?

Wreszcie zamknęła oczy.

- Często mówi się okropne rzeczy, by zranić tych, których się kocha - rzekła. - Jack, byłeś dla mnie jedynym mężczyzną. Zawsze.

- A więc dlaczego? - zapytał cicho. Słyszał ból w swoim głosie. Chyba stracił już całą dumę. - Po co ci więc byli inni mężczyźni?

- Powiedziałaś mi wtedy to, co chciałem usłyszeć - odparła otwierając ponownie oczy.
- Nigdy mi nie wierzyłeś, kiedy temu zaprzeczałam. I w tej ostatniej, okropnej kłótni chciałam zadać ci ból. Chciałam cię zranić tak głęboko, jak ty raniłeś mnie całymi tygodniami, a nawet miesiącami. Chyba mi się to udało.

- Co ty mówisz?! - szepnął znowu.

- Jack - rzekła. - W swoim życiu byłam tylko z dwoma mężczyznami. Tym drugim był mój mąż.

Teraz on zamknął oczy. Powinien odczuć ulgę, zadowolenie, triumf, szczęście. Ale doznał tylko straszliwego bólu - bólu, który był niebezpiecznie blisko rozpacz. Zwykłe kłamstwo zniszczyło wszystko i zmarnowało mu dziewięć lat życia. A teraz? Nie było żadnego „teraz” - no, może tylko ta chwila. Nie było niczego poza tym pokojem i tą minutą. Nie było jutra.

- A ci przede mną? - zapytał.

- Przed tobą? - W jej głosie było zdziwienie. Nie musiał otwierać oczu, by to wiedzieć.
- Przecież wiesz, że przed tobą nie miałam nikogo, Jack. Byłam dziewicą, wiesz o rym.

Otworzył szeroko oczy.

- Nie wiedziałeś? - Jej źrenice się rozszerzyły. - A to moje zawstydzenie, ból... Krew na prześcieradle.

- Skąd mogłem wiedzieć? - zapytał. - To także był mój pierwszy raz. Krew? Nie zauważyłem jej. Od razu bardzo starannie zaścieliłaś łóżko.

Patrzyli na siebie przez chwilę i oboje zaśmiali się nerwowo.

- Ale dlaczego? - zapytał, kiedy już się uspokoili. - Byłaś w aż tak rozpaczliwej sytuacji, Belle? Czy to była straszna decyzja - by mi się sprzedać?

- Miałam środki do życia - rzekła. - I wreszcie robiłam to, o czym zawsze marzyłam i co zawsze mnie pociągało. Poszłam z tobą, bo tego chciałam. Bo cię ko... Och, dlaczego tego nie powiedzieć? Oddałam ci się, bo cię kochałam i byłam głupią, beznadziejną romantyczką. Kochałam cię bardziej niż jakiegokolwiek mężczyznę, Jack, nawet bardziej niż... Cóż, byłam bardzo przywiązana do Maurice'a, a on był dla mnie dobry.

Objął mocniej jej ramiona, a drugą dłonią przyciągnął jej podbródek i oparł na swej piersi.

- Nie wiedziałem tego, Belle - rzekł. - Bóg mi świadkiem, nie wiedziałem. Tak jak ty pewnie nie wiedziałaś, że byłaś moją jedyną miłością i całym życiem.

- Nie.

Słowo to, wypowiedziane szeptem, było ledwo słyszalne.

- Czy to możliwe? - rzekł. - Byliśmy ze sobą cały rok. Rozmawialiśmy. Łączyło nas nie tylko łóżko. Rozmawialiśmy i śmialiśmy się. Czy nigdy nie mówiliśmy o poważnych sprawach? Jak mogliśmy nie wiedzieć o sobie najważniejszych rzeczy?

- Byliśmy młodzi - odparła.

- Czy to dlatego? - Zanurzył twarz w jej włosach i pocałował ją w czubek głowy. - Czy mądrzej się z wiekiem?

- Nie wiem - odrzekła.

Zamilkli na chwilę. Jack zaczął się zastanawiać, czy ktoś wie, że są razem w jego pokoju. Byłoby fatalnie, gdyby ktoś się domyślił. Alex podbiłby mu oczy, złamał nos i wybił wszystkie zęby - i to tylko na rozgrzewkę. Ale Jacka tak naprawdę nie obchodziło, co ktoś sobie pomyśli. Belle nie była tu dla jego przyjemności. To w ogóle nie było przyjemne.

- To wszystko moja wina - rzekł. - Byłem niezdolnie zaborczy. Nękała mnie zazdrość o wszystkich i wszystko, co odciągało cię ode mnie. Byłem zazdrosny o twoją karierę i rosnącą sławę. O mężczyzn, którzy cię podziwiali i zresztą mieli do tego powody. To wszystko przeze mnie.

- Nie, Jack. - Potrząsnęła głową na jego piersi. - Często zachowywałam się egoistycznie. Byłam ambitna i czasami wracałam późno do domu, bo wiedziałam, że na mnie czekasz. Myślałam, że mogę mieć ciebie i świat u stóp. Jeszcze wtedy nie wiedziałam, że w życiu najważniejsi są ludzie. Musiałam grać, to się liczyło - i nadal się liczy - ale nie powinno dominować. Wtedy cię okłamałam. A potem odeszłam, nie zostawiwszy nawet listu, by wyjaśnić, dlaczego skłamałam. Chciałam, żebyś cierpiał, tak jak ja cierpiałam.

- Och, Belle - rzekł tylko.

- Więc to nie tylko twoja wina - powiedziała. - I nie tylko moja. Myślę, że oboje jesteśmy za to odpowiedzialni i oboje zostaliśmy skrzywdzeni.

Leżeli mocno objęci, jakby chcieli w ten sposób zniszczyć całe zło, którego doznali.

- Tak czy owak, to nie mogło dłużej trwać - rzekła. - Prędzej czy później musiałyby się skończyć. Byłam twoją kochanką, a to, że postanowiłam zostać aktorką, zniweczyło wszelkie moje pretensje, by być szanowaną osobą. Byłeś wnukiem księcia. Nie róbmy z tego tragedii, Jack. Szkoda tylko, że nie wyjaśniłam ci tego wcześniej. Żałuję też, że nie rozstaliśmy się w zgodzie.

- Nie moglibyśmy rozstać się w zgodzie - zauważył.

- Chyba masz rację. - Westchnęła. Podniosła głowę, spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się. - To było dawno, dawno temu. Poszliśmy innymi drogami. Każde z nas ma teraz własne życie. I to szczęśliwe.

- Tak - potwierdził.

- Teraz będziemy mogli miło wspominać tamten rok - rzekła. - To zawsze coś.

- Uhm - zgodził się.

- Cieszę się, że to ty uratowałeś dziś Marcela - powiedziała. - Będę myślała o tym z wdzięcznością. I to ty przyprowadziłeś Jacqueline do domu. Przyniosłeś ją. Powiedziała mi, że przytuliła się do ciebie. W ogóle byłeś dla niej dobry w ciągu tych kilku dni.

- Kocham ją - rzekł zaskoczony tym wyznaniem. - Pewnie dlatego, że jest twoją córką. I dlatego, że jest taka niezwykła.

- Tak. - Isabelli zaszkliły się oczy i na chwilę przygryzła górną wargę. - Jest naprawdę niezwykła i bardzo ją kocham. Och, Jack. - Łzy popłynęły jej po policzkach i ukryła twarz w kocach okrywających jego pierś. - Och, Jack.

- Wydaje mi się, że wydarzenia dzisiejszego popołudnia dają o sobie znać - rzekł. - Już po wszystkim, Belle, i tak naprawdę nic strasznego się nie stało. Odpocznij chwilę. Zamknij oczy i odpocznij.

Wiedział, że powinien zasugerować, by poszła do swego pokoju i tam się położyła. Ale nie mógł zakończyć tego spotkania, mimo że miał z niego niewiele przyjemności. Obejmował ją w ciszy, byli sami. To była ich ostatnia wspólna chwila. Nie czuł się winny, że czepia się tej chwili ze wszystkich sił i że z całego serca pragnie ją przedłużyć, ile tylko się da.

Niespełna pięć minut później ze zdziwieniem zauważył, że Belle poszła za jego radą. A nawet więcej - gdyż zasnęła w jego ramionach, ciepła i spokojna. Zamknął oczy i starał się, by wspomnienie tej chwili na zawsze wyryło mu się w pamięci.

Gdy tylko się obudziła, wiedziała, że nie spała długo. Ale ponieważ zasnęła głęboko, w pierwszej chwili nie mogła się zorientować, gdzie jest. Czowała jednak, że gdy otrząśnie się ze snu, czeka ją wielkie szczęście i równie wielkie cierpienie. Dziwna gra przeciwstawnych uczuć.

A gdy się już zupełnie obudziła, wiedziała, że instynkt jej nie zawiódł. Była w łóżku Jacka, w ramionach Jacka, a między nimi piętrzyła się góra koców. A więc kochał ją wtedy. Był zaborczy i zazdrosny nie dlatego, że za swe pieniądze chciał ją mieć na własność, lecz dlatego, że ją kochał. A dziś uratował Marcelowi życie, zajął się Jacqueline i przyniósł ją na rękach do domu. A gdy ona, Isabella, przyszła tu, by mu podziękować, wziął ją do łóżka, objął i rozmawiali, zamiast się kochać. Musiał wiedzieć, że chciała mu się oddać z wdzięczności. Ale zrobiłaby to także z miłości.

Cieszyła się jednak, że nie skorzystał z owej nie wypowiedzianej propozycji. Ten

dzień na zawsze pozostanie w jej pamięci.

Ale równocześnie czuła się bardzo nieszczęśliwa. Ten moment to wszystko, co im pozostało. I tak była tu znacznie dłużej, niż nakazywał rozsądek. A jeśli Marcel się obudził i szukał jej? Albo chciano się z nią widzieć z jakiegoś innego powodu? A co by było, gdyby ktoś zapukał do drzwi?

Bolesna też była dla niej świadomość, że ciągle jeszcze nie powiedziała mu całej prawdy. I nigdy tego nie zrobi. Poczucie winy będzie jej towarzyszyć po wyjeździe z Portland House i rzuci cień na jej przyszłość, tak jak przesłaniało te ostatnie dziewięć lat.

Lecz przynajmniej nie czuła już tej dawnej goryczy.

Otworzyła oczy. Patrzył na nią. Uśmiechnęła się.

- Zasnęłam - powiedziała niepotrzebnie.

- Już zapomniałem, jak szybko i łatwo zasypiasz - rzekł. - Zwykle bardzo mnie to drażniło, kiedy sam nie mogłem spać.

- Wiem. - Nadal się uśmiechała. - Budziłeś mnie... by mnie ukarać, jak mówiłeś. Ale to nigdy nie była kara.

- Naprawdę, Belle?

Dotknął czubkami palców jej policzka. Wyplątała się z koców, którymi Jack ją przykrył, usiadła i wstała z łóżka.

- Mam nadzieję, że uda mi się wyjść stąd niepostrzeżenie - powiedziała. - Byłabym skompromitowana.

On także wstał. Miał na sobie tylko spodnie. Teraz dopiero zdała sobie w pełni sprawę, jak bardzo zmęźniał i jakie ma muskularne ciało.

- Wyrzę za drzwi i zobaczę, czy rodzina nie ustawiła się w kolejce, by mnie odwiedzić - rzekł.

Zaśmiała się.

- Belle. - Wyciągnął do niej rękę. - Pożegnajmy się, kochanie. Ostatni raz byliśmy razem, jakkolwiek było to niewinne. Mogę cię jeszcze raz pocałować? Proszę.

Bez wahania podeszła, położyła dłonie na jego piersi i oparła się o niego. Uniosła ku niemu usta, a on jedną ręką objął jej kibić, drugą zaś ramiona.

Rozchyliła usta i pocałowała go z zapamiętaniem, wkładając w ten pocałunek całą swą miłość. Ostatni raz - powiedział. Mieli się pożegnać. Więc to jest jej pożegnanie - nieme i rozpaczliwe.

Była niezwykle poruszona, gdy wreszcie uniósł głowę. Wiedziała, że ciągle go kocha i zawsze będzie kochała, ale nie zdawała sobie sprawy, że jej miłość jest tak świeża i silna jak

owego dnia, kiedy pozwoliła się zaprowadzić do tej taniej i obskurnej gospody.

- Belle - rzekł do niej. - Kochałem cię, najdroższa. Nigdy żadnej kobiety nie kochałem tak mocno i tak namiętnie.

Użył czasu przeszłego. Uśmiechnęła się i odsunęła od niego.

- Proszę cię, Jack, wyrzyj za drzwi - powiedziała.

- Czego tylko sobie życzysz, pani.

Skłonił się z galanterią i odwrócił w stronę drzwi.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Nadeszła wigilia Bożego Narodzenia. Powinien to być dzień leniwych przygotowań do jeszcze bardziej leniwych świąt. Ale w Portland House był to chyba najbardziej zwariowany dzień w roku.

Zaplanowano próby generalne wszystkich scen. Trzeba było też przeciwzyć utwory przed wieczornym koncertem, księżna spędziła w swym prywatnym saloniku całą godzinę, układając razem z córkami i siostrą program występów. Ktoś musiał zająć się dziećmi - nie należało się bowiem spodziewać, że trzy niańki będą w stanie pilnować ich przez cały dzień bez przerwy. Trzeba było też zapakować prezenty i zanieść koszyki z łakociami kilku wieśniakom i biedniejszym sąsiadom. I oczywiście po koncercie przewidziano wyprawę do kościoła.

Jacka natomiast czekała rozmowa z młodą damą, a następnie narada z jej ojcem - zależnie od tego, co powie dziewczyna. Miał to być więc najważniejszy, przełomowy dzień w jego życiu.

Jack jednak się nie spieszył, choć trudno było go za to winić. Juliana i Howard mieli zaraz po śniadaniu ćwiczyć w pokoju muzycznym - dziewczyna grała na fortepianie i jednocześnie śpiewała z Howardem w duecie. Gdy po nich przyszła kolej na Prue, Jack z kolei musiał iść na próbę do sali balowej. A pół godziny po zakończeniu próby miał już być w pokoju muzycznym i ćwiczyć Bacha na fortepianie. Po kolejnych trzydziestu minutach on i jego pięcioro dawnych partnerów mieli próbę śpiewu - babcia twierdziła, że dla dziadka to nie byłyby żadne święta, gdyby w programie koncertu zabrakło madrygału. Szukali więc utworu z najmniejszą liczbą solfeżów i wreszcie znaleźli. Ale za to po każdym wersecie głosy im się załamywały i ich śpiew przypominał kukanie.

Próba zamieniła się w sąd boży. Jack znał swoją rolę - w każdym razie zdążyłby się jej nauczyć. Po co uczyć się wcześniej? - twierdził. By wszystko zapomnieć i zaczynać od nowa? Grał nawet nie najgorzej, takie było przynajmniej zdanie Claude'a. Ale wolałby tego uniknąć. Poprzedniego dnia w swej sypialni pożegnał się z Belle i sprawę uważał za zamkniętą. Koniec z roztrząsaniem przeszłości i doszukiwaniem się w niej sensu. Wszystko zostało wyjaśnione. Z powodu jego głupoty i zazdrości oraz jej kłamstwa ich miłość została zniszczona. Ale przynajmniej nie myślał już o Belle z goryczą. Nie wykorzystywała go. Była z nim z miłości. Lecz to już przeszłość. Wszystko skończone. I nie wróci. Dziś miał oświadczyć się kobiecie, którą w ciągu ostatniego tygodnia bardzo polubił.

Nie sprawiało mu przyjemności to, że podczas prób był z konieczności tak blisko Belle. Również nie sprawiały mu przyjemności pocałunki, gdyż wiedział, że to Otello całuje Desdemonę, a nie on, Jack, całuje Belle.

W ciągu półgodziny między próbą a ćwiczeniami muzycznymi mógł poszukać Juliany. Trzydzieści minut to wystarczająco dużo czasu, by się rozmówić. Ale był wciąż zbyt wzburzony po próbie. Skierował więc kroki do dziecinnego pokoju.

Ledwie otworzył drzwi, a już rzuciło się na niego dwoje maluchów - Rachel i Rupert, i niemal go przewróciło. Ale ponieważ inne dzieci bawiły się w ciuciubabkę, bliźnięta niebawem porzuciły wuja i przyłączyły się do zabawy.

Za to Marcel uśmiechał się do niego promiennie. Jack podszedł i lekko poczochnął mu włosy.

- Jak się dzisiaj miewasz, kolego? - zapytał.

- Bardzo dobrze - odrzekł chłopczyk. - Idę na dwór z moimi przyjaciółmi: Davym, Meggie, Kitty i z ich tatą. Będziemy lepić aniołki ze śniegu.

- Ale uważaj, by ktoś ci nie wsypał śniegu za kołnierz - śmiejąc się ostrzegł go Jack. - To może być nieprzyjemne.

Poprzedniego wieczora synek Belle został przyprowadzony do salonu przez samą księżną, a wszyscy tam zgromadzeni przywitali go oklaskami. Następnie panie ucałowały małego bohatera, a panowie nagrodzili go uściskiem ręki i przyjacielskim poklepywaniem po plecach. Annę cały czas popłakiwała, a Belle dyskretnie kilka razy otarła łzy chusteczką. Księżę sapał i pomrukiwał, aż wreszcie ujął rączkę chłopca w swą wielką dłoń, a kiedy ją puścił, na małej łapce pozostała błyszcząca złota gwinea.

Malec miał z przejęcia wielkie oczy i zaczerwienione policzki. Zachowywał się wzorowo. Nie chwalił się ani nie udawał bohatera. Potem księżna odprowadziła go z powrotem do dziecinnego pokoju.

Tymczasem Jacqueline właśnie coś malowała. Była bardzo tym pochłonięta, lecz gdy Jack położył dłoń na jej ramieniu, podniosła wzrok, a jej oczy rozbłysły.

- W tej dziedzinie też jesteś uzdolniona - rzekł spojrzawszy na namalowane przez nią cztery sylwetki łyżwiarzy z powiewającymi szalikami. - Bystra z ciebie dziewczynka, Jacqueline.

Przykucnął i patrzył, jak domalowała czwartemu ludzikowi czepek obrębiony futrem. Potem dokładnie opłukała pędzel i odłożyła go na stół razem z farbami. Odwróciła się i zarzuciwszy Jackowi ręce na szyję, przytuliła buzię do jego policzka.

- Proszę... - rzekła. - Proszę, niech mnie pan zabierze do pokoju muzycznego. Mama

nie będzie miała nic przeciwko temu. Ostatnim razem nic nie mówiła. Mogę tam pójść?

Zaśmiał się.

- Pokój muzyczny jest dziś tak oblegany jak nigdy - odparł. - Ale tak się składa, że teraz moja kolej. Nie potrzebuję całej półgodziny, by przećwiczyć jedną fugę Bacha. Możesz więc pójść ze mną.

Ale nie od razu go puściła. Objęła go za szyję jeszcze mocniej i pocałowała w policzek.

- Dziękuję panu - rzekła.

Jack ćwiczył więc swój utwór nie dłużej niż pięć minut. Gdyby babka o tym wiedziała, dostałaby ataku serca albo, co bardziej prawdopodobne, postraszyłaby go atakiem serca dziadka. Jacqueline grała dwadzieścia pięć minut, a on słuchał, wciąż onieśmielony, choć już wiedział, czego się spodziewać.

Nie zdawał sobie sprawy z upływu czasu, dopóki pukanie do drzwi nie zapowiedziało wejścia Alexa, Perry'ego, Prue, Connie i Hortense, którzy zjawili się na próbę śpiewu. Jacqueline, która właśnie skończyła grać jeden utwór i miała zacząć kolejny, w pośpiechu schowała skrzypce do futerału.

- Uciekiniarka z pokoju dzieciennego? - zapytał Alex uśmiechając się do niej. - Obserwowałaś Jacka i poprawiałaś jego palcówki, Jacqueline? Uczysz się gry na fortepianie?

- Tak, proszę pana - odrzekła.

- Chodź - odezwał się Jack i wyciągnął do niej rękę - zaprowadzę cię na górę, a potem wrócę na próbę śpiewu.

Ale kiedy dotarli na piętro, na którym znajdował się pokój dziecienny, zaświtała mu w głowie pewna myśl.

Niewątpliwie był to nierozważny pomysł. Jeden z tych, które z pewnością najpierw powinien uzgodnić z babką i Belle. Natychmiast jednak podzielił się nim z Jacqueline.

- Nie chciałabyś zagrać podczas wieczornego koncertu? - zapytał. - Jestem pewien, że byłabyś gwiazdą nawet wśród dorosłych. Mogłabyś wystąpić zamiast mnie. Co ty na to?

Kiedy na niego spojrzała, zauważył, że jej oczy rozszerzyły się i zabłysły. Nagle uświadomił sobie, że nie powinien był tego mówić. Belle urwie mu głowę. Stało się jasne, że wszystkie jej obawy były jak najbardziej uzasadnione. Miał przed sobą dziecko, które chciało dzielić się swym talentem z innymi ludźmi, a nawet czuło taką potrzebę.

- Tak - wyszeptała. - O tak, bardzo proszę.

Do diabła - nie był pewien, czy uda się to przeprowadzić. Babka może się nie zgodzić. A Belle ma prawo dać mu w twarz.

- Zobaczymy, co da się zrobić. - Ucisnął jej rączkę i patrzył, jak dziewczynka wślizguje się do pokoju dzieciennego.

Przesunął palcami po włosach i wydymając policzki, głośno wypuścił powietrze. Czas na próbę kukania. Potem będzie musiał poszukać babki i Belle. A później porozmawiać z Juliana i panem Holyokiem.

Co za wspaniały wigilijny dzionek - pomyślał. Ciekawe, co w tej chwili porabiają Reggie, jego ślicznotki i przyjaciele. Pewnie odsypiają noc, którą spędzili najpierw na hulankach, a potem na innych przyjemnościach.

Juliana i Howard gorliwie ćwiczyli w pokoju muzycznym niemal całe pół godziny. Dziewczyna miała ochotę porozmawiać od serca z bratem, lecz ten zdawał się pochłonięty własnymi problemami. Po próbie zamierzał wybrać się na plebanię.

- Nie, nie mogę iść z tobą - odrzekła, gdy ją o to zapytał. - Ja... Jack... muszę tu zostać. Howard zmarszczył czoło.

- Jak myślisz, czy będę mógł ją zabrać na krótki spacer? - zapytał. - To bardzo mili ludzie, państwo Fitzgerald, nie sądzisz?

- Howardzie - rzekła Juliana - nie skompromitujesz Rosę, prawda? Bardzo cię proszę. To taka miła dziewczyna.

Spojrzał na siostrę poważnie.

- Jeszcze tylko kilka dni i potem już jej nie zobaczę - powiedział. - Nie wiem, czy będę mógł się z tym pogodzić, Julie.

- Ona jest tylko guwernantką, Howardzie - rzekła Juliana. - Papa...

- Co tam papa! - odparł lekceważąco. - Jej siostra wyszła za Lynwooda. Ich ojciec jest dżentelmenem.

- Ależ Howardzie - rzekła z rozszerzonymi ze zdumienia oczami - myślisz poważnie o...

- Nie wiem jeszcze, co myślę - rzekł, ciągle marszcząc czoło. - Mam mętlik w głowie, Julie.

To bez wątplenia nie była odpowiednia chwila, by mówić o sobie - pomyślała. A poza tym właściwie nie miała o czym rozmawiać. Lubiła Jacka, podobał jej się i nawet zaczęła się w nim zakochiwać. Wszystko toczyło się gładko - tak jak powinno. Z wyjątkiem tego, że Fitz ją pocałował i przez to wywrócił cały jej świat do góry nogami. A wczoraj na ślizgawce, podczas tego okropnego zamieszania, odruchowo zwróciła się do niego, a on opiekuńczo objął ją ramieniem. I nie odezwał się ani słowem. Ten zwykle wesoły, gadatliwy Fitz!

Od samego rana miała świadomość, że to jest ten dzień. I wiedziała, jaka będzie jej

odpowiedź. Była z tego powodu szczęśliwa. Kiedy więc po lunchu Jack zapytał ją, czy nie poszłaby z nim do galerii, uśmiechnęła się ciepło i odrzekła, że musi tylko wziąć szal.

Szli w milczeniu przez całą długość galerii - ona trzymała go pod rękę, on nakrył jej dłoń swoją dłonią.

- Cóż - rzekł wreszcie, przystając i patrząc na nią. - Przyszedł moment, kiedy musisz się zdecydować, Juliano. Obiecałem ci, że nie będę cię do niczego zmuszał, jeśli do dziś mnie nie polubisz. I oto nadeszła pora.

- Wiem - rzekła. - Polubiłam cię, Jack.

On ma jakieś inne oczy - pomyślała. Dziś nie wydawały się takie stare, nie miały tego cynicznego wyrazu. Były po prostu łagodne. Oczy zakochanego mężczyzny? Czy oczy miłego wujka? Co za dziwna myśl w takiej chwili!

- Dobrze i to na początek - powiedział. - Sądysz, że mogłabyś mnie poślubić, Juliano?

- Tak - odparła.

- Czy tylko tak ci się wydaje, czy jest w tym coś więcej?

Nie była pewna, co miał na myśli.

- Czy chcesz za mnie wyjść? - zapytał. - Gdybyś w tej chwili miała dokonać absolutnie niezależnego wyboru, zdecydowałabyś się mnie poślubić?

- Tak - odrzekła.

- Dlaczego? - spytał patrząc na nią uważnie.

Z jego oczu zniknęła łagodność, ale też nie było w nich cynizmu.

Nie spodziewała się takiego pytania. Z pewnością nie musiał go zadawać.

- Bo papa cię wybrał - powiedziała - i dlatego, że byłeś dla mnie dobry. Polubiłam cię. Widziałam też, że lubisz dzieci, a to ważne. I dlatego że... cóż, powinnam już wyjść za męża. Byłbyś dobrym mężem, a ja starałabym się być dobrą żoną.

Zabrzmiało to nieprzekonująco.

- Ale czy naprawdę mnie lubisz? - zapytał.

- Tak. - To była prawda. Nie kłamała.

- A nie jakiegoś innego mężczyznę?

- Nie.

Jej serce zaczęło bić niepokojąco szybko. Nie umiała kłamać. Chciała mu zadać te same pytania, lecz nie śmiała. Była kobietą. A kobiecie nie wypadało pytać o takie rzeczy. A jeśli on zamierzał się z nią ożenić, bo uważał to za swój obowiązek? Jeżeli nie polubił jej przez ten tydzień? Jeśli darzy uczuciem jakąś inną kobietę?

Pochylił głowę i pocałował ją. Ciepły, delikatny pocałunek z lekko rozchylonymi

ustami. Bardziej wyrafinowany niż gwałtowny pocałunek Fitz'a.

- Chcesz więc, bym oficjalnie porozmawiał z twoim ojcem i poprosił go o twoją rękę?
- zapytał, kiedy już odchylił głowę. - I by jutro zostały ogłoszone nasze zaręczyny... może wieczorem? Jesteś tego zupełnie pewna, Juliano?

- Tak - powiedziała. - Jestem pewna, Jack. W jego oczach znowu dostrzegła czułość.

- A więc jestem najszczęśliwszym z ludzi - odparł. Te konwencjonalne słowa nagle wydały jej się dziwnie nienaturalne. Były raczej jak zasłona między nimi niż jak okno do wnętrza jego duszy. Czy rzeczywiście jej odpowiedź go uszczęśliwiła? Szkoda, że nie mogła tego wiedzieć. Och, jaka szkoda!

- Je też jestem szczęśliwa. - Uśmiechnęła się. - Bardzo szczęśliwa.

- Chyba powinienem teraz poszukać twego ojca - rzekł.

- Tak - potwierdziła.

Ale gdy odprowadził ją na dół, nie mogła pójść do salonu, do matki i babki. Obie wiedziały, co się dzieje, i płonęły z ciekawości i podniecenia. Podobnie zresztą jak księżna i matka Jacka. Nie mogła tam iść i siedzieć obok nich, gawędząc o pogodzie i udając, że nic niezwykłego się nie wydarzyło.

Pobiegła więc do sali balowej, myśląc, że nikogo w niej nie będzie, gdyż próba miała się odbyć przed południem. Lecz zastała tam Isabellę, która sprawdzała akustykę pomieszczenia, wydając dziwne dźwięki.

- Och, przepraszam - rzekła Juliana i wycofała się, gdyby Isabella nie uśmiechnęła się i nie zatrzymała jej.

- Wejdz, proszę - powiedziała. - Czas skończyć na dzisiaj.

Juliana była ostatnią osobą, z którą miała ochotę rozmawiać. Isabella spędziła okropną, bezsenną noc, przewracając się z boku na bok i rozważając, co by było, gdyby dziewięć lat temu nie uciekła, lecz powiedziała Jackowi prawdę. A kiedy wreszcie zasnęła, śnił jej się Marcel: kurczowo trzymając się krawędzi lodu, powoli zsuwał się pod wodę. Budziła się kilka razy, chwytając powietrze, jakby to ona tonęła.

Dziś musiała wreszcie pogodzić się z myślą, że to ostateczny, nieodwołalny koniec. Właściwie wszystko skończyło się już dziewięć lat temu. Zapomniała o Jacku i żyła swoim życiem. W ciągu tych lat osiągnęła bardzo dużo. Ale dopiero dziś uświadomiła sobie, że aż do wczoraj sprawa nie była zakończona.

Wczoraj oboje wyznali, że kochali się niegdyś. I wczoraj pożegnali się na zawsze.

Zupełnie nie miała teraz ochoty rozmawiać z dziewczyną, z którą Jack zamierzał się ożenić. A przecież to taka niewinna, słodka istota. I bez wątpienia bardzo zakochana w Jacku.

Bo jakąż kobieta mogłaby się oprzeć jego zalotom?

- Nie chciałam ci przeszkadzać - rzekła Juliana, lecz weszła do pokoju. - Szukałam jakiegoś ustronnego miejsca.

- Masz więc całą tę salę do dyspozycji, jeśli chcesz - odparła Isabella nie przestając się uśmiechać.

Patrzyła, jak dziewczyna bierze głęboki oddech i powoli wypuszcza powietrze.

- Czy kiedykolwiek czułaś się tak przerażona, że chciałabyś gdzieś uciec z krzykiem?

- Tak - odrzekła Isabella. - Czułam się tak wczoraj na ślizgawce. Czy coś się stało?

- Tylko to, czego się spodziewałam od tygodnia - powiedziała Juliana. - Jack rozmawia właśnie w tej chwili z moim ojcem. Uzgadniają sprawy związane z naszym małżeństwem. Jutro zostaną ogłoszone zaręczyny... chyba na balu.

Uśmiechnęła się promiennie.

Isabella poczuła się, jakby ktoś wbił jej nóż w serce i jeszcze obracał nim w ranie.

- I jesteś przestraszona? - zapytała. - Czyż to nie jest zwykły lęk towarzyszący podobnym okazjom? Masz jakieś wątpliwości co do swoich uczuć?

- Jakżebym mogła? - odrzekła Juliana. - To mężczyzna, o jakim marzyłaby każda kobieta, czyż nie? Przystojny, bogaty, czarujący. I okazało się, że nie jest taki, jakim wydawał mi się na początku. Myślałam wtedy, że to cyniczny, zimny człowiek. Ale myliłam się. Bardzo go lubię. I podziwiam za to, co wczoraj zrobił, choć na pewno wszyscy inni mężczyźni także pospieszyliby z pomocą, gdyby byli bliżej. Chyba mam wielkie szczęście. A on powiedział, że uczyniłam go najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

Och, Jack! Nóż wbił się głębiej. Dlaczego musiała wrócić po lunchu do sali balowej? Dlaczego tego popołudnia nie zajęła się dziećmi? Oczywiście wiedziała dlaczego. Czuła się przygnębiona po tym, jak księżna poprosiła ją, by zgodziła się na udział Jacqueline w wieczornym koncercie. Isabella podejrzewała, że to był pomysł Jacka. Widziała, co się dzieje z jej córką - najpierw pragnienie dążenia do perfekcji, potem chęć zaprezentowania swego talentu publiczności.

- A jesteś szczęśliwa? - zapytała cicho. Nie chciała znać odpowiedzi. Jaka by była - nie chciała jej znać.

- Howardowi bardzo podoba się Rosę Fitzgerald - rzekła szybko Juliana. - Chodziliśmy razem na spacer, ja z Fitzem... z panem Bertrandem Fitzgeraldem... by Howard mógł spędzić trochę czasu z Rosę. Polubiłam Fitzę. Dobrze się przy nim czuję. Śmieję się bez skrępowania i nie muszę myśleć o tym, co mam powiedzieć. Jest taki... niegroźny. Ale dwa dni temu pocałował mnie przy mostku, bo jak powiedział, nie udało mu się pocałować mnie

pod jemiołą. To nic nie znaczy... Zupełnie nic... A poza tym on musi pracować na życie, choć jest szlachetnie urodzony. Pracuje jako zarządca majątku. Papa nigdy by... To nic takiego, prawda, Isabello? Jestem głupia. Chciałabym mieć trochę twojego doświadczenia i pewności siebie!

Och, nie! Wielkie nieba, tylko nie to!

- Nawet osoba o wielkim doświadczeniu życiowym nie mogłaby ci odpowiedzieć na to pytanie, Juliano - odparła. - Ty sama musisz to zrobić. Przykro mi.

A jednak desperacko pragnęła dać jej radę. Chciała powiedzieć: nie wychodź za niego! Tylko jeśli kochasz go całym sercem. A nawet wtedy nie. Nie wychodź za Jacka. Nie za niego. Błagam! Tak jakby mógł ożenić się z nią, gdyby nie poślubił Juliany! Z kobietą, którą niegdyś kochał - niegdyś... Z kobietą, która była jego kochanką.

Co za straszliwa ironia losu, że Juliana wybrała właśnie ją na powierniczkę.

- Musisz rozważyć wszystko i zrobić to, co uważasz za najlepsze - rzekła. - To brzmi głupio i nie jest żadną odpowiedzią. Ale nie mogę ci powiedzieć nic innego, Juliano.

Dziewczyna uśmiechnęła się blado.

- Właściwie nie potrzebuję odpowiedzi - odparła. - Sprawa jest już postanowiona. Powiedziałam „tak” i Jack poszedł porozmawiać z papą. Chyba miałaś rację: w chwili gdy zapada decyzja dotycząca twej przyszłości, panika jest naturalnym uczuciem. Czulaś kiedyś coś takiego?

- Mhm - odrzekła Isabella.

- Ale twoje małżeństwo było szczęśliwe?

- Tak.

Było szczęśliwe. Lubiła i szanowała Maurice'a, a on ją uwielbiał. Kiedy zdobył się na coś tak niewiarygodnego i zaproponował jej małżeństwo, przysięgła sobie, iż uczyni go szczęśliwym. I udało jej się to. Choć po ślubie nie zrezygnowała z kariery - zresztą za namową Maurice'a - przekonała się w ciągu tych lat, że w życiu liczą się tylko ludzie. Maurice, Jacqueline, Marcel byli jej najdrożsi. I Jack, o którym nie mogła zapomnieć.

- Tak, byliśmy szczęśliwym małżeństwem. Bo zależało mi na tym. Bo postanowiłam sobie, że tak będzie. Wiele rzeczy zdarza się w życiu bez twojego udziału, jak na przykład miłość. Znacznie więcej jednak można wypracować. Możesz w dużym stopniu kształtować swoje życie, zamiast zdać się na łaskę losu. Lecz nie zamierzam głosić ci kazań.

Ale Juliana uśmiechała się.

- Jesteś naprawdę bardzo mądra - rzekła. - Wiedziałam o tym. To, co powiedziałaś, przemawia do mnie: twoje małżeństwo było szczęśliwe, bo zależało ci na tym i zabiegałaś o

to. Dzięki tobie poczułam się lepiej. Ja też będę szczęśliwa. I uczynię Jacka szczęśliwym.

Nóż w jej sercu znowu się obrócił.

- Szkoda tylko, że nie wiem, czy już teraz jest szczęśliwy - powiedziała Juliana. - Jak myślisz? Czy jako postronny obserwator dostrzegasz to?

- To dżentelmen - odparła Isabella. - Będzie dla ciebie dobry, Juliano.

- Tak. - Uśmiechnęła się. - Wiem o tym. Dziękuję, że mnie wysłuchałaś i udzieliłaś mi rady. Chciałabym kiedyś ci się odwzajemnić, jak przystało na przyjaciółkę. Ale ty jesteś taka... taka spokojna i opanowana. Jestem pewna, że nie masz żadnych problemów.

- Tak sądzisz? - zdziwiła się Isabella.

- Przepraszam - rzekła Juliana. - Straciłaś męża. Musi ci być ciężko bez niego. Ale masz dzieci, urodę, talent aktorski i sławę. Nie mogę się już doczekać jutrzejszego wieczora, by zobaczyć cię na scenie.

- Inni też dobrze grają - odparła Isabella, czując się już pewniej i kierując w stronę drzwi. - Perry jest cudownie przewrotnym Shylockiem, a Alex denerwująco władczym Petruchiem. Otello Jacka to smutny, umęczony człowiek. A Freddie w roli Gracjana - zaśmiała się - jest niespokojnym duchem i przeważnie odzywa się w zaskakujących momentach. Annę próbuje narzucić Emilii swój sposób myślenia i świetnie jej to wychodzi. Jutrzejszy wieczór zapowiada się zabawnie.

Część jutrzejszego wieczora.

Zaśmiała się sztucznie, wychodząc z sali balowej. Juliana podążyła za nią.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Fortepian i inne instrumenty zostały wysunięte na środek pokoju muzycznego, a wokół nich półkole ustawiono puste krzesła.

- Tak jak na koncercie w Mayfair w szczycie sezonu - mruknął Charles Lynwood do żony.

Martin miał być mistrzem ceremonii. - Przedtem był zdania, że to całkiem zbędna rola, ale teraz stwierdziła księżna najwyraźniej szykuje wielką galę. Nagle pożałował, iż nie przygotował sobie zapowiedzi. Kaszlnął nerwowo i spojrzął na program, który trzymał w ręku.

Książę był jak zwykle mrukliwy. Księżna wyglądała i zachowywała się jak królowa. Wszyscy pozostali byli potulni jak owieczki, ponieważ niemal każdy miał wystąpić na koncercie.

- Zawsze uważałam, że to nie w porządku - szepnęła Prue do męża. - Babcia i dziadek nigdy nie biorą udziału w koncertach czy przedstawieniach teatralnych, ale reszta nie ma w tej kwestii żadnego wyboru. Powinniśmy się zbuntować, nie sądzisz?

- Byłem tego zdania, kiedy tylko ożeniłem się z tobą - stwierdził. - A jednak na dzisiejszy wieczór przygotowałem barytonowe solo. Moi bracia przez miesiąc śmialiby się ze mnie, gdyby o tym wiedzieli. Jeśli im powiesz, to cię uduszę. Twoja babka ma w sobie coś niesamowitego. Ale jeszcze dokładnie nie wiem, na czym to polega.

Trójka dzieci, która miała wystąpić podczas koncertu, bała się i siedziała z szeroko otwartymi oczami na brzeżkach krzeseł. Davy i Meggie otrzymali przywilej uczestniczenia w rodzinnym koncercie tylko dlatego, że ukończyli dziesięć lat - mieli w duecie zagrać na fortepianie. Siedmioletnią Jacqueline księżna osobiście poprosiła o zagranie na skrzypcach.

Inne dzieci także były obecne, z wyjątkiem Kennetha, który spał w pokoju dzieciennym. Księżna zarządziła, że taka atrakcja nie może ich ominąć, a poza tym było Boże Narodzenie, a to przecież rodzinne święto.

Jack usiadł obok Juliany, a ona wzięła go za rękę. Ich ślub miał się odbyć na wiosnę w kościele Świętego Jerzego przy Hanover Square w Londynie. Wicehrabia Holyoke uznał za stosowne, by jego córka przed ślubem została wprowadzona do towarzystwa i przedstawiona królowej. Pobiorą się w maju. Za pięć miesięcy. Jack miał więc jeszcze dużo czasu, by przyzwyczaić się do zmian, które zajdą w jego życiu.

To ta piękna istota ma zmienić jego życie. Ubrana była w różową suknię, przy której

ślicznie wyglądały zaróżowione policzki. Jej mała, drobna dłoń spoczywała na jego ramieniu. Ze zdziwieniem przyjął wiadomość, że Juliana ma dziewiętnaście lat. Musiał zmienić swój stosunek do niej. Nie była wcale dziewczynką ze szkolnej ławy. Była kobietą.

Wszyscy oczywiście wiedzieli, że tego dnia się oświadczył i został przyjęty i że poczyniono ustalenia dotyczące ślubu i małżeństwa. Wszyscy też wiedzieli, iż jutro zostaną ogłoszone ich zaręczyny - podczas balu, jak zdecydowano. Wprawdzie już tydzień wcześniej zaaranżowano to małżeństwo, lecz oficjalnie rodzina dowiedziała się o tym dopiero teraz. Oczywiście nikt tego nie komentował. Jutrzejsze zaręczyny miały być niespodzianką.

- Denerwujesz się?

Jack nakrył ręką jej małą dłoń.

- Serce bije mi tak mocno, że chyba zaraz wyskoczy z piersi - odparła.

- Znam to uczucie. - Uśmiechnął się. Zerknął na Jacqueline, która siedziała milcząca i blada obok Belle. Choć wyraźnie zdenerwowana, nie drżała, lecz wyglądała, jakby była w transie. Czy żałowała swej decyzji? A może zrobił jej krzywdę proponując, by w tak młodym wieku wystąpiła przed publicznością? Wyglądała nawet ładnie w niebieskiej odświętnej sukience i wielkiej kokardzie w ciemnych włosach. Kiedy dorośnie, będzie piękną - ze zdziwieniem pomyślał Jack.

Starał się omijać wzrokiem Belle - śliczną w swej prostej białej jedwabnej sukni. Obejmowała ramieniem Marcela, który machał nogami i rozglądał się wokół z zainteresowaniem.

W pewnej chwili babka dostojnie skinęła głową i Martin podniósł się ze swego miejsca - sprawiał wrażenie, jakby miał za mocno zawiązany fular. Prue zaczęła zginać palce. Koncert miał się zacząć od jej solowej gry na harfie.

Wszystko szło gładko. Prudence nie straciła czucia w dłoniach, palce Jacka nie poplątały się podczas gry na fortepianie, głos Juliany nie drżał, kiedy śpiewała z Howardem, a sześcioro śpiewaków madrygałów udało się nie pomylić swych partii, kukali zatem wesoło i jakimś cudem zdołali jednocześnie dobrać do końca.

A potem przyszedła kolej na Jacqueline.

Gdzieniedzie rozległy się zdziwione, pobłażliwe uśmiešky, kiedy dziewczynka oparła skrzypce o podbródek i wzięła w dłoń smyczek. Wyglądała z nimi na jeszcze mniejszą. Potem dały się słyszeć uprzejme „ciii”, podczas gdy Jacqueline stała przez chwilę ze wzrokiem utkwionym w podłogę tuż przed sobą.

Jack zdał sobie sprawę, że siedzi pochylony do przodu i nie wie kiedy puścił dłoń Juliany. Serce biło mu mocno, aż czuł pulsowanie w uszach. No, dalej - mówił w myśli do

dziecka - zapomnij, że tu jesteśmy. Pokaż nam, czym jest prawdziwa muzyka.

Dotknęła smyczkiem strun i zamknęła oczy.

Grała Beethovena tak jak tamtego wieczoru, gdy Jack słyszał japo raz pierwszy. Grała z pasją i oddaniem, a całe jej ciało poruszało się w harmonii z pięknymi dźwiękami, jakie wydobywała ze skrzypiec. Jack wiedział, że zapomniała o publiczności. Potem on też zapomniał o wszystkim. Nie było nic poza muzyką i Jacqueline. Poczł suchość w gardle i swędzenie u nasady nosa - nie chciał przyznać przed samym sobą, że to łyzy, nawet gdy zamruzał oczami, próbując je powstrzymać.

Kiedy skończyła grać, na chwilę zapanowała cisza, a potem rozległy się oklaski - znacznie gorętsze, niżby nakazywała uprzejmość - oraz okrzyki zdziwienia i uznania.

Jack nie klaskał. Siedział pochylony do przodu, uśmiechając się do Jacqueline, która wyglądała na przestraszoną. Po chwili oblała się rumieńcem i uważnie odłożyła skrzypce. Kiedy ponownie uniosła głowę, spojrzała na niego i posłała mu jeden ze swych nielicznych uśmiechów. Jack wyciągnął rękę, a gdy dziewczynka do niego podeszła, uściśnął ją mocno.

- Byłaś wspaniała, Jacqueline - powiedział.

- Dziękuję panu. - W jej głosie brzmiało niezwykle podniecenie. - Dziękuję, że pozwolił mi pan zagrać.

- Jesteś niezwykle utalentowana jak na siedmioletnie dziecko - rzekł.

W pokoju znowu zaległa cisza.

- Ja mam osiem lat - odparła. Nagle jej oczy się rozszerzyły i dziewczynka przykryła rączką usta. - Och, zapomniałam. Miałam tego nie mówić.

Odwróciwszy się, pobiegła na swoje miejsce obok matki.

Martin wstał, jednocześnie zerkając do programu. Lecz zanim zdążył zapowiedzieć następnego wykonawcę, Isabella podniosła się i pospiesznie wyszła z pokoju. Martin uprzejmie zaczekał, aż zamknęły się za nią drzwi.

Jack nie potrafiłby powiedzieć, kto i co potem grał.

„Mam osiem lat. Miałam tego nie mówić”. Patrzył nie widzącym wzrokiem na matkę i ciotkę, które śpiewały w duecie - partia sopranu była zbyt wysoka dla jego ciotki. „Mam osiem lat. Miałam tego nie mówić”.

- Przepraszam - rzekł po cichu do Juliany, gdy rozległy się oklaski po występie duetu.
- Za chwilę wrócę.

W hallu było dwóch lokajów.

- W którą stronę poszła hrabina de Vacheron? - zapytał ich.

- Do sali balowej, sir - odrzekł jeden z nich, wskazując palcem kierunek. - Nie wzięła

świecy, sir, mimo że wołałem za nią.

Jack także nie zabrał świecy. Nie słyszał nawet, co powiedział lokaj.

„Mam osiem lat. Miałam tego nie mówić”.

Alex poruszył się niespokojnie na krześle.

- Mam wrażenie, że niebawem rozpęta się piekło - mruknął żonie do ucha.

Spojrzała na niego, uniósłszy brwi ze zdziwienia.

- Czyż to nie Perry zauważył, że Jacqueline Gellee jest bardziej podobna do naszej rodziny niż niektóre z naszych własnych dzieci?

- Dlaczego miała mówić, że ma siedem lat, a nie osiem? - szepnęła Annę nic nie rozumiejąc.

- Dlatego że osiem lat i dziewięć miesięcy temu Isabella nie była jeszcze żoną de Vacherona - odparł.

- Och, Alex. - Zafrasowała się. - To nie nasza sprawa.

- Ona i Jack byli kochankami - rzekł, jakby nie słysząc tego, co powiedziała Annę.

Spojrzała na niego bez słowa.

W pokoju znowu zrobiło się cicho i wstał Martin.

Isabella instynktownie skierowała się do sali balowej. Kiedy już tam doszła, pomyślała, że lepiej było pójść do swego pokoju. Mogłaby zamknąć się w nim na klucz i byłaby bezpieczna. Ale może nie zależało jej na bezpieczeństwie. Może wiedziała, że już nigdy nie będzie się czuła bezpiecznie.

Sala balowa pogrążona była w mroku. Przez francuskie okna wpadało jednak światło księżyca, a śnieg lśnił dziwnym blaskiem. Zasłony nie były zaciągnięte.

Isabella podeszła szybkim krokiem do okna - tego najbardziej oddalonego od drzwi. Jedną ręką oparła się o ramę okienną, drugą zacisnęła na gałce, a czoło przyłożyła do chłodnej szyby. Zamknęła oczy.

Dziwnie nie myślała o niczym i niczego nie czuła. Miała wrażenie, jakby od stóp do głowy ogarnęła ją jakaś martwota. Czekała.

Drzwi się otworzyły i zaraz cichutko zamknęły. Ze skupieniem słuchała, jak się zatraskują. A potem echo jego kroków rozbrzmiało głucho w pustej sali, gdy szedł w jej stronę. Wiedziała, że to on. To nie mógł być nikt inny. Mimowolnie się zgarbiła, oczekując jego dotknięcia.

Odwróciła się, zanim do niej podszedł, i oparła plecami i głową o ścianę. Położyła też na niej dłonie. Spojrzała na Jacka.

Zbliżył się i stanął naprzeciw niej. Ale jej nie dotknął. Oparł jedną rękę o ścianę obok

głowy Isabelli. Dzielili ich tylko odległość ramienia. Przez chwilę myślała, że Jack się nie odezwie, ale nie była w stanie sama przerwać ciszy.

- Ile czasu po twoim odejściu się urodziła, Belle? - zapytał wreszcie cichym głosem.

Nie mogła odpowiedzieć. Nie mogła otworzyć ust i wydać żadnego dźwięku. Ale on czekał cierpliwie.

- Sześć miesięcy - wyszeptwała.

Tak długo stał cicho, nic nie mówiąc, że aż się przestraszyła. Lecz nadal nie była w stanie się poruszyć ani przemówić.

- Jacqueline - rzekł miękko. - To nie francuskie imię, nadane ze względu na męża Francuza. To Jackline.

- Tak.

To słowo znalazło się na jej ustach, ale go nie słyszała. Przymknął oczy.

- Belle - rzekł. Pochylił głowę, opierając czoło na jej ramieniu. - Och, Belle!

Serce podeszło jej do gardła. Stała w milczeniu, przygryzając aż do bólu górną wargę, a on płakał. Ze zdziwieniem poczuła na twarzy i szyi także własne łzy. Przechyliła głowę i przytuliła policzek do jego włosów. Uniosła ramiona i objęła go. Stali tak przez długą chwilę.

- Dlaczego? - Podniósł głowę i w ciemnościach patrzył w jej twarz. - Dlaczego, Belle?

- Musiałam odejść - rzekła. - Czy tego nie rozumiesz, Jack? Nie mogłam żyć w ciągłym poniżeniu. Zawsze byłabym twoją utrzymanką, a ona byłaby bękartem. Gdybym ci o niej powiedziała, przede wszystkim zapytałbyś, czym jest dzieckiem. Musiałam odejść dla własnego dobra. I ze względu na nią.

- Kochałem cię - powiedział. - Byłaś moim życiem.

- Wierzę ci - odparła - choć wtedy nie miałam takiej pewności. Ale to nie była dobra miłość, Jack. Stała się zbyt zaborcza i pełna zazdrości. To była miłość bez wzajemnego zaufania i szacunku.

- A twoje uczucie do mnie - rzekł - pozbawione było litości. Odebrałaś mi dziecko, Belle. Nawet mi o nim nie powiedziałaś. Pozwoliłaś, by nosiło nazwisko innego.

- To nie była dobra miłość - powtórzyła smutno. - Musiała się skończyć.

Nigdy w jego oczach nie widziała takiego bólu.

- Miłość nie umiera, Belle - rzekł. - Miłość się pogłębia, wzrasta i dojrzewa. Albo staje się cierpka, gorzka i cyniczna i pozostają z niej tylko żądza i pozamałżeńskie przygody. Gdybyś mi powiedziała, że spodziewasz się dziecka, nasza miłość mogłaby być bogatsza.

- Nie wiadomo - odrzekła. - Miłość jednak umiera, Jack. Przecież już się nie kochamy.

Zbliżył do niej twarz, tak że musiała oprzeć głowę o ścianę.

- Zapytaj mnie za sto albo dwieście lat, co do ciebie czuję. Odpowiedź będzie taka sama jak teraz i jak wtedy, gdy zobaczyłem cię po raz pierwszy w Hyde Parku. Kocham cię. Jesteś jedyną kobietą, jaką kiedykolwiek kochałem i jaką będę kochał.

- Och! - wyrwał jej się jęk rozpacz.

- Mam córkę od ponad ośmiu lat - rzekł - i nie wiedziałem o tym, bo trzymałaś to przede mną w tajemnicy.

Patrzyła tylko na niego i nic nie mówiła.

- Masz rację - rzekł. - Nie potrafiłem kochać. Kochałem tak, jak to robią młodzi - ta miłość mnie zaskoczyła i przestraszyła. Nie umiałem się nią cieszyć. Trzymałem się jej zbyt kurczowo. Bałem się, że cię stracę. Ale i tak wszystko przepadło. Zostałem straszliwie ukarany, Belle. Straciłem cię. I straciłem córkę.

- Nie mów mi teraz, że źle postąpiłam - rzekła. Ale właśnie tak myślała. Zrobiła okropną rzecz. - Nie będę mogła żyć z tą świadomością. Nigdy się nie dowiesz, jak trudno mi było odejść od ciebie i wyjechać do obcego kraju, gdy nadal cię kochałam i nosiłam twoje dziecko. Ta samotność, tęsknota i ból, Jack! Te miesiące, kiedy byłam w ciąży... I gdy Jacqueline się urodziła... Tylko świadomość, że nie ma innej drogi, utrzymała mnie przy życiu. Nie mów mi teraz, że źle zrobiłam.

Dłuższą chwilę patrzył jej badawczo w oczy, po czym wyprostował się i odwrócił do niej bokiem. Przeczesał palcami włosy.

- Ciekaw jestem - powiedział - czy jest jeszcze jakaś para ludzi, którzy kochali się i zrobili ze swego życia takie piekło. Myślisz, że są gdzieś tacy?

Nie odpowiedziała. Al« nie sądziła, by znaleźli się tacy ludzie. Na pewno nie.

- Jacqueline jest moją córką - powiedział. - Mam córkę. Ciągłe czuję się, jakbym dostał pięścią w brzuch i nie mógł złapać oddechu. Jestem ojcem.

Przypomniała sobie z bólem dzień narodzin Jacqueline - miała ciemne włoski, tak jak jej ojciec. Przypomniała sobie, jak bardzo pragnęła posłać po Jacka, mimo że była we Francji, a on został w Anglii.

Co by było, gdyby usłuchała wtedy głosu serca?

- Belle - powiedział - uznam ją za swoje dziecko. Będę na nią łożył. Nie dopuszczę, by moja córka...

- Nie - rzekła.

Odwrócił głowę, by na nią spojrzeć.

- Jesteś zaręczony z Julianą - powiedziała. - To bardzo słodka, bardzo niewinna i bardzo wrażliwa dziewczyna.

Która go nie kocha.

Nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Musimy wrócić do pokoju muzycznego - rzekła. - Oddzielnie. Miejmy nadzieję, że nikt nie skojarzy faktu, że wyszliśmy w tym samym czasie. Potem trzeba będzie pójść do kościoła. Jutro jest Boże Narodzenie i jakoś będziemy musieli je przeżyć. Nie możesz zrobić niczego, co by zmartwiło innych, Jack.

- Ale to moja córka - powtórzył.

- Owszem.

Nadal na nią patrzył. Potem zdecydowanie skinął głową i wyprostował ramiona.

- Pójdę pierwszy - rzekł. - Nic nie powiem. Nie martw się.

Patrzyła, jak idąc przez salę, oddala się od niej. I tak jak kilkakrotnie w ciągu tych ostatnich dziesięciu lat, poczuła, co znaczy rozpacz.

Juliana usiadła obok Jacka w kościelnej ławie. Ich ramiona stykały się ze sobą. Wszyscy siedzieli dość ciasno, ponieważ mieszkańców Portland House było wielu, a ławy - nieliczne. Po drugiej stronie dziewczyny siedzieli jej mama, papa i babcia. Brakowało tylko Howarda, który zasiadł w pierwszej ławie z Rosę, panią Fitzgerald i Fitzem.

Juliana spojrzała na nich ze smutkiem. Przed obiadem między papą i Howardem miała miejsce straszliwa kłótnia - kłótnia rodzinna - ponieważ Howard poprosił na plebanii o rękę Rosę i został przyjęty. Zrobił to nie pytając papę o zdanie. Papa oczywiście musiał się zgodzić - tak naprawdę nie miał wyjścia. Nie był to przecież żaden mezalians. Rosę pochodziła z dobrej rodziny i - czego aż do dzisiejszego popołudnia nie wiedział ani Howard, ani papa - jej ojciec miał niewielką posiadłość oraz majątek i mógł dać córce skromny posag.

Tak więc Rosę zostanie jej bratową. A to znaczyło, że ona, Juliana, będzie w przyszłości spotykać Fitzę nie tylko wtedy, gdy przyjedzie z Jackiem do Portland House, lecz także czasami, kiedy zjawi się w odwiedzinach u Howarda i Rosę. Na chwilę zatrzymała wzrok na Fitzu - znacznie mniej przystojnym niż Jack, ale za to sympatycznym i wesołym. Przy nim tak dobrze się czuła i śmiała tak swobodnie.

Ale było Boże Narodzenie. Próbowała myśleć o dźwiękach dzwonów i skupionych w kościele wiernych czekających na wejście pastora. Boże Narodzenie to wspaniały czas. A ona siedzi tu ze swym narzeczonym. W przyszłym roku zostanie jego żoną. Może za rok o tej porze będzie... Zarumieniła się na samą myśl o tym.

Odwróciła się, by posłać Jackowi uśmiech. Lecz jego twarz zwrócona była w drugą stronę i Juliana zauważyła, że przygląda się małej Jacqueline, córeczce Isabelli. Dziewczynka siedziała razem z matką w ławce przed nimi.

Jack lubi to dziecko, Juliana zauważyła to już wcześniej. A teraz zrozumiała dlaczego. To właśnie on odkrył, że Jacqueline pięknie gra na skrzypcach, i przekonał księżną, by pozwoliła jej wystąpić na koncercie.

Jack poczuł na sobie spojrzenie Juliany i odwrócił głowę, by na nią spojrzeć.

- Ona ma wielki talent - szepnęła Juliana.

- Jacqueline? - zapytał. - O, tak.

- Myślę, że musi być podobna do ojca - stwierdziła. - Jest zupełnie inna niż Isabella, nieprawdaż?

Przez moment zatrzymał na niej spojrzenie.

- Tak - rzekł. - Chyba masz rację.

W tej chwili wszyscy wstali, gdyż wszedł pastor.

Boże Narodzenie. Narodziny dzieciątka. Nigdy się nad tym nie zastanawiał. Kiedy był mały, ważne były zabawy i prezenty, potem - gdy dorósł - hulanki. Rzadko chodził do kościoła, zwykle starał się z tego wymigać. Nudziło go to. Zawsze to samo czytanie, zawsze te same kolędy. Zawsze świętowano narodziny tego samego dziecka.

Lecz tej nocy jemu narodziło się dziecko. Uczucie, że jest ojcem, było dla niego nowe i zaskakujące. Nie mógł oderwać oczu od swej córeczki. Jego serce wrywało się do niej.

Narodziny dziecka nie były dla Marii i Józefa takim niezmaconym szczęściem, za jakie się je dziś uważa. Towarzyszyły im ból, niewygodna, niepokój. Ale potem była już tylko radość. Radość tym większa, że nastąpiła po tych wszystkich niedolach.

Radość to coś innego niż przyjemność - zaczął sobie uświadamiać. W jego niedawnym odkryciu nie było nic przyjemnego. W rzeczywistości było ono straszliwie bolesne. A mimo wszystko ten wieczór stał się wieczorem radości. Dzisiejszej nocy został ojcem. Urodziło mu się dziecko. Szczupła, cicha, poważna, niezwykle utalentowana ośmioletnia dziewczynka. Jego córeczka.

Świętował więc w kościele, z rodziną i Juliana, nadchodzące Boże Narodzenie z bólem i radością. A w końcu także z przyjemnością.

Msza rozpoczęła się bardzo późno, zbyt późno jak dla młodszych dzieci, ale przybyły tu wszystkie z wyjątkiem Kennetha. Większość z nich zasnęła, zanim wielebny Fitzgerald dotarł do połowy kazania. Isabella pochyliła się nad Marcelem, ułożyła go sobie na kolanach i kołysała go, choć malec już najwyraźniej zdążył zasnąć. Jacqueline siedziała wyprostowana, wytrzymując dłużej niż brat, ale niebawem i jej głowa opadła na ramię matki. Dwukrotnie zsuwała się z niego, aż wreszcie dziewczynka się obudziła.

Za drugim razem zerknęła przez ramię i pochwyciła spojrzenie Jacka. Uśmiechnął się

do niej i skinął na nią palcem. Potem wstał, przechylił się nad ławką i podniósłszy dziewczynkę, posadził ją sobie na kolanach. Isabella, przestraszona, odwróciła głowę.

A jego córeczka przytuliła się do niego i mimo insomnii - którą musiała odziedziczyć po nim, jak nagle sobie uświadomił - wkrótce zasnęła w jego ramionach, ciepła, spokojna i ufna.

Teraz była już tylko sama przyjemność, sama radość.

Nadeszło Boże Narodzenie.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Rozdawanie prezentów pierwszego dnia świąt odbywało się kameralnie - każda rodzina zbierała się razem i miała swoją małą uroczystość. Oczywiście później wszyscy mieli się spotkać w salonie, by wręczyć upominki służbie, wypić drinka, zjeść placek bakaliowy, a potem pośpiewać kolędy.

Jacqueline i Marcel przyszedli do pokoju Isabelli, wspięli się na jej łóżko i potrząsali nią, podczas gdy ona udawała, że śpi. Potem, gdy nadal udawała, że nie wie, o co chodzi, wyjaśnili jej, jaki to dzień, i upomnieli się o prezenty - w każdym razie zrobił to Marcel, podskakując na kolanach na łóżku.

- Prezenty? - Isabella zmarszczyła czoło. - Hm, prezenty. Czy nie zapomniałam ich zabrać z Londynu? A może były w tej torbie, którą zostawiłam w domu w garderobie i zapomniałam znieść do powozu?

- Mamo... - Jacqueline uśmiechnęła się i wślizgnęła obok matki pod kołdrę.

- Maman! - Zrozpaczony Marcel aż podskoczył.

- A tak, już sobie przypominam. - Isabella się uśmiechnęła. - Chyba wzięłam tę torbę. Ale gdzie, do licha, ją położyłam? Nie pamiętam, żebym ją widziała po przyjeździe.

- Mamo! - Jacqueline się śmiała.

- Maman! - Marcel nie był pewny, czy mama się z nim droczy, czy mówi poważnie, więc nie było mu do śmiechu.

- Chyba muszę pójść do garderoby i poszukać - rzekła Isabella spuszczać nogi z łóżka.

Wzięła poduszkę i rzuciła nią w Marcela, który znowu zaczął podskakiwać.

Uwielbiała te świąteczne poranki, choć w zeszłym roku Boże Narodzenie było smutne, ponieważ po raz pierwszy nie było z nimi Maurice'a. Nie знаła cudowniejszego uczucia niż to, którego doświadczała patrząc, jak dzieci, zauroczone, otwierają pudełka i z zachwytem wykrzykują na widok nowych zabawek, książek i ubranek. Zawsze odpakowywały prezenty po kolei - tylko jeden na raz - tak by trwało to jak najdłużej.

- Cóż! - Zaśmiała się i spojrzała ponurym wzrokiem na stosy papieru i wstążek po prezentach, piętrzące się na łóżku i podłodze, kiedy już było po wszystkim. - Nie sądzicie, że należałoby tu posprzątać?

Jacqueline uklękła na łóżku i zarzuciła mamie ręce na szyję.

- Dziękuję, mamusiu, za lalkę i sukienkę, i mufkę, i książeczki, i wstążki do włosów -

rzekła. - Są śliczne.

Marcel klęczał na łóżku oparty na łokciach, z pupą uniesioną do góry i policzkiem przytkniętym do pościeli - właśnie wsadzał na konia ołowianego żołnierzyka, podczas gdy inne zabawki poniewierały się wokół wśród papierów.

Isabella ponownie się roześmiała.

- Teraz szybko pójde się ubrać - powiedziała - a potem posprzątam i przeniesiemy się do pokoju dzieciennego, zgoda?

- Dobrze, mamusiu - odparła Jacqueline, starannie układając swą lalkę w łóżku.

- Naaaprzód! - zawołał Marcel, jego koń zarył w kołdrę, a żołnierzyk poszybował w powietrze.

Pokój dziecienny był pusty - wszystkie dzieci przebywały teraz z rodzicami, a niańki miały wolny dzień. Marcel nie mógł się doczekać, kiedy zostanie ubrany i będzie mógł wrócić do zabawy w wojnę. Isabella pochyliła się nad Jacqueline, ubierając ją w nową żółtą sukienkę z falbankami i szczotkując włosy córeczki, aż stały się jedwabiste i lśniące. Potem przewiązała je także nową żółtą wstążką, kilkakrotnie poprawiając kokardę, dopóki nie była idealna.

Dziecko Jacka - pomyślała patrząc na lustrzane odbicie córki. Najdroższa pamiątka po tamtym roku miłości. Rzadko - prawie nigdy - nie myślała tak o Jacqueline. Traktowała ją jak niezależną osobę. Podobnie jak Marcela. Kiedy nosiła go w łonie, bała się, że nie będzie potrafiła kochać dziecka Maurice'a tak, jak kochała Jacqueline. Ale jej obawy okazały się płonne. Oboje byli jej dziećmi i oboje bardzo kochała.

- Mogę pobawić się nową lalką, mamusiu? - zapytała teraz córka.

- Oczywiście, że tak. - Isabella uśmiechnęła się i poszła z Jacqueline w głąb pustego pokoju dzieciennego. Może powinna je zabrać na dół do salonu? Pewnie już wszyscy się tam zebrali - dzieci mogłyby razem z innymi radować się świątecznym porankiem i prezentami. Egoistycznie jednak pragnęła spędzić przedpołudnie sama z dziećmi. Jacqueline i Marcel - to był cały jej świat.

„Zapytaj mnie za sto czy dwieście lat, co do ciebie czuję... Kocham cię. Jesteś jedyną kobietą, jaką kiedykolwiek kochałem i jaką będę kochał”.

Nie. To już się skończyło. Jack nie należał już do jej świata, chociaż kiedyś nim był. To dzieci nadają teraz sens jej życiu. Może po powrocie do Londynu powinna zacieśnić kontakty towarzyskie z hrabią Helwick? Ale pomyśli o tym jutro. Nie dzisiaj.

Nagle otworzyły się drzwi, więc podniosła głowę. Lecz dzieci były szybsze.

Marcel wydał radosny okrzyk i pobiegł do drzwi.

- Proszę wejść i zobaczyć! - zapiszczał z podnieceniem. - Niech pan zobaczy, co dostałem! Jeśli pan chce, może się pan pobawić moimi żołnierzykami!

Nawet Jacqueline pospieszyła w kierunku przybysza z niezwykłą dla niej dziecięcą wylewnością.

- To nowa sukienka - rzekła. - I nowa wstążka. W moim ulubionym kolorze. Mam też nową lalkę.

Nagle jednak dzieci zatrzymały się, patrząc zaintrygowane na Jacka, który wyjął coś zza pleców.

- Prezenty! - wykrzyknął Marcel. - Dla nas? Jack zrobił grymas.

- Dlaczego miałbym wam dawać prezenty? - zapytał.

- Bo jest Boże Narodzenie - odparła Jacqueline, a kiedy Jack przeniósł na nią wzrok, jego uśmiech złagodniał.

Serce Isabelli skurczyło się boleśnie. Nie powinien tu przyjść. Powinien być z Julianą. Albo z matką i dziadkami. Albo z siostrą i jej dziećmi. W każdym razie nie tutaj. Lecz Jacqueline to jego córka, a on przez osiem lat był pozbawiony ojcowskich radości.

Jack spojrział z daleka na Isabellę, ciągle się uśmiechając.

- Wesółych świąt - powiedział.

- Wesółych świąt. - Nie była w stanie odwzajemnić uśmiechu.

- Która paczka jest dla mnie? - Marcel znowu zaczął podskakiwać, tym razem po podłodze. - Proszę mi dać!

- Marcel - upomniała go zmieszana Isabella. Ale Jack się tylko śmiał.

- Ta duża jest dla ciebie - odparł - a ta mała dla Jacqueline. Chodźmy do mamy i tam otworzymy prezenty.

Sam zachowuje się jak mały chłopczyk - pomyślała z bólem Isabella, widząc, że jego oczy błyszczą z radości.

Kij i piłeczka do krykieta nie były na tę porę roku - wyjaśnił Jack, gdy malec otworzył paczkę i wykrzyknął z zachwytem. Nie były też nowe.

- Należały do mnie, kiedy byłem mały - powiedział. - Zostały schowane na strychu. Poszedłem tam zeszłej nocy, znalazłem je i trochę nad nimi popracowałem, by wyglądały na nowsze. - Zmierzył Marcelowi włosy. - Wiosną ktoś musi cię nauczyć tej angielskiej gry.

- Pan? - zapytał chłopczyk.

- Może ja - odparł Jack.

Musiał się bardzo napracować - pomyślała Isabella. Zarówno piłeczka, jak i kij były czyste i wyglądały jak nowe. Przez całe lato Marcel zameczał ją o zestaw do gry w krykieta.

Mówiła wtedy, że może kupi mu w przyszłym roku - typowa wymówka rodziców.

Tymczasem przysłała kolej na Jacqueline. Dziewczynka stała cierpliwie z paczuszką w rękach, ciesząc się na tę niespodziankę. Potem odpakowała prezent i patrzyła na niego wielkimi oczami.

- Przypnę ci ją do twojej nowej sukienki - powiedział Jack z taką czułością w oczach, że Isabella poczuła łzy pod powiekami.

Delikatnie przypiął broszkę do sukienki Jacqueline.

Gdzie, na Boga, znalazł w tak krótkim czasie brylantową broszkę w kształcie skrzypiec ze srebrnym smyczkiem leżącym na strunach? - pomyślała Isabella.

- Dziękuję panu - rzekła Jacqueline. - Zawsze będę ją nosiła.

Uniosła rączki, by zarzucić mu je na szyję. Jack nie spieszył się z odejściem. Marcel chciał pobawić się w wojnę i nie minęło kilka minut, gdy obaj znaleźli się na podłodze. Jack leżał wyciągnięty na boku, z głową opartą na dłoni. Ustawiał szeregi piechoty, by powstrzymać atak kawalerii Marcela.

- Myślę, że należy ich ustawić w czworobok - powiedział. - W ten sposób piechota odpiera ataki żołnierzy na koniach. Prawie zawsze jej się to udaje. Wiedziałaś o tym?

- Ja ich rozniosę! - oświadczył Marcel z podnieceniem.

Jack wybuchnął śmiechem.

Jacqueline także znalazła się na podłodze. Siedziała obok Jacka, a on obejmował ją ramieniem, przygotowując swój oddział do walki. Dziewczynka pokazywała mu swoje książeczki, a Jack czynił cuda, by obojgu poświęcać tyle samo uwagi, tak by żadne nie czuło się zaniedbywane - jak prawdziwy ojciec wobec swoich dzieci.

Isabella siedziała i przyglądała się temu ze ściśniętym gardłem, połykając łzy. Gdy zobaczyła Jacka z paczkami w rękach, przestraszyła się, że przyniósł prezenty tylko dla Jacqueline i że Marcel będzie gorzko rozczarowany. Spodziewała się również, że całą uwagę Jack poświęci córeczce.

On tymczasem śmiał się, spoglądając na poroztrącane szeregi żołnierzyków, i wyjaśniał Marcelowi, że w rzeczywistości kawaleria tak łatwo by nie zwyciężyła, gdyż konie nie chcą nacierać na sterzące bagnety.

- Te zwierzęta są znacznie mądrzejsze od ludzi - powiedział. - Przywrócimy armię do życia? Na dworze jest pochmurno - rzekł ustawiając żołnierzyki, tym razem w jednym szeregu. - Myślałem, że dziś już nie zobaczymy słońca. A jednak zobaczyliśmy - jest nim Jacqueline z kokardą i w nowej sukience. Czy to najładniejsza dziewczynka, jaką kiedykolwiek widziałem, czy najśliczniejsza ze wszystkich, jakie widziałem?

- Przecież to to samo - rzekł Marcel śmiejąc się wesoło.

- To znaczy, że jest rzeczywiście najładniejszą dziewczynką ze wszystkich - stwierdził Jack, a Jacqueline spojrzała na niego rozjaśnionymi oczami.

Cóż za uroczą, rodzinną sceną - pomyślała Isabella, starając się wrócić do rzeczywistości. Dziś wieczorem miały być ogłoszone zaręczyny Jacka z Juliana. Jutro razem z dziećmi będzie musiała wrócić do Londynu. Ale wiedziała, że to nie koniec. Wszystko w jego oczach, głosie i zachowaniu mówiło jej, że Jack nadal zechce spotykać się z córką. I że będzie dobry także dla Marcela.

A jego zachowanie poprzedniego wieczora... Nigdy nie zapomni, jak podniósł Jacqueline z ławki i wziął ją na kolana, by mogła spać. I jak otulił ją swym płaszczem, niósł przez całą długą drogę do domu i pocałował kładąc małą do łóżeczka, zanim zostawił ją pod opieką matki i niańki.

Nigdy nie podejrzewała, że Jack potrafiłby kochać dziecko - nawet swoje własne.

- Powinniśmy zejść na dół - rzekła. - Wszyscy już na pewno zebrali się w salonie i będą na nas czekać.

- Tak - niechętnie przyznał Jack. - Chyba musimy tam iść. Schowamy żołnierzyki do pudełka, kolego?

- Opowiem moim przyjaciołom, jakie dostałem prezenty - rzekł Marcel zrywając się na równe nogi.

- Ale najpierw żołnierze pójdą spać - stanowczo powiedział Jack.

Isabella wiedziała, że ten świąteczny poranek na zawsze pozostanie w jej pamięci niczym najcenniejszy skarb.

To był zwariowany dzień. Dzieci szalały po całym domu i na dworze. Po południu w sali balowej odbyły się krótkie próby, a potem mężczyźni zaczęli ustawiać krzesła i przygotowywać scenę, gdyż tego dnia nie chciano zbyt długo zatrzymywać służby. Z Londynu przyjechała orkiestra, która miała grać na balu, i muzycy stroili instrumenty próbując ćwiczyć, podczas gdy po podłodze z hałasem przesuвано krzesła, a dzieci tylko śmigały między nogami - zarówno ludzi, jak i krzesel. Pod wieczór zaczęli zjeżdżać goście z Londynu. Księżna witała ich na tarasie - mimo panującego na dworze zimna - a potem członkowie rodziny, w asyście jednego albo dwojga z dzieci, odprowadzali ich do pokoi. Howard z rodzicami i Juliana udał się na plebanię i sprowadził Fitzgeraldów do Portland House.

Cały czas całowano się pod jemiolą.

- Wstyďte się! - wykrzyknęła siostra księżnej uśmiechając się dobrotliwie, gdy

przyłapała tam Connie i Sama.

- Po to jest jemioła - dodała szybko księżna, gdy miejsce Connie i Sama zajęli Howard z Rosę.

Freddie martwił się o swój strój sceniczny. Właściwie postanowiono, że aktorzy nie będą mieli specjalnych kostiumów, z wyjątkiem Isabelli, która przywiozła ze sobą wszystko, czego potrzebowała. Lecz Freddie nie mógł się zdecydować, czy ma włożyć na siebie zwykłą białą kamizelkę, do czego zmuszono go przed ostatnim przedstawieniem, kiedy to grał rolę służącego, czy - jak mówił - pokazać się w czymś bardziej eleganckim.

- Fred - rzekł Alex, pocieszająco klepiąc go w ramię.

- Która z twoich kamizelek jest najbardziej efektowna? Najbardziej ze wszystkich?

Freddie zmarszczył czoło.

- Chyba ta czerwona - odparł. - Ruby co prawda mówi, że to pomarańczowy kolor, ale kamizelka jest czerwona. Niech mnie kule biją, Alex, jest bardzo elegancka! Wszyscy zwracają na nią uwagę.

- O tak, niewątpliwie - powiedział Alex. - Wobec tego włóż tę czerwoną, Freddie, przyjacielu. Na pewno zrobi wrażenie na widzach.

Freddie bardzo się ucieszył, lecz po chwili coś przyszło mu do głowy.

- Ale czy nie odwróci uwagi od Isabelli? - zapytał.

Nie chciałbym tego. Isabella to rozumna kobieta. I prawdziwa aktorka. A ja nie jestem zbyt bystry.

- Zaufaj mi. - Alex uścisnął mu ramię. - I włóż czerwoną kamizelkę.

- Na pewno będziesz w niej wyglądał bardzo elegancko, Freddie - dodała Annę, przez co Alex o mało nie zdradził się niestosownym uśmiechem.

Claude - jak zwykle przed rodzinnymi przedstawieniami - popadł w czarną rozpacz. Przy zdrowych zmysłach utrzymywała go jedynie myśl - z czego zwierzał się wszystkim, którzy tylko chcieli go słuchać, a głównie żonie - iż widzowie będą zwracali uwagę tylko na Isabellę, a ona jest doskonała.

- Ten niedołęga Freddie! - skarżył się. - Dziś po południu pamiętał tylko jeden wers i ciągle zwracał się do Porcji „uczony sędzio” - przynajmniej z pięćdziesiąt razy. Przynajmniej!

Wyjął chusteczkę, by otrzeć pot z czoła. Boże Narodzenie w Portland House zbliżało się do punktu kulminacyjnego.

W ciągu ostatnich dni Jack przyglądał się próbom wszystkich scen, które miały być wystawione. Musiał przyznać - już nie tak niechętnie - że Isabella jest rzeczywiście wielką aktorką. Jednak wieczorem, po obiedzie, kiedy już przyjechali goście z okolicy, gdy wszyscy

zasiedli w sali balowej i przedstawienie się zaczęło, Jack stwierdził, że aż do tej chwili Isabella właściwie nie grała.

Choć jego scena miała być na końcu i aż go mdliło ze zdenerwowania i strachu, że zrobi z siebie głupca, to jednak tego wieczoru uważnie patrzył i słuchał. Tak go oczarowała śmiała, bystra Porcja, że z miejsca się w niej zakochał. Potem z kolei zaintrygowała go kłótniwa, złośliwa Kasia, że aż miał ochotę samemu ją poskromić. Zamknąłby jej usta pocałunkiem. A kiedy w następnej scenie pojawiła się już ujarzmiona przez Petruchia, od razu zrobiło mu się żal, że tak spokorniała. Lecz zaraz zobaczył jej oczy i zrozumiał, że dostała cenną lekcję. W spojrzeniu Kasi dostrzegł inteligencję, łagodność i rozbawienie. I wiedział, że publiczność także to zauważyła. Kasia wcale nie została poskromiona. Po prostu nauczyła się czegoś. Biedny Petruchio nie wie jeszcze, co go czeka.

Do licha, ona naprawdę jest dobra - pomyślał Jack, gdy naraz głośne oklaski wyrwały go z zamyślenia i uświadomił sobie, że przyszła kolej na niego. Mógł jej pomóc w karierze. Mógł utwierdzać ją w zamiarze zostania aktorką - chociaż nie potrzebowała do tego zachęty - i jednocześnie wspierać uczuciowo. Ale był zbyt młody. I niezbyt mądry. Zmarnował okazję, by na stałe stać się częścią jej życia. A teraz miał zagrać z nią w scenie, w której znowu przypadła mu rola głupca. Otello zabił w szale zazdrości. On, Jack, wprawdzie nie zabił Belle, lecz zniweczył wszystko, co było piękne w jego życiu, i omal nie zniszczył także jej.

Zrobiło mu się zimno na myśl, że podczas tej ostatniej kłótni, po której odeszła od niego, była w ciąży. Nosiła w łonie Jacqueline.

Ta broszka! Dawno temu podarował ją Hortie i zeszłej nocy poszedł do siostry błagając, by mu ją oddała. Obiecując dać jej w zamian coś większego i ładniejszego, gdy tylko wróci do Londynu. Jakimś cudem miała ją ze sobą. Ale Hortie zawsze wozi całą swoją biżuterię - ku niezadowoleniu Zeba i przerażeniu matki. Hortie myślała, że broszka ma być dla Juliany, i zdziwiła się, kiedy tego ranka zobaczyła ją przypiętą do sukienki Jacqueline.

Alex wiedział. Pochwycił spojrzenie Jacka, gdy Jacqueline pokazywała broszkę babce. Nie padło między nimi ani jedno słowo, lecz Alex wszystkiego się domyślił. Annę również, sądząc po pełnym sympatii spojrzeniu, jakie mu rzuciła chwilę później. Kochana Annę!

- Jack! - syknął Claude. - Nie czas teraz myśleć o niebieskich migdałach!

Jack wskoczył na scenę. Nie mógł sobie przypomnieć ani jednej kwestii ze swojej roli. Zacerpnął w płuca powietrza przesyconego wonią perfum.

Isabella była cudowna. Juliana nie wyobrażała sobie, że patrząc na aktora można się tak zapomnieć i płakać razem z nim. Isabella jako Porcja wzbudziła jej podziw, a jako Kasia rozbawiła ją. Natomiast jako Desdemona była wprost niezwykle wzruszająca, kiedy czekała

na powrót męża do domu, przeczuwając śmierć i wiedząc, że jest na nią zagniewany, choć nie znała powodu. Juliana z przerażeniem i rozpaczą patrzyła, jak Otello, który zapłakał nad śpiącą Desdemoną i pocałował ją, postanawia zabić żonę, mimo że ją kocha.

Jack był dobry w roli Otella. Można by przysiąc, że naprawdę kocha Desdemonę, i Julianie serce się krajało, gdy patrzyła, jak ci dwoje, tak bardzo w sobie zakochani, nie mogą się porozumieć. Potem nastąpił tragiczny koniec i dziewczyna nie zdołała powstrzymać łez. Płakała nad niewinną, słodką Desdemoną i nad jej mordercą - wprowadzonym w błąd Otellem. I płakała nad tym zepsutym światem, w którym miłość nie zawsze oznacza szczęście, w którym jest tyle nieporozumień i tragedii, ponieważ ludzie nie rozmawiają ze sobą otwarcie - nawet jeśli się kochają.

- Wspaniałe - powiedział jej ojciec, gdy wokół rozległy się oklaski. - Wprawdzie nastrój sztuki niezbyt pasuje do Bożego Narodzenia, ale doskonała gra aktorska zawsze jest warta obejrzenia.

Juliana czuła się oszołomiona. Przez chwilę nie była nawet w stanie klaskać. Poczowała na dłoni dotknięcie czyichś palców i spojrzała na Fitzę, który siedział obok niej. Podczas obiadu pastor ogłosił zaręczyny Howarda i Rosę i teraz obie rodziny zajmowały sąsiednie miejsca.

Juliana przypomniała sobie, że czuła się przygnębiona jeszcze przed obejrzeniem „Otella”. Chociaż „przygnębienie” to nie najlepsze słowo na określenie jej nastroju. Była to raczej egzaltacja.

- Czy ona nie jest wspaniała? - rzekła.

- To chyba najlepsza aktorka na świecie - odparł. - Nie przeszlabyś się ze mną, zanim sala zostanie przygotowana na bal?

Bal! Julianie zrobiło się słabo. Czy oświadczyńy zostaną ogłoszone na początku, na końcu czy w połowie balu?

Nie powinna nigdzie iść z Fitzem i sądząc po jego wyrazie oczu, on także to wiedział.

- Dziękuję - odrzekła. - Będzie mi bardzo miło.

- Dokąd pójdziemy? - zapytał, kiedy opuścili salę balową.

Juliana czuła, że żadne z nich nie chciałoby pójść za innymi do salonu, hallu czy któregoś z saloników.

Zaprowadziła go więc do galerii. Było tam ciemno - salę oświetlał jedynie blask księżyca wpadający przez okno.

- Dziś wieczorem zostaną ogłoszone twoje zaręczyny, nieprawdaż? - zapytał Fitz splatając jej palce ze swoimi i podchodząc z nią do jednego z okien.

- Tak - odrzekła.

- Musisz być bardzo szczęśliwa.

- Mhm.

- Naprawdę?

Zaczerpnęła oddechu, by coś na to rzec, ale nic nie powiedziała.

- Więc jesteś szczęśliwa? - zapytał jeszcze raz, ściskając mocniej jej palce.

- Nie. - To był szept.

- Dlaczego? Nie lubisz go?

- Lubię - odparła.

- Więc dlaczego? - nalegał.

Ona jednak nie mogła odpowiedzieć na to pytanie, więc milczała.

- Julie - rzekł. - Kocham cię. Jestem znacznie gorszą partią niż Jack i twój ojciec nie oddałby mi cię nawet za tysiąc lat. Ale mój dziadek zaprosił mnie do siebie i zaproponował, bym zarządzał jego posiadłością, ponieważ dotychczasowy zarządca jest już stary i odchodzi. Pewnego dnia ten majątek będzie mój. Lecz to i tak niczego nie zmienia, prawda?

- Tak - odrzekła.

- Gdybym był tak bogaty jak Jack - powiedział - i gdybym był wnukiem księcia, wyszłabyś za mnie, Julie?

- Och, Fitz! - zawołała. - Te wszystkie rzeczy nie mają dla mnie znaczenia. Nie chciałam się w tobie zakochać. Nie spodziewałam się tego. Bardzo cię polubiłam, dobrze mi się z tobą rozmawiało. A potem... a potem zakochałam się w tobie.

Znalazła się w jego ramionach. Objął ją mocno, przytulił i wreszcie ustami zaczął szukać jej ust. Ona zaś westchnęła i poddała się temu.

- Co zrobimy? - zapytał wreszcie, przytulając jej głowę do swego policzka. - Czy mam porozmawiać z Jackiem, zanim będzie za późno? Albo z twoim ojcem?

- Nie - odparła.

- A więc co? - nalegał. - Jest za późno? Nie możesz się już wycofać?

Poczuła na swych ramionach wielki ciężar odpowiedzialności i przeraziła się. Nikt nie mógł jej pomóc, nie było też dobrego wyjścia z tej sytuacji. Nie mogła schować się za niczymi plecami - ani ojca, ani babci, ani Jacka, ani Fitz'a. W tej sprawie sama musiała zdecydować.

Chociaż to nie do końca była prawda. Nie musiała podejmować żadnej decyzji. Ojciec i babcia dokonali za nią wyboru i ona się na to zgodziła. Jack był wobec niej uczciwy. Dał jej tydzień na zastanowienie i już udzieliła odpowiedzi. Powiedziała „tak”. Nie mogła zranić

Jacka, choć tak naprawdę nie wierzyła, że on ją kocha.

A Fitz ją kochał. I ona odwzajemniała to uczucie. O, tak! Kochała go całym sercem. Był jej przyjacielem. I kimś znacznie droższym.

Tak, musi coś zrobić.

- Fitz - rzekła - zejdźmy na dół. Będą na nas czekać.

- Masz rację - odparł podając jej ramię. - Wybacz mi, Julie. Zasmuciłem cię.

Naprawdę chciałbym, abyś była szczęśliwa, wiesz o tym. A Jack to wspaniały człowiek.

- Tak, wiem - powiedziała i na krótką chwilę oparła głowę na ramieniu Fitz'a.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Ogarnęło go dziwne uczucie spokojnej rezygnacji. Podczas balu miały być ogłoszone jego zaręczyny. Wiedział o tym od chwili przyjazdu do Portland House, ale w ciągu tego tygodnia tyle się działo, że zawsze coś innego zajmowało jego uwagę. Bal - punkt kulminacyjny świątecznych imprez - wciąż był dla niego odległą przyszłością.

Lecz teraz to już nie była przyszłość. Tańce miały się rozpocząć za chwilę. Rodzina i goście ponownie zbierali się w sali balowej. Muzycy stroili instrumenty. Wkrótce zacznie się zabawa.

Za dwie godziny będzie oficjalnie zaręczony. Jego dziadek i ojciec Juliany mieli ogłosić zaręczyny przed kolacją. Oczywiście dla nikogo nie będzie to niespodzianką.

Ubrany w swój srebrno - niebieski strój wieczorowy, bezwiednie robił duże wrażenie na paniach, które wydawały się bardzo zaintrygowane faktem, że partnerował wielkiej de Vacheron. On jednak czekał na Julianę. Miał z nią zatańczyć pierwszy taniec.

Miał nadzieję, że Belle nie zjawi się na balu, choć liczni goście czuliby się tym zawiedzeni. Sądził jednak, że ona nie przyjdzie. Nie wierzył, że jest jej całkiem obojętny. Ogłoszenie jego zaręczyn mogłoby być dla niej zbyt bolesne albo przynajmniej krępujące.

To już koniec - pomyślał. Właściwie skończyło się już jakiś czas wcześniej. Ód jutra wszystkie swoje uczucia będzie musiał skierować na Julianę. Odwrócił się i uśmiechnął, gdy dziewczyna stanęła w drzwiach, zarumieniona, z błyszczącymi oczami, drobna i nie wyglądająca na więcej niż szesnaście lat. Wyciągnął do niej rękę i skłonił się, gdy ją ujęła.

- Nie miałem okazji powiedzieć ci, moja droga, jak ślicznie wyglądasz dzisiaj wieczora - powiedział. - Wszyscy mężczyźni na tej sali będą mi zazdrościli.

Spojrzała na niego błyszczącymi oczami, a on zauważył, że dziewczyna z wysiłkiem przełyka ślinę. Jego uśmiech złagodniał.

- Jesteś zdenerwowana - rzekł. - Ja też. Ale wszystko będzie dobrze. Wyglądasz przeuroczo.

- Czy... czy mogłabym z tobą porozmawiać? - zapytała.

Coś się stało. Od razu się zorientował. To coś więcej niż zwykle zdenerwowanie.

- Tak, oczywiście, moja droga - odparł prowadząc ją w stronę drzwi wiodących do jednego z przedsionków sali balowej. Kiedy już się tam znaleźli, stanowczym ruchem zamknął za sobą drzwi.

- Co się stało? - zapytał.

- Czy ty mnie kochasz? - Odwróciła się i spojrzała na niego dużymi przestraszonymi oczami. Na policzkach miała rumieńce.

Do czorta, dowiedziała się, że on i Belle spędzają dużo czasu ze sobą. A za nic w świecie nie chciałby zranić tej dziewczyny.

- Bardzo cię lubię, Juliano - rzekł. - Tak, kocham cię. - Nie skłamał. Istnieją różne rodzaje miłości.

- Ach! - powiedziała tylko.

- Bałaś się, że cię nie kocham? - Ujął jej dłoń i zatrzymał w swojej ręce.

- Miałam nadzieję, że nie - odparła. A potem spojrzała na niego spłoszona i próbowała uwolnić dłoń. - Och, przepraszam. Wybacz mi. Miałaś rację. Jestem bardzo zdenerwowana. Ja... och, wybacz mi.

- Dlaczego miałaś nadzieję, że cię nie kocham? - zapytał.

- Ja... ja nie wiedziałam, co mówię - odrzekła spuszczać wzrok i patrząc na jego ręce. Lecz zaraz potem ponownie spojrzała mu w twarz, a on dojrzał w jej oczach tę przemianę, którą zauważył już kilka razy wcześniej. Grzeczna, posłuszna dziewczynka zamieniła się w pełną determinacji kobietę. Z tą determinacją niedawno z nim flirtowała. Tego wieczora jednak chodziło o coś innego. - Lubię cię - powiedziała. - Na początku wprawdzie myślałam, że jesteś zimnym człowiekiem, trochę zepsutym, ale potem stwierdziłam, że jesteś dobry i szlachetny. Sądzę, że w pewnym sensie zakochałam się w tobie. Wiem, że byłbyś dobrym mężem. Nie mogłabym trafić lepiej. Ale nie chcę wyjść za ciebie.

Jack poczuł, jak nieśmiało budzi się w nim nadzieja.

- Możesz mi powiedzieć dlaczego? - zapytał łagodnie.

- Tak - odrzekła. - Chciałabym... poślubić kogoś innego.

- Kogo? - Ze zdziwienia uniósł brwi. - Mógłbym wiedzieć?

- Fitz - odparła odważnie.

- Fitz? - Nic nie mogłoby go bardziej zdziwić. Fitz nie wydawał mu się typem romantycznego kochanka, który mógłby się podobać tak pięknej kobiecie jak Juliana. Ale przypomniał sobie, że w ciągu ostatniego tygodnia spędziła dużo czasu w towarzystwie Fitz. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że...

- Kocham go - powiedziała czyniąc rozpaczliwe, acz widoczne wysiłki, by opanować panikę.

Nadal trzymał jej dłoń.

- I chciałabyś, abym zwolnił cię z danego słowa? - zapytał. - Nie patrz na mnie z takim

przerażeniem. Wszystko będzie dobrze. Nie zmuszałbym cię do małżeństwa.

- Nie chciałam cię zranić. - Znowu stała się małą dziewczynką. Jej oczy napelniły się łzami.

Uniósł jej dłoń do swoich ust.

- Juliano - powiedział - nie czuję się zraniony. Uwierz mi. Byłby to dla mnie zaszczyt, gdybyś została moją żoną, ale nie musisz się obawiać, że zaangażowałem się uczuciowo. Bardzo cię lubię. Lecz to, że cię stracę, nie złamie mi serca.

Dyplomacja nie była jego mocną stroną. Miał nadzieję, że nie powiedział niczego, co mogłoby ją obrazić czy zranić.

- Nic strasznego się nie stało - rzekł. - Zaręczyny nie zostały oficjalnie ogłoszone, mimo że wszyscy się tego spodziewają. Poszukam twojego ojca i pomówię z nim.

- Nie - powiedziała i Jack zauważył, że mała dziewczynka znowu gdzieś się podziała. - Ja porozmawiam z papą. Nie mogę pozwolić, byś wziął na siebie winę za to, co się stało. Bo nie ma w tym twojej winy. Byłeś... byłeś dla mnie bardzo dobry. Gdybym nie poznała Fitzu...

Roześmiał się.

- Niezbyt pochlebia mi, że uważa się mnie za drugiego w kolejce po Fitzu. To nie znaczy, że mam coś przeciwko niemu. Czy twój ojciec zgodzi się na to małżeństwo?

- Niechętnie - rzekła unosząc głowę trochę wyżej. - Może w ogóle się nie zgodzi. Ale mam już dziewiętnaście lat. Za dwa lata sama będę mogła decydować, kogo chcę poślubić. Jestem gotowa czekać na Fitzu, jeśli tylko on nie będzie miał nic przeciwko temu.

Jack uśmiechnął się i jeszcze raz ucałował jej dłoń.

Lubił tę dziewczynę - a właściwie kobietę. W jakiś sposób przypominała mu jego babkę, i to nie tylko z wyglądu. Pomyślał, że dorosła bardzo szybko.

- Fitz jest szczęściarzem - powiedział. - Życzę ci jak najlepiej, Juliano. Z całego serca. Porozmawiam z moją matką i dziadkami. Z ich strony nie spotkają cię żadne przykrości ani uraza, obiecuję ci. Po prostu zaręczyny nie zostaną ogłoszone. Nikt nie będzie miał powodu się skarżyć, gdyż cała sprawa utrzymywana była w wielkiej tajemnicy. Albo przynajmniej tak myślą nasze matki. - Skrzywił twarz w uśmiechu.

Dziewczyna zagryzła dolną wargę, a potem uśmiechnęła się.

- Dziękuję ci, że byłeś taki dobry - rzekła. - Nie zasłużyłam na to.

A więc o to chodziło - pomyślał Jack, wiodąc Julianę do sali balowej i odpowiadając śmiałym spojrzeniem na domyślne uśmieszki kilku impertynenckich kuzynów. Prowadząc dziewczynę do rodziców, czuł, że jej ręka, wsparta na jego ramieniu, drży, lecz kiedy spojrzął w twarz Juliany, dostrzegł na niej stanowczość.

Sklonił się i przeprosił towarzystwo. Jego matka stała w grupie gości i rozmawiała. Jack poprosił ją na chwilę i razem z nią skierował się w stronę drzwi, w których pojawili się dziadkowie i już zdążyli dać znak do rozpoczęcia pierwszego tańca.

Dwie minuty później wszyscy czworo znaleźli się w bibliotece, a Jack podsuwał dziadkowi podnózek.

- Zaręczyny nie zostaną ogłoszone - oznajmił bez żadnych wstępów. Babka właśnie coś mówiła na temat nieobecności gospodyni na balu. - Ja i Juliana nie zaręczymy się i nie pobierzemy.

Choć raz księżnej odjęło mowę. Książę zagulgotał - mogło to być kaszlnięcie. Matka Jacka gwałtownie usiadła na najbliższym krześle i rozłożyła wachlarz.

- Jack - powiedziała. - Jak możesz? Jak mogłeś to zrobić swej mamie, babci i dziadkowi?

- Oboje z Juliana uzgodniliśmy, że zerwiemy nasze zaręczyny, zanim zostaną oficjalnie ogłoszone - rzekł stanowczym tonem. - Chyba nie sądzisz, mamó, że zrobiłbym coś tak niegodnego i sam zerwał zaręczyny?

- Chodzi o Bertranda Fitzgeralda, jak mniemam - zadziwiająco spokojnie odezwała się księżna. - Zauważyłam, że ci dwoje bardzo dobrze się czują w swym towarzystwie. Bałam się, że mogą się w sobie zakochać. Holyoke nigdy nie zgodzi się na to małżeństwo. To głupia dziewczyna.

- Myślę, że nie, babciu - odparł Jack. - Zaczynam widzieć w niej całkiem zdecydowaną kobietę, która zdała sobie sprawę, że to jej własne życie i powinna sama nim pokierować.

- Ach, tak - rzekła babka z niespodziewanym zrozumieniem.

Matka natomiast znalazła chusteczkę i przyłożyła ją do oczu.

- Biedny Jack - zaszlochała. - Porzucony i zrozpaczony!

Jack cmoknął.

- Ani jedno, ani drugie, mamó - rzekł. - Powiedziałem ci, że to było uzgodnione. Chyba nie muszę wyjaśniać niczego więcej. Pozwól, że odprowadzę cię do sali balowej.

Kiedy jednak wszyscy już wstali, powiedział im jeszcze coś. Coś, co i tak kiedyś musiałyby wyznać. Równie dobrze mógł to zrobić teraz.

- Na górze śpi dziewczynka - rzekł - która należy do naszego rodu. Jest twoją wnuczką, mamó. Jacqueline Gellee to moja córka. Moja i Belle. Chciałem, abyście to wiedzieli, ponieważ zamierzam uznać ją oficjalnie za swoje dziecko.

Niespodziewanie dla wszystkich tym razem książę przerwał ciszę, która zapanowała

po tych słowach. I nie były to jego zwykłe pomruki, tylko pełne zdanie.

- Najwyższy czas, mój chłopcze - rzekł surowo. - Dziecko ma osiem lat. Należałoby włożyć cię koniem za to, że tak długo zwlekałeś.

- Tak, dziadku - odparł Jack.

- I wydaje mi się, że jest jeszcze ktoś, do kogo powinieneś się przyznać - dodał jego wysokość.

- Tak, dziadku - zgodził się Jack.

Marcel zasnął, gdy tylko dotknął główką poduszki. Drugą noc z rzędu kładł się tak późno spać, a dzień pełen wrażeń wyczerpał go.

Jacqueline jeszcze nie spała, lecz nie skarżyła się z tego powodu. Isabella mogłaby zostawić ją i odejść. Jednak siedziała na brzegu łóżka, gładziła córeczkę po głowie, zadowolona, że ma wymówkę, by zostać w pokoju dziecinnym, podczas gdy wszystkie inne matki pobiegły, aby przygotować się do balu.

Nie chciała zejść na dół. Powiedziała to księżnej i jej wysokość nie nalegała. Goście będą zawiedzeni - rzekła - lecz droga hrabina tak ciężko pracowała nad tym wspaniałym przedstawieniem, że musi być bardzo zmęczona. Jeśliby zmieniła zamiar, z radością powitają ją w sali balowej. Naprawdę z wielką radością.

Księżna uściskała Isabellę i pocałowała ją w policzek. Jego wysokość sapnął i oświadczył, że to dla niego zaszczyt gościć ją w swoim domu.

To pradziadkowie Jacqueline - pomyślała, nieświadomie nucąc cicho jedną z kołysanek, które śpiewała dzieciom, kiedy były malutkie.

Jutro wracają do Londynu, choć zapraszano ich, by zostali dłużej. Marcel będzie zawiedziony, że już wyjeżdżają. Dziś cały dzień bawił się z innymi dziećmi nowymi zabawkami.

Rozległo się pukanie do półprzymkniętych drzwi pokoiku Jacqueline. Obie podniosły głowy.

- Jeszcze nie śpicie? - zapytał wchodząc do środka. To nie w porządku z jego strony - pomyślała Isabella.

Czy on nie rozumie, że tego wieczora już nie ma ochoty go widzieć? Wystarczy, że musiała z nim grać bardzo intymną scenę. Niezwykle trudno było jej myśleć o sobie jako Desdemonie, a o nim jako Otellu. Rzeczywistość wydawała się zbyt podobna i ta analogia wprost się narzucała.

- Nie - odrzekła Jacqueline. - Właśnie położyłam się do łóżka.

- Cóż. - Złożył ręce za sobą. - Widzę, że twoja lalka też jeszcze nie śpi. Może

powinnaś ją utulić do snu.

Ależ doskonale wygląda - pomyślała Isabella, rzuciwszy spojrzenie na jego bladoniebieski aksamitny surdut, kamizelkę wyszywaną srebrną nitką, srebrzyste spodnie i koszulę z białego płótna i koronek. Kiedyś przychodził do niej po jakichś oficjalnych przyjęciach tak wspaniale ubrany, a ona zawsze wtedy uświadamiała sobie, jaka dzieli ich przepaść.

- Zaśpiewam jej kołysankę - powiedziała Jacqueline. - Widziałam pana z mamą na scenie.

- Naprawdę? - Uśmiechnął się. - A wiesz, że twoja mama jest największą aktorką w całej Anglii? I w całej Francji? To był dla mnie zaszczyt, że mogłem z nią wystąpić.

Nigdy przedtem nie chwalił jej gry. I mimo że zrobił to tylko dla jej córki, Isabelli zrobiło się ciepło na sercu.

- Jeśli zabiorę twoją mamę - zapytał - będziesz mogła zasnąć?

Jacqueline kiwnęła głową.

- Dokąd ją pan zabiera?

- Niedaleko. Będzie tu, gdy się rano obudzisz - powiedział.

- To dobrze. - Zamknęła oczy.

Zaraz jednak otworzyła je, uniosła rączki i nadstawiła usta do pocałunku. Isabella pochyliła się i ucałowała je. A wtedy Jacqueline - jakby to była najzwyczajniejsza rzecz na świecie - uniosła ręce w kierunku Jacka, chcąc, by on także ją pocałował.

Isabella patrzyła w jego oczy, gdy schylił się i pocałował dziewczynkę - ciepłe, czułe oczy. Wolałaby, aby tu nie przychodził. Nie chciała znowu doświadczać tego bólu. W ciągu ostatniego tygodnia zbyt wiele już wycierpiała - co prawda na własne życzenie. Sama przecież zdecydowała się tu przyjechać.

- Dobranoc, Jacqueline - powiedział miękko Jack.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Nie idę na bal - rzekła Isabella, kiedy wyszli z pokoju dziecinnego. - Jestem zmęczona. Pójdę do swojego pokoju. Dobranoc.

Lecz Jack podał jej ramię i ona przyjęła je po chwili wahania. Dobrze, niech odprowadzi ją do pokoju. To wszystko jej wina. Tylko do siebie mogła mieć pretensję za te nieoczekiwane cierpienia, które przyniósł jej ostatni tydzień.

- Dokąd idziemy? - zapytała, kiedy Jack minął jej drzwi, nawet się przy nich nie zatrzymując.

- Do mojego pokoju - odrzekł.

- Nie.

- Tak - powiedział, a ona już więcej nie protestowała. Jego pokój wydał jej się znajomy, jakby bywała w nim wielokrotnie. A przecież była tu tylko raz - owego popołudnia, gdy przez godzinę leżała z Jackiem w łóżku i zasnęła na kilka minut w jego ramionach.

- Muszę iść - rzekła. - A ty powinieneś zejść na dół. Wszyscy na ciebie czekają.

Ale Jack zwrócił się twarzą do drzwi i oparł o nie obiema rękami, tak że jej głowa znalazła się pomiędzy jego dłońmi.

- Nie będzie zaręczyn, Belle - powiedział. - I nie będzie ślubu. Juliana poprosiła mnie, abym zwolnił ją z danego słowa, ponieważ chce wyjść za Fitzę... Bertranda Fitzgeralda.

Oparła głowę o drzwi. Była oszołomiona. Nie od razu mogła zareagować.

Rozchylonymi ustami nakrył jej usta, a ona mimowolnie poddała się i objęła Jacka, gdy ten otoczył ją ramionami i przyciągnął do siebie.

- Jack! - Odchyliła głowę, próbując zachować zdrowy rozsądek. - Na dole będą cię oczekiwać. Bal się zaczyna.

- Mam ważniejsze sprawy - rzekł z ustami przy jej ustach. Położył jej ręce na plecach.

- Co robisz? - Przechyliła głowę do tyłu.

- Rozpinam ci guziki - odrzekł. - Nie pytaj dlaczego, Belle. Rozbieram cię. Chcę się z tobą kochać. W tym łóżku. Pragnę tego od wielu dni. Nie, od wielu lat. Nie zmagaj się ze mną. Nie mów „nie”. Pocałuj mnie, abys nie mogła protestować.

- Och, Jack! - To był niemal szloch. Pocałował ją.

Ogarnęło ją bolesne, na wpół znajome, na wpół nieznanne szaleństwo zmysłów. Był tym dawnym Jackiem, cudownym i tak dobrze znanym, który potrafił dotykiem dłoni, ust, języka, całego ciała natychmiast rozpałcić w niej płomień pożądania. A jednak znał teraz różne

inne pieśczoćy i wiedział, jak rozbudzać i przedłużać to pożądanie, by nie zgasło przedwcześnie, lecz wzmagało się aż do upragnionego spełnienia. Ciało, które tak dobrze pamiętała i które teraz oboje pozbawili wspaniałego wieczorowego stroju, nie było już chłopięćo smukłe, lecz stało się muskularnym ciałem mężczyzny.

- Belle... - Spoczywał na niej, opierając się na łokciach i patrząc w jej twarz. Jego ciemne oczy zasnuwała mgła namięćności... Ach, zupełnie tak samo, jak to zapamiętała! - Ukochana moja...

Wślizgnął się pomiędzy jej nogi. Ona oplotła go nimi. Wiedziała, co teraz będzie - długa gra, dopóki oboje nie będą drżeli z pragnienia, a potem przerwa - króćki moment, w którym zastygną w oczekiwaniu na cud, szaleństwo, ból i spełnienie, mająće zaraz nastąpić.

- Jack - wyszeptała jego imię. - Zawsze cię kochałam. Zawsze.

Uśmiechnął się do niej, objął ją i uniósł ku sobie. Uśmiechał się, gdy wszedł w nią głęboko i mocno. Odwzajemniła uśmiech.

A potem, dotykając czołem poduszki tuż obok jej głowy, zaczął ją kochać. Tak jak kiedyś. Najpierw powoli, prawie się wysuwając i znowu zagłębiając w nią aż do końca. Powoli, aby oboje mogli czuć czystą radość z tego, w czym uczestniczą.

I wreszće ten ostatni moment. Gwałtowna fala pożądanía tak intensywnego, że prawie nie do zniesienia. Pospieszny rytm, szaleńće zbliżanie się do spełnienia i nagłe spadanie w nicość, w pustkę, ku pięknu i ukojeniu. Ku niebu. Ku przebłyskowi tego, czym musi być niebo.

I jego ciężkie ciało wgniatając ją w materac. Wszystko tak znajome, jakby ostatni raz wydarzyło się wczoraj. Uniosła dłoń i bawiąc się włosami Jacka, oparła policzek o jego głowę.

Westchnął i położył się obok, ciągle ją obejmując.

- Wiesz, że to działa na mnie usypiająćo - rzekł. - Chcesz, żebyśm cię zgniótł swym ciężarem?

- Tak - odparła. Uśmiechnął się do niej.

- Dawna, znana odpowiedź - odrzekł.

Ona też się uśmiechnęła i zamknęła oczy. Poczwała się cudownie śpiąća. O, tak - zasnąć. Nie chciała wracać do rzeczywistości i myśleć o tym, co właśnie się stało.

Chciała tylko usnąć czując się kochana - dawne upajające uczucie.

Belle. - Ucałował czubek jej nosa. - Nie zasypiaj. To oczywiście wielka pokusa, ale musimy porozmawiać.

- Nie chcę rozmawiać - powiedziała. - Chcę spać.

- Ale ja chcę porozmawiać. - Pocałował ją w usta. Ciągłe nie mógł się nadziwić, że jest w niej ta dawna Belle i również jakaś nowa, inna. Dziewczyna, w której się niegdyś zakochał, gdzieś zniknęła, zniknęło też jej dziewczęce ciało. Obok niego spoczywała dojrzała kobieta. Lecz była to nadal ta sama Belle.

- Nie zostanę znowu twoją kochanką - rzekła. - Już z tego wyrosłam, Jack. Właściwie nigdy nie chciałam być kimś takim. Byłam bardzo naiwna i romantyczna. Myślałam, że skoro nie możesz się ze mną ożenić, zostaniemy kochankami. Nie wiedziałam, że stawia mnie to w dwuznacznej sytuacji. Ale to już się nigdy nie powtórzy.

- Wobec tego - rzekł - zastanówmy się, jak uczynić z ciebie uczciwą kobietę. Kiedy to zrobimy? W przyszłym tygodniu? Chyba nie mógłbym dłużej czekać.

Wreszcie otworzyła oczy. Rozkoszna senność po spełnieniu miłosnym już uleciała, a w oczach Isabelli pojawił się smutek.

- To niemożliwe, Jack - powiedziała. - Jestem teraz szanowaną osobą, bywam w domach wielu miłych ludzi, którzy mnie zapraszają. Ale są niewidzialne bariery, których nie mogę przekroczyć. Wiem o tym. Czulałam to każdego dnia mojego życia. Nie mogłabym poślubić kogoś z tego rodu. Nikt by się na to nie zgodził.

- Dziadek, jak sądzę, kazałby włóczyć mnie koniem, gdybym się z tobą nie ożenił, Belle - powiedział. - Jeśli to choć w połowie jest tak bolesne jak uderzenia jego ręki, które pamiętam z dzieciństwa, to nie chciałbym tego doświadczyć.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi, przestraszonymi oczami.

- Jack - szepnęła - to oni wiedzą?!

- Właśnie im powiedziałem - dziadkom i matce - że Jacqueline jest naszą córką.

Zamknęła oczy i skrzywiła się.

- I wtedy dziadek wspominał groźnie o tym włóczeniu koniem - dodał.

- Jack - rzekła - jak ja im spojrzę w oczy?

- Zrobisz to ze mną przy boku - rzekł unosząc dłoń, by przeczesać palcami jej złociste włosy. W ciągu dziewięciu lat nie utraciły nic ze swej jedwabistości. - Myślę, że najlepiej będzie, jeśli pobierzemy się tutaj. Ty i dzieci zostanieie w Portland House, a ja pojedę co koń wyskoczy do Londynu po pozwolenie na ślub. Moja rodzina nigdy by nam nie wybaczyła, gdybyśmy uciekli i wzięli ślub w tajemnicy.

- Jack! - W jej oczach była rozpacz. - Nie możemy. Och, wiesz dobrze, że to się nie uda. Nie możemy być razem.

Pocałował ją i milczał dłużej, niż zamierzał. Szukał właściwych słów.

- Naprawdę tak myślę, jak powiedziałem Jacqueline - rzekł. - Jesteś największą

aktorką, jaką kiedykolwiek widziałem, Belle. Sądzę, że zdawałem sobie z tego sprawę już dziesięć lat temu, ale bałem się, że cię utracę, że staniesz się sławna i nie będę ci już potrzebny.

- Jack... - zaczęła, lecz on położył jej palec na ustach.

- Nie wiedziałem, jak zwalczyć coś nieuchwytnego - rzekł - więc uczyniłem z tego rzecz prozaiczną. Wmówiłem sobie, że zależy ci na uznaniu, podziwie i uwielbieniu mężczyzn. Belle, byłem bardzo młody, bardzo zakochany i bardzo niepewny. Wiem, że musisz grać. Nigdy bym nie wymagał, abyś z tego zrezygnowała.

- Nie udałoby ci się to... - rzekła, lecz on znowu ją uciszył.

- Chyba rzeczywiście nie - powiedział. - Wiem, jak bardzo kochasz swoje dzieci, Belle. Nie zauważyłem niczego, co by świadczyło, że je zaniedbujesz lub że cierpią z tego powodu, iż dzielisz czas pomiędzy nie a teatr. Chyba trochę zmadrzałem przez te lata. Wiem, że nie można i nie powinno się być tak zaborczym, by trzymać drugą osobę cały czas przy sobie. Jeśli się kogoś kocha, trzeba mu dać wolność i wierzyć, że odplaci miłością. Daj mi jeszcze jedną szansę...

- Och, Jack. - W jej oczach pojawiły się łzy. - Ja także byłem głupia. Kochałam cię i pragnęłam, ale gdy zdałam sobie sprawę z charakteru naszego związku - zanim jeszcze tak brutalnie go nazwałeś - próbowałam uwolnić się od ciebie. Mówiłam sobie, że są rzeczy ważniejsze niż ludzie, bardziej ciekawe i godne pożądanía. Bałam się, że cię stracę, więc chciałam być niezależna. Zostawałam gdzieś po przedstawieniach, by przekonać samą siebie, że nie muszę od razu biec do domu. Przyjmowałam zaproszenia na kolacje, by się upewnić, że są jeszcze na świecie inni czarujący, przystojni mężczyźni. A kiedy stałeś się podejrzliwy, zacząłeś się złościć i robić awantury, powiedziałam sobie, że jednak miałam rację co do ciebie.

- Byliśmy parą rzadko spotykanych głupców - powiedział.

- A potem okazało się, że jestem w ciąży - rzekła zamykając oczy i opierając czoło o jego pierś. - Bałam się powiedzieć ci o tym. Uciekłam więc. Pozbawiłam cię możliwości decydowania, czy chcesz mieć córkę, czy nie.

Uniósł jej podbródek i spojrzał w oczy.

- Myślę, że powinniśmy wybaczyć samym sobie, Belle - rzekł - a potem wybaczyć sobie nawzajem, dobrze?

Ze łzami w oczach skinęła głową.

- A potem żyć dalej - powiedział. - Razem. Jako małżeństwo. Mamy dwoje dzieci, które potrzebują opieki. Chcę być ojcem dla nich obojga, Belle.

- Ale Marcel... - zaczęła.

- Dla obojga - powtórzył z przekonaniem. - A w przyszłości dla jeszcze jednego czy dwojga.

- Jack - powiedziała z rozjaśnionymi oczami i nadzieją w głosie - więc to będzie możliwe?

- Jest Boże Narodzenie - rzekł uśmiechając się. - A w Boże Narodzenie wszystko jest możliwe.

- Ale święta wkrótce się skończą - zauważyła. - Nie trwają przecież cały rok.

- Ale będą znowu w przyszłym roku i w następnym, i w następnym - powiedział. - A poza tym dlaczego nie miałbym cały rok mieć przy sobie swojej gwiazdki?

- Gwiazdki? - Zaśmiała się. - Co za śmieszny kalambur, Jack! Niezbyt udany.

Zaśmiał się razem z nią.

- Myślałem, że to będzie dowcipne - odparł.

- Następnym razem powiesz coś o zdjęciu gwiazdki z nieba - rzekła.

- Belle. - Potarł nosem jej nos. - Wyjdiesz za mnie? Wypuszczę cię z łóżka tylko pod warunkiem, że powiesz „tak” . .

Wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze.

- Wyjdę za ciebie, Jack - odparła. - Kochałam cię przez dziesięć lat, a w ciągu tego tygodnia znowu się w tobie zakochałam. Jak mogłabym powiedzieć „nie”?

Objął ją tak mocno, że cała niemal zginęła w jego ramionach.

- Zapomniałem cię uprzedzić - rzekł - że nie miałem zamiaru wypuścić cię z łóżka, nawet gdybyś powiedziała „tak”.

Znowu się zaśmiali. Lecz naraz, niespodziewanie, Jack wypuścił ją z objęć, odsunął się i usiadł na brzegu łóżka.

- Ale wiesz co? - zapytał. - Najpierw musimy załatwić coś ważniejszego. Tylko nie kłóć się ze mną, Belle, bo i tak nie ustąpię. Zamierzam być takim tyranem jak mój dziadek. Daję ci pół godziny.

- Pół godziny? - Nie zrozumiała.

- Byś przygotowała się na bal - powiedział.

- Och, nie - rzekła z przerażeniem. - Nie, Jack, ja...

- Dwadzieścia dziewięć i pół minuty - odparł. - Możesz to zrobić, Belle, i zrobisz. To będzie twój najlepszy występ, kochanie.

Usiadła obok niego, naga, piękna i bardzo kusząca. Otworzyła usta, ale natychmiast je zamknęła.

- Nie mam wyboru, prawda? - stwierdziła.

Bal rozpoczął się ponad godzinę temu. Nie było żadnych nieprzyjemnych sytuacji, choć cała rodzina jakimś sposobem dowiedziała się, że tego wieczora zaręczyny nie zostaną ogłoszone.

Juliana, jej rodzice i brat także byli obecni na balu. Juliana nawet zatańczyła z Fitzem. Jeśli ktoś się domyślał, dlaczego jej zaręczyny z Jackiem zostały zerwane, to owe przypuszczenia mogła potwierdzić żarliwość, z jaką ci dwoje zamienili pierwsze słowa, i nadzieja widoczna w spojrzeniach wymienianych podczas tańca. Lecz prawie nikt nie wiedział, co się stało - krążyła jedynie pogłoska, że to Jack odwołał zaręczyny.

Jack musi być bardzo przybity albo zawstydzony - powiedział ktoś - skoro nie pojawił się na balu, a szkoda.

Szkoda też, iż hrabina jest zbyt zmęczona, by zejść na dół na tańce. Bal byłby ukoronowaniem świąt, gdyby wszyscy się na nim zebrali.

- A może... - powiedziała Anna patrząc na męża. Alex przyciągnął ją do siebie i uśmiechnął się z rozczuleniem.

- Chyba jesteś zbyt sentymentalna, kochanie - odparł. Lecz w tej samej chwili podniósł się szmer, więc i oni spojrzeli w stronę drzwi. Stał w nich Jack, przystojny i jak zwykle nieskazitelnie elegancki w bieli, błękicie i srebrze. Na jego ramieniu wspierała się Isabella, olśniewająca w błyszczącej niebieskiej satynowej sukni.

Jack rozglądał się po sali, dopóki nie odnalazł wzrokiem matki. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności stała obok jego dziadków.

- Głowa do góry, kochanie - rzekł do Isabelli. - Założę się, że gdy tylko usłyszą nowinę, od razu powiedzą, że jestem wielkim szczęściarzem.

- Nigdy wyjście na scenę nie było dla mnie tak trudne - szepnęła Isabella, gdy szli przez salę. Uśmiechnęła się jednak tym swoim czarującym uśmiechem, o który Jack bywał tak bardzo zazdrosny.

- Mamo, babciu, dziadku. - Skłonił się elegancko i zauważył, że Isabella także nisko dygnęła. Na szczęście grała muzyka, a goście tańczyli, więc scena ta nie rzucała się w oczy. Ogłoszenie zaręczyn tego wieczora byłoby doprawdy w złym guście. - Chciałbym wam przedstawić matkę mojej córki. Miłość mojego życia. Moją przyszłą żonę.

- Och, Jack. - Jego matka zaczęła szukać chusteczki.

- Drogi chłopcze. Kochana hrabino!

- Mam nadzieję, że nie każesz nam długo czekać - rzekła surowym tonem babka. - To i tak o dziewięć lat za późno.

Książę sapnął i groźnie zmarszczył brwi.

- Dobry wieczór, hrabino - rzekł. - A tobie, drogi chłopcze, mogę tylko powiedzieć, że jesteś prawdziwym szczęściarzem.

Jack i Isabella spojrzeli na siebie. Uśmiechnęli się z rozbawieniem i czułością. Było w tym tak wiele miłości, że pozostali członkowie rodziny, bezwstydnie zerkający w ich kierunku i ciekawie nadstawiający ucha, domyślili się, jakąż to rewelacją zostaną zaskoczeni za dzień lub dwa.